



JERZY EDIGEY

# BŁĘKITNY SZAFIR

CZYTELNIK

lesiojot

JERZY EDIGEY

*Błękitny szafir*



CZYTELNIK • 1971 • WARSZAWA

*Wszystkie opisywane wydarzenia są tylko fikcją. Podobieństwa imion, nazwisk czy nazw miejscowości są całkowicie przypadkowe. Autor jest również przekonany, że nie ma u nas takich komisów ani takich ich pracowników.*

Błękitny szafir!

Błękitny szafir? Przecież to „masło maślane”. Wszystkie szafiry są koloru niebieskiego, z lekkim odcieniem fioletu lub granatu.

Ale ten szafir był zupełnie inny. Nie barwy szafirowego morza, lecz raczej błękitu nieba. Gdyby był duży, uznano by go zapewne za bezcenny klejnot. Ten błękitny szafir był wielkości zaledwie małego ziarnka grochu. Jak na ten rodzaj kamieni — niewielki. Ale złoty wąż, trzymający w pyszczku niebieską kulkę, od razu rzucił się w oczy każdemu, czyj wzrok spoczął na kształtnej kobiecej ręce. Każdy też pytał:

— Co to za wspaniały klejnot?

— To błękitny szafir — odpowiadała z odcieniem dumy w głosie piękna pani.

— Nie boi się pani? Szafiry przynoszą nieszczęście — ostrzegano właścicielkę bransoletki.

— Błękitny szafir przynosi mi tylko szczęście — śmiała się kobieta.

Może nawet i wierzyła w magiczną siłę klejnotu, bo nie rozstawała się z nim nigdy. Zawsze bransoletka znajdowała się na jej lewej ręce.

Ci, którzy znali tę dziewczynę, musieli przyznać, że wszystko wskazywało, iż właścicielka cennej biżuterii ma rację, a błękitny kamyk rzeczywiście przynosi jej powodzenie. Była przecież młoda i piękna. Łamiąc wszelkie przeszkody, odważnie wspinała się po szczeblach kariery, coraz wyżej i wyżej. Czyżby więc myliło się ludowe porzekadło o fatalnych klejnotach?

A jednak szafiry przynoszą nieszczęście. Mądrość ludowa nie kłamie. Nadszedł taki dzień, zimowy dzień o wczesnym zmierzchu. Śnieg padał wtedy dużymi, mokrymi płatami, bo zanosilo się na odwilż. Spod białego całunu sterczała w górę

równie biała, trupia ręka. Była naga i martwa. Tym razem nie było na niej złotego węża z błękitnym szafirem, który miał przynosić szczęście, a przyniósł śmierć.

## **ROZDZIAŁ I**

### **Makabryczne odkrycie**

Mieszkańcy Podleśnej Góry mają doskonałą komunikację ze stolicą. Autobusy jeżdżą szosą co kilkanaście minut. Kolejka elektryczna, chociaż stara i sfatygowana, działa bez pudła. A drogą przez las zaledwie dwa kilometry do stacji kolejowej Rzęsowo. Ci, którzy stale pracują w Warszawie, a takich wśród mieszkańców Podleśnej Góry jest ogromna większość, wybierają sobie środek komunikacji, najbliżej i najszybciej dowożący ich do miejsca pracy; inni, odwiedzający stolicę niecodziennie, jeżdżą, jak się zdarzy: raz kolejką, raz autobusem; a kiedy do domu wraca się późną porą, na przykład z teatru lub od przyjaciół z imienin, to najwygodniej kolejką do Rzęsowa. Stamtąd albo spacerkiem przez las, często zresztą z duszą na ramieniu, bo chuliganerii i w Rzęsowie, i w Podleśnej Górze nie brakuje, albo jedną z kilku taksówek, stale czekających przy dworcu PKP na takie okazje.

Tego styczniowego wczesnego wieczoru z pociągu warszawskiego w Rzęsowie wysiadła spora grupka ludzi. Szybko rozproszyli się w różnych kierunkach. Każdy chciał jak najprędzej znaleźć się w swoim domu. Wprawdzie mrozu nie było, przeciwnie, zanosilo się na odwilż, ale zaczął padać śnieg. Takie duże, mokre płaty, które tylko patrzeć, jak zamieniają się najpierw w śnieg z deszczem, aby przejść w dokuczliwą, zimną mżawkę.

W stronę Podleśnej Góry szło kilka osób. Dwaj mężczyźni: Piotr Boduchowicz i Stanisław Merłowski, wyprzedzili pozostałych. Zwykle ci, którzy nie jechali taksówką, lecz szli na piechotę, omijali główną drogę łączącą Rzęsowo z Podleśną Górą, skręcając zaraz w lewo, w las, „na skrót”, wygodną ścieżką wijącą się wśród sosen i choin, aż do pierwszych

domów Podleśnej Góry.

Śnieg padał coraz gęstszy. Chwilami trudno było zobaczyć coś z odległości pięciu metrów. Nic dziwnego, że dwaj mężczyźni jeszcze bardziej przyspieszyli kroku. W pewnym momencie usłyszeli czyjś głos:

— Panowie, panowie, zaczekajcie!

Idący odwrócili się. Z tyłu za nimi, w odległości najwyżej dziesięciu metrów, szedł jakiś młody człowiek. Kiedy Boduchowicz i Merłowski przystanęli, wołający podbiegł do nich. Teraz zauważyli, że jest to wysoki chłopak w wieku około dwudziestu lat, ubrany w popielatą kurtkę trzy czwarte długości i ciepłą czapkę, dawniej zwaną „chruszczowówką”.

— Panowie — powiedział przybyły — idę cały czas za wami, ale tam między drzewami coś leży.

— Co? Gdzie?

— Tam — mężczyzna w kurtce pokazał ręką na prawo w tył.

— Jak te niskie krzaki, pomiędzy tymi dwiema wysokimi sosnami.

Ani Boduchowicz, ani Merłowski niczego nie dostrzegli, chociaż wyteżyli wzrok, patrząc w kierunku wyciągniętej ręki.

— Ee, coś wam się przywidziało — powiedział starszy z mężczyzn. — Nic nie widać, śnieg sypie.

— Stąd nie widać, bo zanim panowie się zatrzymali i zanim was dogoniłem, to odeszliście ze dwadzieścia metrów, ale z tamtego miejsca ścieżki wyraźnie widziałem coś czarnego, wystającego ze śniegu.

— Pewnie jakiś pień.

— Skąd tu mógłby leżeć pień? Zaraz by go ktoś zabrał na opał. Nawet drzewa wycinają, a cóż dopiero, gdyby leżało — bronił się młody człowiek. — To chyba człowiek...

— Pewnie pijany szedł, zboczył z drogi i wywalił się w śnieg — snuł przypuszczenia Boduchowicz. — Wytrzeźwiej, powlecze się do chałupy.

— Nawet jeżeli pijany, trzeba ratować — upierał się chłopak.

— Jak tak poleży kilka godzin...

— Nic mu nie będzie. Nad pijakiem Pan Bóg czuwa.

— Nie zaszkodzi spojrzeć — poparł chłopaka Merłowski. — Pokażcie to miejsce.

Młody człowiek zboczył ze ścieżki i brnąc w śniegu skierował się w stronę kilku niskich, ale rozłożystych choinek, rosnących na maleńkiej polance, otoczonej wysokimi sosnami.

— O, tam — znowu pokazał ręką.

Rzeczywiście, kiedy podeszli bliżej, wydało im się, że widzą zarys postaci ludzkiej, leżącej na ziemi i na wpół zasypanej śniegiem. Jeszcze kilka kroków i już nie ulegało wątpliwości: to był człowiek. Jakaś kobieta w futrze. Jej głowę i nogi pokrywała warstwa śniegu, lecz spod tego puchu prześwitywało miejscami futro o długim włosie, brązowego koloru. Znad śniegu wystawała obnażona aż po łokieć ręka. Przedśmiertny skurcz zacisnął palce kobiety w pięść. Zdawało się, że ta wystająca z białego całunu trupa biała ręka komuś grozi. Czyżby mordercy?

— Kobieta! — zawołał Merłowski podbiegając do leżącej.

— Niech pan nie rusza! — ostrzegął młody człowiek. — Jeżeli zabita, można zatrzeć ślady. Milicja bardzo tego nie lubi.

— Może jeszcze żyje? Trzeba ją ratować — rzekł Merłowski, ale zatrzymał się o metr przed leżącą i przezornie jej nie dotknął.

Piotr Boduchowicz nie zważał jednak na ostrzeżenia. Podeszedł i po zdjęciu rękawiczek ujął sterczącą spod śniegu rękę. Lekko ją pociągnął. Przy tym ruchu śnieg osypał się z postaci kobiety. Teraz widać było wyraźnie jej twarz i rozsypane na śniegu długie, czarne włosy. Koło głowy śnieg miał barwę czerwoną. Boduchowicz wyprostował się:

— Nie żyje — powiedział. — Już zimna. Niejednego takiego nieboszczyka oglądałem w czasie wojny i wiem, że ani my, ani najlepszy lekarz nic tej niebodze już nie pomoże.

— Trzeba wezwać milicję — podsunął myśl młody człowiek.

— Tak by wypadało — zgodził się Merłowski.

— Niech pan tu zostanie, przy ciele — zaproponował Boduchowicz. — A my pójdziemy na posterunek.

— Za żadne skarby świata — zaproponował mężczyzna w kurtce. — Boję się.

— Czego? — sucho roześmiał się Boduchowicz. — Tylko żywi są groźni.

— Boję się. Nie zostanę. Chyba we dwóch.

Z miny Merłowskiego łatwo można było odczytać, że perspektywa pozostania w lesie w towarzystwie wprowadzie pięknej, ale martwej kobiety również go nie zachwyca, jeżeli nawet będzie z nim młody człowiek, który pierwszy dokonał makabrycznego odkrycia.

Widząc, że Merłowskiemu zbywa odwagi, Boduchowicz machnął ręką:

— Dobra! Ja zostaję, a wy dwaj gazujecie po milicję. Tylko żeby się tu prędko zjawili. Nie mam zamiaru nocować w lesie.

— Świetnie — ucieszył się młody człowiek. — Pognamy ile sił w skokach. A milicjanci na pewno się pośpieszą. Im samym będzie zależało na tym, aby jak najprędzej się z tym uporać. Bo inaczej stracą czas do rana.

Władysław Zawierciak, tak bowiem nazywał się młody człowiek, nie mylił się. Nim upłynęło pół godziny, na motorze przyjechał starszy sierżant MO, Zygmunt Kołodko, komendant miejscowego posterunku. Podoficer zapisał personalia Piotra Boduchowicza i zwolnił go do domu, polecając mu jedynie, żeby nazajutrz zgłosił się na posterunek o godzinie dziewiątej rano dla złożenia oficjalnych zeznań. Komendant dodał dla wyjaśnienia, że identyczne polecenia otrzymali dwaj pozostali mężczyźni, którzy znaleźli zwłoki zabitej.

W godzinę później, ostrożnie manewrując pomiędzy drzewami, podjechały dwa radiowozy. W nich: lekarz i ekipa śledcza z właściwej Komendy Powiatowej MO. Rozpoczęły się normalne czynności wstępnej dochodzenia.

Po pierwszych oględzinach zwłok lekarz stwierdził, że - przyczyną zgonu był bardzo silny cios wymierzony jakimś tępym metalowym przedmiotem, najprawdopodobniej obuchem siekiery, w tył głowy. Uderzenie spowodowało zgniecenie kości czaszki. Stąd silny krwotok. Śmierć musiała nastąpić natychmiast. Tuż przy zmarłej znaleziono damską torebkę. Była otwarta. Zawierała dowód osobisty na nazwisko: Krystyna



Cieślikowska, trochę bilonu na dnie torby, różne damskie drobiazgi, jak puder, szminka oraz... w bocznej przedziałce torebki dwadzieścia nowiutkich banknotów po tysiąc złotych każdy. W kieszeniach drogiego, nowego futra z piżmowców nie znaleziono niczego.

Fotograf dokonujący zdjęć w bardzo ciężkich warunkach, bo śnieg z deszczem padał coraz większy, zaklinał się, że w czasie swojej długiej kariery milicyjnej jeszcze nigdy nie robił zdjęcia tak pięknej dziewczyny.

— Taka młoda to ona nie była — zauważył jeden z techników dochodzeniowych. — Przecież według danych w dowodzie miała 34 lata. Ale że ładna, to racja.

— Brzydka na pewno by nie zginęła — dodał filozoficznie porucznik MO, kierujący pracą ekipy dochodzeniowej. — Statystyka stwierdza, że wśród zamordowanych kobiet ogromną większość stanowią właśnie te bardziej przystojne.

— Za to te brzydsze nie mają zwyczaju nosić po dwadzieścia tysięcy złotych w torebce na drobne wydatki — dorzucił lekarz.

— Właśnie — zgodził się porucznik. — Ciekawe, dlaczego morderca nie wziął tych pieniędzy. Ani futra, które warto jest co najmniej drugie tyle. Wszystko wskazuje, że mamy do czynienia ze zbrodnią nie z chęci zysku.

— Będziecie prowadzili dochodzenie? — zainteresował się lekarz.

— Chyba nie — odpowiedział porucznik. — Zamordowana była stałą mieszkanką Warszawy. Tam też pracowała — zajrzał do dowodu. — W komisie na Wspólnej. Miejsce śmierci raczej przypadkowe. Pewnie przestępca celowo zwabił na to pustkowie swoją ofiarę albo po prostu śledził ją i uznał, że można skorzystać z okazji, kiedy zauważył, że kobieta kieruje się w stronę lasu. W tej sytuacji najprawdopodobniej dochodzenie przejmie Pałac Mostowskich. A w każdym razie Komenda Wojewódzka, a nie nasza „powiatówka”.

— To i dobrze — zgodził się lekarz. — Bo sprawa nie wygląda na prostą. Żadnych śladów. Rabunku nie było. Nie wiadomo, jak taką sprawę rozgryźć.

— Poradzą sobie. Wszystko wskazuje, że morderca kryje się

wśród znajomych tej kobiety. Może zawiedziona miłość? Może jakieś niezbyt czyste interesy, bo to z komisami różnie bywa. Pójdą po tym śladzie i znajdą.

W godzinę po przybyciu radiowozów na miejsce zbrodni podjechała wezwana uprzednio karetka pogotowia. Zwłoki załadowano na nosze i wsunięto do samochodu. Odwieziono je do szpitala dla zrobienia szczegółowej sekcji. Milicjanci zwinęli swoje przybory i obie milicyjne warszawy ruszyły w stronę siedziby powiatu. W lesie znowu było cicho i pusto. Tylko śnieg padał ciągle.

## **ROZDZIAŁ II**

### **„A bransoletka z szafirem?”**

W dwa dni po wydarzeniach w lasku pod Podleśną Górą majora Janusza Kaczanowskiego, oficera dochodzeniowego Stołecznej Komendy MO, wezwano telefonicznie do zameldowania się u pułkownika Adama Niemirocha, kierownika brygady zabójstw.

Kiedy major znalazł się w gabinecie pułkownika Niemirocha, ten siedział za biurkiem i studiował akta w świeżej, szarej okładce. Powitał przyjaciela i usadowił go w fotelu naprzeciwko siebie.

— Dowiedziałem się, że właśnie nie masz nic do roboty, nudzisz się, więc ze względu na naszą starą przyjaźń postanowiłem pomóc ci w wypełnianiu czasu...

Kaczanowski skrzywił się. Znał dobrze pułkownika i wiedział, że taki wstęp wróży jakieś nowe dochodzenie. A co do tego rodzaju braku roboty, to zarówno major, jak i jego podkomendni marzyli jedynie, żeby zaległości się nie zwiększały.

— Słucham. Znowu chcesz mi coś wtrynić, czym powinni zajmować się twoi ludzie.

— Dziecinnie łatwa sprawa. Można powiedzieć: szkoleniówka. Daję ją tobie, ponieważ chcę, żebyś odpoczął po śledztwie w sprawie Woronkiewicza. Ze „starym” już

uzgodnione — dociął przezornie pułkownik, aby Kaczanowski nie usiłował wykręcić się od przyjęcia sprawy, która właściwie leżała w kompetencji ludzi bezpośrednio podległych pułkownikowi Niemirochowi.

— No, dobra — zgodził się major. — Wykładaj na stół, co cię boli.

— W Podleśnej Górze przed dwoma dniami znaleziono trupa młodej kobiety. Kierowniczkę jednego z warszawskich komisów. Morderstwo nie rabunkowe, bo babka miała w torebce przeszło 20 tysięcy złotych. Ładna i młoda kobieta, więc motywy nasuwają się same. Albo zabójstwo na tle miłosnym, albo była zaplątana w jakieś ciemne sprawki nielegalnego handlu. Sam wiesz, że w komisach często dzieją się różne cudeńka. Podmienianie towaru, sprzedawanie go przy pomocy podstawionych „koni”, czasem coś z przemytu, czasem coś z kradzieży. Może była w to zamieszana lub wiedziała za dużo i ktoś uważał za słusze ją uspokoić? A może, to też trudno wykluczyć, bo uroda nieprzeciętna, dramat miłosny? W każdym razie zabójcę musiała doskonale znać i miała do niego zaufanie, skoro pozwoliła wyprowadzić się na pustkowie pomiędzy Rzęsowem i Podleśną Górą. Zresztą przeczytasz sobie to wszystko w aktach.

— Co ustaliło wstępne dochodzenie?

— Właściwie nic. Żadnych śladów na miejscu zbrodni nie znaleziono, ponieważ od południa tego dnia padał śnieg, a później śnieg z deszczem. Sekcja zwłok wykazała, że śmierć nastąpiła wskutek bardzo silnego uderzenia w tył głowy. Zabita, Krystyna Cieślukowska, 34 lata, mężatka, ale z mężem nie żyła. Co robiła w Podleśnej Górze względnie w Rzęsowie, tego nie ustalono? Nikt nie zauważył jej przyjazdu ani na dworcu kolejowym, ani na stacji kolejki.

— Mogła przyjechać autobusem?

— Mogła — przytaknął pułkownik. — Powiatówka zajmuje się szukaniem śladów tam na miejscu, ale, jak dotychczas, niczego nie znaleźli.

— A kiedy nastąpiła śmierć?

— Według obdukcji lekarskiej gdzieś pomiędzy czwartą a

szóstą po południu. Ciało znaleźli przechodnie około godziny siódmej. Dziesięć minut po siódmej wpłynął meldunek do miejscowego posterunku. W aktach znajdziesz protokoły przesłuchań tych ludzi, którzy znaleźli zwłoki.

— Czy ta kobieta była w ciąży?

— Nie.

— A przesłuchiowano jej otoczenie? Pracowników komisju?

— Jeszcze nie zdążyliśmy. Liczę, że ty właśnie tym się zajmiesz. Zarządziliśmy tylko przeprowadzenie remanentu w sklepie komisowym i przeprowadzono rewizję w mieszkaniu zamordowanej.

— Jakie rezultaty?

— Właściwie żadne. W sklepie wszystko jest pozornie w porządku. W każdym razie nie ma manka. W domu, Cieślukowska zajmowała kawalerkę w jednej z warszawskich spółdzielni, dużo ładnych i kosztownych damskich fatalasek, jeszcze dwa futra, trzy książeczki samochodowe, zwykła z wkładem ponad 40 tysięcy złotych i 230 dolarów USA. Różna biżuteria wartości przeszło 200 tysięcy złotych.

— Tego chyba z pensji nie odłożyła? — uśmiechnął się major.

— Oczywiście — zgodził się pułkownik. — Ale nie mamy żadnych dowodów, że ten majątek pochodzi z przestępstwa. Możemy tylko domniemywać.

— A ty wszystko to nazywasz „dziecinnie łatwą sprawą, i po prostu szkoleniówką”?

Pułkownik nieco się zmieszał.

— Dla byle palanta może byłaby i trudna, ale nie dla pogromcy świata przestępczego, słynnego majora Janusza Kaczanowskiego. Nie takie zagadki rozwiązywał.

— Już ty mnie nie bierz w piątą stronę.

— Widzisz — przyznał się pułkownik — kompetencyjnie to sprawę mogłaby równie dobrze prowadzić „województka”, jak i my. Ostatecznie przydzielono ją nam, więc musimy się wykazać. A poza tym babka była nie tylko ładna, ale, jak się zdaje, dość ustosunkowana. Już od rana miałem kilka telefonów. Nawet od pewnej pani wiceministrowej. A wiem, że interweniowano także w Komendzie Głównej. Sam rozumiesz.

Jeżeli dziewczyna jest piękna i chce to wykorzystać, ma szerokie znajomości. Nawet po śmierci, okazuje się, są aktualne. Dlatego wolałbym oddać, dochodzenie w twoje ręce.

— Bój się Boga, mamy tyle roboty!

— A myślisz, że moi ludzie siedzą za biurkiem i grają w bitwę morską? Zapewniam cię, że gdyby któryś z nich nie był tak zajęty, nie zwracałbym się do ciebie. Zresztą sam „stary” postanowił, kiedy o tym była mowa, tobie przydzielić dochodzenie. Daję ci słowo, że nie wymienię twojego nazwiska.

— No, trudno — musiał zgodzić się Kaczanowski. — Dawaj akta.

— Życzę powodzenia. Mam nadzieję, że w kilka dni z tym skończysz.

Po powrocie do swojego pokoju major zagłębił się w dokumenty. Niewiele tego było. Teczka zawierała zaledwie kilka papierków. Oto pierwszy z nich:

#### PROTOKÓŁ PRZESŁUCHANIA ŚWIADKA

*Obywatel Władysław Zawierciak, lat 19, z zawodu elektromonter, zatrudniony w Elektrowni Pruszkowskiej, zamieszkały w Podleśnej Górze, ulica Różana osiemnaście, kawaler, przesłuchiwany i pouczony o obowiązku mówienia prawdy, zeznał, co następuje: „W dniu dwunastym stycznia wracałem z pracy do domu, szedłem ze stacji kolejowej w Rzęsowie do Podleśnej Góry. Było po szóstej wieczorem, raczej bliżej siódmej. Na zegarek nie patrzyłem. Szedłem ścieżką przez las, a przede mną jakichś dwóch mężczyzn. Byli oddaleni ode mnie około dwudziestu metrów. W pewnym momencie zauważyłem coś ciemnego leżącego na śniegu po prawej stronie ścieżki. Wydało mi się, że leży tam człowiek. Przestraszyłem się i zacząłem wołać ludzi idących przede mną, żeby się zatrzymali. Kiedy stanęli, zaproponowałem im, abyśmy razem sprawdzili, co to za ciemny przedmiot leży na śniegu. Zgodzili się. Podeszliśmy bliżej i zobaczyliśmy zwłoki kobiety. Nie ru-*

*szalem ich i nie dotykałem, bo bardzo się przestraszyłem. Dotykał zwłok jeden z tych dwóch obywateli. Teraz wiem, że ten człowiek nazywa się Boduchowicz. Przedtem go nie znałem. Boduchowicz stwierdził, że ta kobieta nie żyje. Mówił, że trzeba iść zameldować milicji i zaproponował, żebym został przy zwłokach. Nie zgodziłem się na to. Również drugi z tych mężczyzn, Stanisław Merłowski, nie chciał pilnować zabitej. Wobec tego obywatel Boduchowicz sam został w lesie, a ja z Merłowskim pobiegliśmy na posterunek MO. Już potem do lasu nie wracałem, a poszedłem do domu. Okazanej mi na zdjęciach zamordowanej kobiety nie znałem i nigdy przedtem nie widziałem.”*

Na tym protokół zakończono. Protokołował starszy sierżant MO, Zygmunt Kołodko. Podpisał: Władysław Zawierciak.

Protokoły przesłuchania Stanisława Merłowskiego i Piotra Boduchowicza były niemal identyczne. Obaj zeznali, że wracali do Podleśnej Góry i kiedy szli przez las, usłyszeli wołanie. Razem z Władysławem Zawierciakiem podeszli do leżącej, prawie już zasypanej padającym śniegiem, kobiety. Upewniwszy się, że ta kobieta nie żyje i wszelka pomoc jest daremna, nie ruszali zwłok; Boduchowicz pozostał przy nich na straży, a Merłowski z Zawierciakiem poszli zawiadomić milicję. Obydwaj mężczyźni pracują u Kasprzaka w Warszawie, a w Podleśnej Górze mieszkają przy ulicy Pruszkowskiej, w sąsiadujących ze sobą domach, dlatego razem jeżdżą i razem wracają z roboty. Obaj nie znali przedtem Władysława Zawierciaka, chociaż czasami widywali go w Podleśnej Górze albo Rzęsowie. Tego dnia śpieszyli się do domów, i nie rozglądali się wokoło, dlatego też nie zauważyli zwłok leżących nie na ścieżce, ale w lesie, na prawo od dróżki. Nie zwrócili również uwagi, że za nimi ktoś idzie.

Zabitej Krystyny Cieślikowskiej nie znali, nigdy przedtem jej nie widzieli.

Obdukcja lekarska poza tym, co już majorowi powiedział pułkownik, zawierała dodatkową uwagę: zmarła na jakieś dwie godziny przed śmiercią wypila niewielką ilość alkoholu, ale najwyżej dwa, trzy kieliszki. W żadnym razie nie było podstawy do twierdzenia, iż była pijana.

Ponadto do akt dołączono zdjęcia miejsca zbrodni i zbliżenie twarzy zmarłej kobiety. Nawet na tych robionych w czasie niepogody fotografiach widać było, że Krystyna Cieślikowska mogła uchodzić za wyjątkowo piękną kobietę. Jedną z tych, na których widok każdy mężczyzna, bez względu na wiek, wciąga brzuch i wypina bohatercko naprzód pierś.

W szarej teczce znajdował się również planik sytuacyjny. Nakreślono na nim ścieżkę idącą na skos przez las od Rzęsowa aż do Podleśnej Góry. W pewnym punkcie narysowano krzyżyk. To właśnie tutaj trójka mężczyzn znalazła zwłoki. Milicjant sporządzający szkic topograficzny umieścił koło krzyżyka liczbę „23”, zaznaczając w ten sposób, że miejsce zamordowania Krystyny Cieślikowskiej oddalone było od ścieżki o 23 metry.

Szczegółowy spis rzeczy znalezionych przy zmarłej również niczego majorowi nie powiedział. Jediną zagadkę stanowił fakt, że ta kobieta nosiła przy sobie tak poważną kwotę, bo aż dwadzieścia nowiutkich banknotów tysiąc- złotych. I że mając na sobie drogie futro, a w torbie tyle pieniędzy, nie bała się iść drogą przez las.

— A może — snuł przypuszczenia major — Cieślikowska kogoś szantażowała? Właśnie w Podleśnej Górze lub Rzęsowie? Szantażowany okupił się tymi banknotami, a domyślając się, że nie skończy się na jednorazowym haraczu, poszedł za swoją prześladowczynią... Korzystając z ciemności i pustki na drodze, postanowił jednym ciosem uwolnić się od szantażystki? Później zwłoki zabitej odciągnął dwadzieścia kilka metrów od ścieżki i ukrył pomiędzy młodymi choinkami. Ale dlaczego nie zabrał swoich pieniędzy? Przecież musiał wiedzieć, że Cieślikowska ma je przy sobie. Może bał się grzebać w torebce, aby nie pozostawić śladów? Dlaczego jednak zapiski milicyjne wspominają, że torebkę znaleziono otwartą? Tyle pytań, a

żadnej odpowiedzi.

Oficer milicji spojrzął na zegarek. Było wcześniej. Dochodziła druga po południu. Postanowił pójść na ulicę Wspólną, do komisju, w którym Cieślukowska była kierowniczką. Major uważał, że lepiej wypytać pracowników komisju na miejscu, niż wzywać do Pałacu Mostowskich. Ludzie, otrzymujący urzędowy papierek, z góry przygotowują sobie ewentualne odpowiedzi, a w ogóle starają się mówić jak najmniej w czasie oficjalnych przesłuchań. Nawet wtedy, kiedy są absolutnie niewinni i zupełnie nie zamieszani w sprawę. Identyczne pytania zadane na innym terenie niż gmach Komendy Milicji tym samym ludziom rozwiązują usta.

Sklep był oczywiście jeszcze zamknięty. Komisja robiła, a właściwie to już kończyła sporządzanie szczegółowego remanentu. Przewodniczący komisji poinformował Kaczanowskiego, o czym oficer zresztą wiedział od pułkownika, że znaleziono jedynie różne drobne uchybienia.

— A manko?

— Wykluczone — stwierdził doświadczony księgowy, który przeprowadzał setki tego rodzaju lustracji. — Księga przyjęcia towarów i kasa są ze sobą zasadniczo zgodne. Debet wynoszący mniej niż 2 tysiące złotych jest dopuszczalny. Drobne go złodzieja nigdy się nie upilnuje. Albo jakiejś małej omyłki kasjera. Toteż każdy sklep ma przewidziany pewien niewielki fundusz na tego rodzaju ubytki. W tym przypadku nie został przekroczony nawet w połowie.

— A więc jakiegokolwiek nadużycia są wykluczone? — zapytał major.

— W każdym razie nadużycia kasowe — ostrożnie stwierdził księgowy. Nie chciał mówić więcej na ten temat.

Wobec tego oficer milicji poprosił do małego kantorku, znajdującego się za sklepem, Bogdana Wietrzyka, sprzedawcę i zarazem zastępcę kierowniczkki komisju.

— Ja nic nie wiem — powiedział Wietrzyk siadając na wskazanym mu krześle.

— Przecież ja pana jeszcze o nic nie zapytałem — zdumiał się major.



— Ja nic nie wiem.

— Czy Cieślukowska była w sklepie w dniu 12 stycznia?

— Ja nic nie wiem — uparcie powtórzył sprzedawca.

— Chyba będę musiał pana zamknąć. Cztery ściany z oknem z jednej strony, z drzwiami bez klamki z drugiej, znakomicie odświeżają pamięć. Sam pan się o tym przekona po upływie kilku tygodni.

Wietrzyk zbladł.

— Jestem niewinny. Ja nic nie wiem.

— Nawet tego, czy Cieślukowska przyszła do pracy w dniu 12 stycznia?

— No, nie... Kierowniczką jak zwykle otworzyła sklep. Przecież miała klucze.

— A kiedy wyszła?

Wietrzyk znowu chciał wykręcić się swoim sakramentalnym zdaniem. Już nawet zaczął mówić: „Ja nic...”, kiedy widząc zagniewaną twarz majora przerwał i udzielił sensownej informacji:

— Około trzeciej szefowa powiedziała, że wychodzi i że tego dnia więcej do sklepu nie wróci. Prosiła, żebym zamknął interes.

— Kiedy?

— No, o godzinie siódmej wieczorem. Jako zastępca kierowniczką byłem również odpowiedzialny materialnie za sklep.

— Rozumiem — zgodził się major. — Cieślukowska wychodząc nie wspominała, dokąd idzie? Może ktoś po nią przyszedł albo wezwano ją telefonicznie?

— Ja nic nie wiem — upiera! się sprzedawca.

Major zadał Wietrzykowi jeszcze kilkanaście pytań. Pracownik komisji ważył każde słowo odpowiedzi. Starał się przede wszystkim udzielać takich informacji, które niczego nie wyjaśniały. Najwyraźniej bał się mówić. Major zadawał sobie w duchu pytanie, czy ten człowiek dlatego milczy, że ma coś wspólnego z morderstwem swojej zwierzchniczki, czy też z obawy przed ujawnieniem jego własnych, niejasnych sprawek.

— Widzę, że się nie dogadamy — stwierdził Kaczanowski. — Uprzedzam pana, że to sprawa o morderstwo, a milczenie może

być rozumiane jako chęć ukrycia winnych. Za kilka dni otrzyma pan wezwanie do Komendy Milicji i będzie pan jeszcze raz przesłuchiwany przeze mnie. W pańskim, dobrze zrozumianym, interesie radzę wtedy mieć lepszą pamięć. Nie każdy, kto wchodzi do Pałacu Mostowskich, wychodzi stamtąd po kilku godzinach.

Major postanowił rozmówić się także z pozostałym personelem. Na pierwszy ogień poszła sprzedawczyni, Janina Wróblewska. Była to osoba pod pięćdziesiątkę, w komisach pracująca przeszło dziesięć lat, co jak na ten rodzaj handlu może być uważane za swoisty rekord. Major Kaczanowski od razu zorientował się, że i ten świadek jest mocno wystraszony, ale pani Janina przyjęła zupełnie inną taktykę niż jej poprzednik. Mówiła dużo, udzielała obszernych informacji o swojej zmarłej szefowej, jednocześnie starając się powiedzieć jak najmniej o sobie i o swojej pracy w tym sklepie.

— Pani Cieślikowska przyszła na kierowniczkę tego komisju coś przed trzema laty. Przedtem prowadziła sklep z materiałami włókienniczymi. Nie za duży. Również z czteroosobową obsługą. Musiała mieć dobre plecy, skoro dali ją do komisju. Pan major sam rozumie. Nie takie to proste zostać kierownikiem sklepu komisowego.

— Jak pracowała?

— Znała się na handlu. Miała dużo znajomości. Nic więc dziwnego, że nasz sklep zawsze wyrabiał plany. Była względna dla ludzi. Nie taka, co chciałaby wszystko sama zagarnąć.

— Ile zarabiała?

— Oficjalnie pensji i premii miała razem ponad trzy tysiące.

— A nieoficjalnie?

— Co ja tu będę ukrywać. Pan major zna przecież te sprawy. W komisie można zarobić.

— Były nadużycia?

— Broń Boże — zastrzegła się Wróblewska. — Wszystkie remanenty zawsze u nas wypadały bardzo dobrze.

— Przy zamordowanej znaleziono 20 tysięcy złotych — zauważył major. — To chyba nie z pensji?...

— Może pani Krystyna odwoziła pieniądze jakiemuś naszemu

klientowi?

— Są takie zwyczaje w komisach? — major udał zdziwienie.

Janina Wróblewska uśmiechnęła się.

— Zwyczaju nie ma, ale nieraz robi się klientowi grzeczność. To przecież się oplaci.

— Proszę mi bliżej wytłumaczyć — - major uznał za słuszne grać rolę człowieka mało zorientowanego w różnych kombinacjach handlowych komisów.

— Do komisów — Wróblewska zdecydowała się mówić bardziej otwarcie — różni ludzie wstawiają towary. I tacy, którzy przypadkowo dostali niepotrzebny im prezent, i tacy, którzy od czasu do czasu otrzymują przesyłkę zza granicy, także turyści oraz ludzie zawodowo jeżdżący za granicę.

— No tak — przytaknął oficer milicji.

— Ci, którzy od czasu do czasu coś wstawiają, to drobne płotki. Z nich by komis nie wyżył. Podstawą są tacy jak na przykład jedna nasza klientka, po kilkanaście razy w roku wyjeżdżająca na wycieczki zagraniczne. Z „Orbisem” i z każdym innym biurem. Ci ludzie stanowią naszą stałą klientelę. Wiedzą, co najlepiej przywieźć i co najprędzej pójdzie w komisie. Prócz nich są i tacy, którzy wolą nie wstawiać towaru na własne nazwisko.

— Dlaczego?

— To są przeważnie ludzie zawodowo jeżdżący za granicę. Pracownicy handlu zagranicznego, konwojenci, kierowcy na zagranicznych liniach, marynarze, lotnicy. Boją się, że jeżeli ich nazwisko zbyt często będzie się powtarzało na wykazach towarów, to po prostu przestaną wyjeżdżać. Ta kategoria naszych klientów posługuje się „końmi”.

— Końmi?

— „Koń” to w naszym handlu człowiek, który w zamian za jakąś prowizję wstawia do komiszu towar na swoje nazwisko. Nieraz zdarza się, że nasz stały klient nie ma wielkiego zaufania do takiego „konia”. Tym bardziej kiedy wstawia jakiś cenny towar, na przykład futro karakułowe. Wtedy upoważnia kierownika sklepu, aby ten wypłacił „koniowi” tylko jego prowizję, a pieniądze zatrzymał. Być może, że właśnie pani

Cieślikowska odwoziła te 20 tysięcy złotych jakiemuś takiemu klientowi.

— Sprzedaliście tego dnia jakieś futro czy coś innego za dwadzieścia kilka tysięcy?

— Nasz sklep ma duże obroty. A teraz sezon. Codziennie kasa jest duża. Zdarzają się dni, że i po kilkadziesiąt tysięcy złotych. Czy była jakaś transakcja na większą sumę? Trzeba byłoby sprawdzić dowody kasowe.

— Cieślikowska miała kilka futer. Nie kupiła ich chyba z pensji?

Pani Wróblewska uśmiechnęła się kątem ust.

— Szefowa, panie majorze, była młodą, przystojną kobietą. Miała dobrą głowę do interesów. Takie kobiety mają po kilka futer... Ostatnio pani Krystyna miała piżmowce, czarne karakuły i jasnopopielate, z długim włosom, rysie kanadyjskie. Znam dobrze te futra, bo wszystkie przecież były kupione w naszym komisie.

— Tutaj?!

— Oczywiście — po minie sprzedawczyni widziało się, że uważa oficera milicji za ostatniego safandulę, który nie rozumie nawet najprymitywniejszych spraw. — Mając trochę pieniędzy, można w komisie nieźle zarobić i nosić ładne futra. Po prostu często klient potrzebuje pieniędzy natychmiast, jak to się mówi, „na wczoraj”. Wtedy gotów jest oddać swój towar za pół ceny. O ile sobie przypominam, nasza szefowa kupiła karakuły za osiemnaście lub za dziewiętnaście tysięcy, a futerko warte było co najmniej trzydzieści pięć. Mogła więc spokojnie nosić je przez kilka miesięcy, a później odsprzedać z poważnym zyskiem komuś, kto właśnie szuka tego rodzaju towaru i gotowy jest za to odpowiednio zapłacić.

— Cieślikowska często tak handlowała futrami?

— Zdarzało się jej — dyplomatycznie odpowiedziała sprzedawczyni. — W razie potrzeby rozporządzała grubszą gotówką. Dlaczego więc nie miała zarobić i w dodatku nie zrobić komuś grzeczności?

Major wolał nie zagłębiać się w dyskusję na temat tak ujętej moralności niektórych pracowników handlu uspołecznionego,

zadał przeto następne pytanie: — Z kim Cieślikowska robiła tego rodzaju transakcje futrzane?

Różni przychodzili do komisju. Wiadomo, jeżeli mieli jakiś większy interes na oku, to zwracali się bezpośrednio do szefowej. Ja nie byłam tego ciekawa, tylko dlatego utrzymałam się przez dziesięć lat w komisjach, chociaż inni, jeśli wysiedzą w takim sklepie trzy lata, już są dumni. Tutaj trzeba dobrze pracować i nie patrzeć drugim na ręce, wtedy i samemu się wyżyje. Jeżeli zbytuo interesować się kierownikiem, to wiadomo, wystawi odpowiednią opinię i człowieka przeniosą. A jakże! Na równorzędne nawet i wyższe stanowisko. Na przykład do sklepu z pasmanterią... Na gołą pensyjkę. Przecież na każde miejsce w komisie czeka kilkadziesiąt, jeżeli nie kilkaset osób. I każda z nich ma plecy. Już i tak panu majorowi za dużo powiedziałam.

Niech pani się nie obawia. Ja nie szukam pracy w komisie. Nam chodzi o złapanie mordercy Krystyny Cieślikowskiej.

Rozumiem to i dlatego mówię wszystko, co wiem tylko w zaufaniu — tu Wróblewska odruchowo ściszyła głos — szefowa najczęściej robiła transakcje z taką grubą szatynką. Nie znam jej nazwiska, ale wiem, że pracuje którymś ze sklepów obuwniczych w Alejach Jerozolimskich. Łatwo będzie ją znaleźć. Jest tam kasjerką. Ta kobieta jeździ co najmniej z dziesięć razy rocznie za granicę, głównie na Węgry i do Bułgarii. Zresztą dokąd się da. Wystawiała do naszego sklepu po kilka futer z Budapesztu, kożuszki bułgarskie. Poza tym drobnicę: płaszcze ortalionowe z Wiednia, misie z Czechosłowacji, koronki z NRD, czasem jakieś lepsze futro ze Związku Radzieckiego. Sama się dziwię, jak ona to robi, że może tak często wyjeżdżać. A żeby kupić, to trzeba czymś zapłacić... Dru-ga podobna do niej handlarka, niska blondynka, rozwódka. Mieszka na Mokotowie, przy Narbutta. Na imię ma Bożena. Przynajmniej tak ją zawsze szefowa nazywała. Przyjeżdżała też do nas jedna marynarzowa ze Szczecina, ale przed dwoma miesiącami, kiedy wiozła ze sobą osiem futer nylonowych, wylegitymowali ją i zabrali na Dworcu Głównym. Ten marynarz był później u nas w sklepie i naradzał się z panią

Krystyną, w jaki sposób wydostać żonę z kryminału. Głupio wpadła.

— Rzeczywiście głupio — przyznał major.

— Każdego gubi nadmierna chęć zarobku — filozofowała pani Wróblewska. — Póki umie poprzestać na małym, zarobi tych kilka setek, to wszystko w porządku. Ale ludzie rzucają się na tysiące lub na dziesiątki tysięcy i taki spotyka ich koniec.

— Miała pani na myśli Cieślikowską?

Ja też. Po co jej aż trzy futra? Po co kupowała tę biżuterię? Bez żadnego ryzyka mogła codziennie zarobić kilka setek.

— Czy ostatnio Cieślikowską była czymś zdenerwowana?

— Tak — przyznała po namyśle pani Janina. — Codziennie prawie do kogoś dzwoniła. Ja tam nie mam zwyczaju słuchać, ale coś niecoś wpadło w moje uszy. Czasami rozmowa przybierała charakter kłótni. Raz słyszałam, jak pani Krystyna komuś powiedziała, że to jest podłość i nadużycie zaufania, i że będzie go to drogo kosztowało.

— To był mężczyzna?

— Tak by wynikało z tej rozmowy. Ale z kim się kłóciła, tego nie wiem.

Po rozmowie z Wróblewską major zamienił jeszcze kilka zdań z księgowym, który przeprowadzał remanent.

— W sklepie wszystko w porządku — księgowy raz jeszcze potwierdził wyniki lustracji. — Nie ma żadnego manka ani superaty.

— W takim interesie można zarabiać i bez manka — zauważył major.

— Naturalnie że można — zgodził się buchalter. — Walczymy z nadużyciami, a przede wszystkim z podmianą, ale złapanie na gorącym uczynku jest bardzo trudne. Tym bardziej że podmiana leży również w interesie klienta, i tego, który sprzedaje, a także często i nabywcy, więc wszyscy wszystkich kryją i nikt słówka nie piśnie.

— Jak to jest z tą podmianą? — zapytał oficer.

— Bardzo prosta kombinacja — wyjaśnił księgowy. — Wyobraźmy sobie klienta, który, dajmy na to, ma do

sprzedania 30 jednakowych płaszczy ortalionowych albo 30 kompletów damskiej bielizny. Nie oddaje całej ilości do komisju, a jedynie 5 sztuk. Tyle też księguje się w książce materiałowej. Teraz sprzedawca upłynnia ten towar, całe pieniądze nie wpłaca do kasy komisju, lecz chowa do kieszeni. A w miejsce sprzedanych płaszczy wstawia następne 5 sztuk. I tak aż do skutku. Komis sprzedał w rzeczywistości 30 płaszczy, a w dowodach kasowych widnieje sprzedaż pięciu. Ten, kto wstawił towar, zyskuje, bo nie i płaci 15 procent marży, a jedynie odpala jakąś ryczałtową sumkę sprzedawcy. Sprzedawca zarabia na lewo, powiedzmy po setce na każdym płaszczu, i za to stara się wypchnąć przede wszystkim ten towar, a nabywcy także często przyznaje się zniżkę od ceny uwidocznionej na towarze.

— Czy to najczęstsze przestępstwo?

— Często. Ale najczęściej sprzedawca dostaje setkę lub więcej „w prezencie” od klienta, który wstawił towar, za to, że szybko go sprzedał.

— To znaczy dostaje za nic?

— Niezupełnie — zastrzegł się księgowy. — Na przykład, jeżeli w sklepie jest kilkadziesiąt płaszczy ortalionowych, a są one w tej samej cenie i podobnej jakości, to w dużej mierze zależy od sprzedawcy, czy upłynni najpierw towar Iksa, czy Ygreka. Zawodowi handlarze dobrze wiedzą o tym i dlatego też umieją być „wdzięczni” za szybką sprzedaż. Właśnie dlatego ludzie tak się biją o to, aby pracować w sklepach komisowych, a nie w innych branżach handlowych.

Przesłuchiwana przez majora kasjerka kategorycznie zaprzeczyła, aby w ciągu ostatnich dni jacyś klienci wpłacali należność za zakupione towary w nowych banknotach tysiącłotowych, o kolejnej numeracji. Podkreślała, że ilekroć inkasowała po kilkanaście tysięcy złotych, głównie za kupowane w komisie futra, otrzymywała pieniądze w różnych odcinkach, przeważnie pięćsetkach, i to mocno zniszczonych, tak że nawet były kłopoty z wpłatami utargu do banku. Kasjerka również starała się powiedzieć jak najmniej.

Kiedy major miał opuszczać sklep, Janina Wróblewska zadała mu dziwne pytanie:

- A bransoletka z szafirem? Co się z nią stało?
- Jaka bransoletka?
- Z błękitnym szafirem.

— W mieszkaniu zmarłej rewizja ujawniła sporo różnej biżuterii. Są tam i bransoletki — oficer milicji nie miał powodu robienia tajemnicy z wyników lustracji w mieszkaniu Cieślikowskiej. Sama przecież Wróblewska wspominała, że kierowniczką komisju kupowała złoto i biżuterię.

— Ja mówię o tej bransoletce, którą szefowa miała zawsze na ręku. Taki złoty wąż, który trzymał w pysku niebieski kamyk. Ile to razy powtarzałam pani Krystynie, że nie powinna tego nosić, bo szafiry przyciągają nieszczęście. Ale ona mnie nie słuchała. Śmiała się, że każdy klejnot, aby był duży i drogi, przynosi szczęście swojemu właścicielowi. A to nieprawda. Szafir jest kamieniem śmierci. Przekonała się o tym pani Cieślikowska, ale za późno. Świeć Panie nad jej duszą.

— Takiej bransoletki nie znaleźliśmy w mieszkaniu.

— Cieślikowska nosiła ją stale na lewej ręce. Nigdy jej nie zdejmowała. Pamiętam dobrze, że miała ten klejnot w dniu swojej śmierci.

— Ja też pamiętam — potwierdziła kasjerka.

— A pan, panie Wietrzyk?

— Ja nic nie wiem — powtórzył uparty sprzedawca.

— Miała, miała na pewno — obstawała przy swoim Wróblewska. — Złoty wąż z błękitnym szafirem.

Major wyjął z kieszeni fotografię zrobioną na miejscu znalezienia zwłok. Widać było na zdjęciu lewą kobiecą rękę, obnażoną aż do łokcia. Podsunął to zdjęcie pani Wróblewskiej. Kobieta wzdygnęła się.

— Nie ma bransoletki — stwierdziła. — A na pewno ją miała wychodząc ze sklepu. Kolego Wietrzyk, niech pan pokaże to zdjęcie szefowej, które robił jej pan na trzynastego marca ubiegłego roku.

— Nie mam. Gdzieś wyrzuciłem.

— Nie opowiadajcie, kolego. Jeszcze trzy dni temu widziałam



je w waszej szufladzie.

Oficer milicji groźnie spojrzął na ekspedienta. Ten zwinął się jak pod uderzeniem bicia, otworzył jedną z szufladek kontuaru i podając małe, amatorskie zdjęcie, mruknął:

— Zupełnie zapomniałem, że je tam włożyłem. Zdawało mi się, że wyrzuciłem. Nie bardzo się udało.

Rzeczywiście, fotografia była niedoświetlona. Przedstawiała wnętrze kantorku za sklepem. Na stole stały butelki, talerze, półmiski. Za stołem siedziało kilka osób podnoszących w górę kieliszki. Najwidoczniej spełniali toast za zdrowie solenizantki, siedzącej na honorowym miejscu. Krystyna Cieślikowska prawdopodobnie była ukrytym mańkutom, bo kieliszek trzymała w lewym ręku. Poniżej przegubu dłoni widać było bransoletkę w kształcie węża.

Major schował fotografię do kieszeni i zwracając się do pana Wietrzyka, polecił mu:

— Jutro przyniesie mi pan do komendy wszystkie zdjęcia i klisze, na których jest Cieślikowska i na których widać, że na lewej ręce ma bransoletkę. Nie radzę panu tłumaczyć się, że nie ma pan żadnego takiego zdjęcia, a klisze zostały zniszczone. Zrozumiano?

— Tak jest, panie majorze — sprzedawca zorientował się, że oficerowi daleko jest do żartów. — Jutro rano przyniosę wszystko, co mam.

— Ta bransoletka była ze złota?

— Tak — wyjaśniła Wróblewska — ale to dęte złoto. Nie ważyła więcej niż ze dwadzieścia gramów. Wiedeńska robota. Szafir niewielki. Jak małe ziarno grochu. Ale bardzo oryginalny. Zupełnie inny jak zwykle szafiry. Błękitny. Nikt by nie przypuszczał, że takie również istnieją.

— Jaką wartość przedstawiała ta bransoletka?

Pani Wróblewska wymownym wzrokiem spojrzała na Wietrzyka. Najwidoczniej uważała, że z nich dwojga ekspedient lepiej zna się na cenach biżuterii.

— Nie miała specjalnej wartości — odpowiedział Bogdan Wietrzyk. — Nawet biorąc pod uwagę oryginalny kamień i starą robotę, wszystko razem w „Jubilerze” wyceniono by na jakieś

cztery i pół tysiąca złotych. Na amatora można by dostać ze sześć, z górą siedem patyków. A i to podczas hossy, uwzględniając, że teraz złoto wysoko stoi.

- Siedem tysięcy — obliczył szybko w myślach oficer. A przecież w torebce było prawie trzy razy tyle. Niewątpliwie nie chodziło tu o mord rabunkowy, niemniej morderca miał jakieś swoje wyliczenie, że zabrał Cieślkowskiej błękitny szafir. Widocznie dla niego ten klejnot miał wartość nie materialną, ale uczuciową.

Wracając do Pałacu Mostowskich, Janusz Kaczanowski pogrążony był w niewesołych myślach. Od początku uważał sprawę za trudną, obecnie jeszcze bardziej utwierdził się w tym przekonaniu. Dochodzenie zapowiadało się na długo. Trzeba będzie rozszyfrować niejednen rozdział życia pięknej kierowniczkii komisii. Zbadać jej interesy, poznać mężczyzn z jej życia, a przede wszystkim odpowiedzieć na zasadnicze pytanie:

- Dlaczego morderca zabrał błękitny szafir, a zostawił 20 tysięcy złotych w torebce, leżącej przy ciele zabitej.

### **ROZDZIAŁ III** **„Chciała być wielką panią”**

Najpierw major Kaczanowski ustalił, kim była owa pechowa marynarzowa, która wpadła na Dworcu Głównym z ośmioma nylonowymi futrami. To było stosunkowo proste do sprawdzenia. Dalsze losy marynarzowej potoczyły się normalną w takich wypadkach koleją. Posiedziała kilka dni w areszcie milicyjnym w Warszawie, a następnie przetransportowano ją do Szczecina, gdzie siedziała do sprawy. Skończyło się na niewielkim wyroku i sporej grzywnie za uprawianie nielegalnego handlu. Mąż-marynarz zdołał się jakoś ze wszystkiego wykręcić. Rzekomo przywiózł tylko dwa futra, wpisane do jego książeczki celnej. Reszta — sześć, stanowiły podobno własność kolegów marynarza. Oficer milicji, który tę sprawę prowadził w Warszawie, przypominał sobie różne

interwencji i propozycje wypuszczenia aresztowanej za kaucją. Ale w dniu śmierci Cieślikowskiej marynarz już żeglował w stronę Japonii, zaś jego żona była w Szczecinie i miała niepodważalne alibi. Zresztą kierowniczką komisju robiła, co mogła, żeby wydostać swoją klientkę z opresji. Jakież więc motywy zbrodni mogli mieć marynarzowa i jej mąż?

Ten ślad okazał się mylmy.

Grubą kasjerkę ze sklepu z butami i szczupłą rozwódkę, blondynkę z ulicy Narbutta na Mokotowie, również udało się odnaleźć. Rejestr ich podróży europejskich był rzeczywiście imponujący. Kiedy jednak w czasie przesłuchania major zapytał każdą z nich, gdzie jest Cerkiew Aleksandra, Pomnik Tysiąclecia i Katedra Świętego Stefana, żadna z pań nawet nie słyszała takich nazw, chociaż Sofię i Budapeszt odwiedzały kilkanaście razy, a i Wiedeń nie był im obcy. Za to Wimpligerstrasse z tamtejszymi hurtowniami znały doskonale. Takie to były turystki!

\*

Początkowo zarówno gruba, jak i blondynka kategorycznie zaprzeczały, jakoby prowadziły jakieś interesy z Krystyną Cieślikowską. Owszem, potwierdzały, że każda z nich, raz czy dwa razy, wstawiała jakiś drobiazg do komisju na Wspólnej, i pamiętały, że kierowniczką była tam młoda i przystojna kobieta, ale poza tym niczego więcej nie wiedzą. Major Kaczanowski był jednak za starym wygą milicyjnym, żeby dał się zbyć byle czym. Szybko udało mu się wytłumaczyć obydwu paniusiom, że tylko szczere opowiedzenie prawdy, i to całej prawdy, może zapobiec znacznie większym przykrościom niż przesłuchanie w charakterze świadka w sprawie śmierci Krystyny Cieślikowskiej. Dopiero wtedy obu niewiastom rozwiązały się języki.

— Cieślikowską była bardzo porządną kobietą — zeznawała „gruba” — i bardzo akuratăną w interesach. Kiedy miałam dużo towaru i musiałam szybko go sprzedać, szlam do pani Krystyny jak w dym po ratunek.

— Tak na piękne oczy to robiła? — zapytał major.

— No... nie. Brała cały towar i płaciła od razu gotówką. Za to potraçała sobie dziesięć do piętnastu procent, zależnie od chodliwości towaru.

— Poza normalną marżą komisu?

— Oczywiście. Ale to i tak się opłacało. Dostawało się gotówkę tego samego dnia, najpóźniej nazajutrz. Bez czekania tygodniami czy miesiącami. Inni brali więcej niż ona. A często można było od Cieślikowskiej pożyczyć na koszty wyjazdu kilka tysięcy złotych.

— Na jaki procent?

— Robiła to wyłącznie z grzeczności — zachnęła się „gruba”.

— Nie brała za to ani grosza. Naturalnie zajmowała się potem sprzedażą towaru.

— Z panią Cieślikowską — zeznawała z kolei rozwódka — współpracowałam kilka lat. Była niesłychanie dokładna w interesach i w rozliczeniach. Że na tym zarabiała, to jasne. Udzielała mi też informacji, dokąd najbardziej kalkuluje się jechać i jaki towar trzeba zabrać, aby zahandlować za granicą. Kilka razy dostałam od niej adresy kupców i hurtowników, a także wskazówki, co i ile przywieźć. Nie wiem, czy z innymi ludźmi kierowniczką komisu prowadziła podobne interesy jak ze mną, ale przypuszczam, że tak. Cieszyła się dobrą opinią wśród klienteli swojego sklepu i wszyscy ją lubili, bo jak się już z nią dogadało o cenę, to zawsze dotrzymywała słowa, a nie urywała w ostatnim momencie, przy wypłacie, dodatkowych procentów, jak to często robią inni.

— Nie wstyd pani tak handlować? Jeszcze, rozumiem, w kraju, ale za granicą? Wystawać w Budapeszcie pod domem towarowym i sprzedawać ręczniki lub prześcieradła?

Blondynka zmieszła się.

— To nie jest przyjemne — przyznała po chwili. — Staram się tego nie robić i sprzedawać wszystko tamtejszym handlarzom, ale nieraz zdarzało się, że nie chcieli kupić. Miałam z tym wracać do Polski? Jestem sama, mąż mnie porzucił, zostałam z trojgiem dzieci — usiłowała tłumaczyć swoje postępowanie. — A poza tym taka gra wciągą. Jak narkotyk. Jest przecież w tym spory element hazardu. Czy sprzeda się zawieszony towar, czy

kupi się coś opłacalnego, czy wszystko szczęśliwie się przewiezie. Raz na naszej granicy zabrali mi nawet moje własne sukienki. Trzeba było znowu jechać, aby się odkuć. Tak, to bardzo wciąga.

Obie przesłuchiwane obstawały przy twierdzeniu, że morderca kryje się na pewno poza kręgiem ludzi, z którymi Cieślikowska robiła swoje niezbyt jasne interesy. Major był skłonny przychylić się do tej opinii. Co prawda w tych sferach zwykle normy moralności nie obowiązują. Każdy stara się zarobić jak najwięcej i wyzyskać przymusowe położenie swojego partnera, ale od tego rodzaju szwindli do morderstwa daleka jeszcze droga.

A poza tym, jeżeli morderstwa dokonano z zemsty za straty w interesach, to dlaczego zbrodniarz zabrał bransoletkę z błękitnym szafirem?

Obydwie „turyстки” wykluczyły także szantaż jako motyw zbrodni. „Gruba” ujęła to lapidarnie:

— Może Cieślikowska mogłaby kogoś szantażować, ale o co? Najwyżej o przemyt lub przestępstwo dewizowe. Trudne do udowodnienia, jeżeli nie przyłapało się na gorącym uczynku. Krystyna nie była głupia. Wiedziała, że to sztuka na raz i nalot na jednego człowieka. Inni natychmiast odskoczyliby od robienia z nią interesów. Nikt nie piłuje gałęzi, na której siedzi.

Bogdan Wietrzyk zjawił się w Pałacu Mostowskich punktualnie o wyznaczonej godzinie. Przyniósł kilka zdjęć Krystyny Cieślikowskiej. A także i klisze. Z tego materiału laboratorium fotograficzne zrobiło komplet fotografii bransoletki z błękitnym szafirem. Specjaliści obliczyli nawet, ile waży sama bransoletka i jakiej wielkości jest ten szafir dziwnego koloru. Potem wykonano kilkaset odbitek podobizny klejnotu i rozesłano do sklepów jubilerskich w całym kraju oraz do wszystkich placówek MO.

Major był tego rodzaju myśliwym, który nie szedł nigdy za jednym tropem, ale badał jednocześnie różne ścieżki w przekonaniu, że jedna z nich musi być prawdziwa i doprowadzi go do celu. Dlatego też oficer milicji postanowił porozmawiać z Alojzym Cieślikowskim, mężem zamordowanej.

Już sam widok zewnętrzny tego człowieka sprawiał sympatyczne wrażenie. Mężczyzna czterdziestokilkuletni, ubrany skromnie, ale bardzo czysto i starannie. Szatyn, o gładko zaczesanych i krótko przyciętych włosach, bez modnych dzisiaj baków. Ogorzała, pociągła twarz, oczy tak niebieskie, jak chyba mógł być niebieski ten „błękitny szafir”, który tajemniczo zniknął z ręki jego tragicznie zmarłej żony. Jako swój zawód Alojzy Cieślikowski podał: spawacz w „Hydrobudowie”.

— Pan zapewne wie o śmierci żony? — zaczął Kaczanowski.

— Kryśka nie żyje?! — mężczyzna zbladł.

— Prawie od tygodnia. Jest już po pogrzebie. Nic pan nie wiedział?

— Pracuję poza Warszawą. Na głuchej wsi. Montujemy tam wieże wysokiego napięcia. Warszawska prasa nie dochodzi. „Głos Olsztyński” nieregularnie. Radia nie ma czasu słuchać, to skąd miałem wiedzieć? Kiedy dzielnicowy przyniósł powiestkę do „Hydrobudowy”, ściągnęli mnie depeszą. Nie domyślałem się nawet, o co chodzi.

— Pani Cieślikowska została zamordowana. W lesie pod Podleśną Górą.

— Na co jej zeszło! — westchnął mężczyzna. — Ano każdy żyje tak, jak sobie wybierze. A kończy tak, jak żył. Ze trzy, cztery lata temu może bym po niej jeszcze zapłakał. Dziś mam oczy suche. Kto ją zabił? Jakiś bandzior? Obrabował?

— Właśnie szukamy tego, kto to zrobił. Znaleziono ją w losie zabita uderzeniem w tył głowy. W torebce miała 20 tysięcy złotych. Tylko z ręki morderca zdjął bransoletkę.

— Taką z niebieskim oczkiem?

— Tak. Z szafirem. Znał pan ten klejnot?

— Widziałem go nieraz na jej ręku. Od tego, jak to nazywała, „błękitnego szafiru” zaczęło się wszystko zło między nami. Ale żeby morderca był taki zawzięty, skończył z nią i zabrał to świecełko, to nie przypuszczałem. Co prawda potraktowała go tak samo jak mnie. To jest gorzej niż psia.

Major słuchał nie przerywając. Wiedział z doświadczenia, że niektórym ludziom trzeba pozwolić na wygadanie się. Dopiero później można stawiać konkretne pytania, dotyczące

zasadniczych faktów. Dlatego na razie milczał.

— Nie ma Krysty — ciągnął swój monolog Alojzy Cieślikowski. — Całe życie chciała być wielką panią. Doczekała się. Łomem w głowę! Na co jej się przydały te wszystkie pieniądze, o które tak zabiegała, i ci wszyscy mężczyźni, których umiała wycisnąć jak cytrynę, a potem rzucić. Jak rozbity garnek na śmietnik. Śmiała się ze mnie. Mówiła: „Urodziłeś się robociarzem i do końca życia będziesz czarnoroboczym. Ja jestem stworzona do lepszego losu, niż być żoną jakiegoś spawacza”. Lepszy los — mężczyzna roześmiał się gorzko. — Umierać pod płotem.

— Nie pod płotem, ale w lesie. A skąd pan wie, że została zabita łomem?

— Panie majorze — Cieślikowski machnął ręką. — Szczerze przyznaję, przed laty może i ja bym się zdobył, żeby w złości zedrzeć jej z ręki tę złotą blaszkę i rozbić ten pusty łeb, ale nie dzisiaj, kiedy minęło osiem lat, jak Krysta odeszła ode mnie. Niepotrzebnie więc łapie pan mnie za słówka. Dodam dla jasności, że od miesiąca nie ruszyłem się dalej niż na kilometr od swojej wieży. Nawet na święta nie przyjechałem do domu, bo plan był w niebezpieczeństwie i trzeba było harować dosłownie dniem i nocą. A sam pan powiedział, że ją zabito uderzeniem w tył głowy. No to czym, jak nie łomem? Może zresztą młotkiem albo odważnikiem na sznurku lub obuchem siekiery? Tym czy innym, skutek taki sam.

— Proszę, niech pan opowie coś o sobie i swojej żonie. Jak i kiedy pan ją poznał? Jak się układało wasze pożycie?

— Pochodzę z Łomży — podjął mężczyzna. — Skończyłem zasadniczą szkołę zawodową i zostałem spawaczem. Najpierw w miejscowym warsztacie, później koledzy namówili, żeby razem z nimi pojechać do „Mostostalu”. Praca dobra, zarobek nie najgorszy, a stale gdzie indziej. Jak to w naszym fachu, z budowy na budowę. Tak trafiłem do Włodawy. Stawialiśmy tam most. Mieszkałem jak zwykle na wsi u jakiegoś gospodarza. Tam poznałem Krystę.

— U tego gospodarza? Była jego córką?

— Nie. Mieszkała we Włodawie. Skończyła szkołę pod-

stawową. Jej matka, wdowa, była woźną w starostwie, to znaczy w Powiatowej Radzie Narodowej. A Krystynę przyjęli za gońca do powiatowego zarządu geesu. Poznałem ją na jakiejś potańcówce, a może w kinie? Nie pamiętam dokładnie. Ładna była, aż strach. Młodsza ode mnie o dziesięć lat. Jak zaczęła na mnie patrzeć, udawać, że się zakochała od pierwszego wejrzenia, pan sam rozumie, w trzy dni byłem gotów. W dwa tygodnie później byliśmy już po ślubie. Wtedy jeszcze nie było tych cywilnych zapowiedzi.

— Rozumiem — przytaknął major.

— Zaraz po ślubie Krysta zaczęła mi suszyć głowę, że się marnuję, że w Warszawie mógłbym więcej zarobić, a ona sama też by znalazła lepszą pracę. Bo co to za kariera? Przecież nie można być całe życie gońcówną. Przyznałem jej rację. Dla nas, spawaczy, zawsze i wszędzie robota się znajdzie. Wystarczyło powiedzieć słówko inżynierowi i przenieśli mnie do stolicy. Jakiś pokój nam wykombinowali. Wprawdzie w „kołchozie”, ale dla dwojga osób na razie dobre było i to. W pobliskiej fabryce miałem znajomka. Spotkałem go zresztą przypadkowo na ulicy. Również z Łomży, a łomżyniacy to taki dziwny naród, że jeden drugiemu pomaga. Kiedy koleś dowiedział się, że żona szuka pracy, powiedział, komu potrzeba, i Krystę przyjęli na lakiernika. Najpierw jako pomoc, dopóki się nie przyuczy. Ale czy była naprawdę zdolna, czy też umiała majstra bajtlować, dość że w niedługim czasie zaczęła wyrabiać dniówki nie gorsze niż ja, stary, doświadczony spawacz. Wtedy żona zapisała się na kursy wieczorowe. Takie dwuletnie dla pracowników handlu. Dziwiłem się nieco, po co jej handel. Niechby raczej spróbowała w technikum. Ale nie protestowałem. Te dwa lata żyliśmy ze sobą bardzo szczęśliwie. Zakochany byłem w żonie i ciągle mi się zdawało, że i jej jestem bliski.

— Skończyła te kursy?

— Trzeba jej oddać sprawiedliwość. Uczyła się bardzo pilnie. Nieraz i noc potrafiła zarwać nad książką. A kiedy dostała papierek, zaraz podziękowała za pracę w fabryce i dostała zajęcie w pewnym sklepie spożywczym. Zarabiała znacznie mniej, bo co tam wtedy płacili ekspedientce? Tyle że, pan



major rozumie, jak to wtedy w handlu było... Ani masła, ani cukru nie kupowało się do domu. Innych artykułów spożywczych także nie brakowało, chociaż z oficjalnym ich kupnem na ogół bywało krucho.

Oficer milicji uśmiechnął się. Towary paczkowane zjawily się w handlu stosunkowo niedawno. A z ich ukazaniem się na półkach sklepowych skończyły się „cuda nad wagą”.

— Znowu minęły dwa lata. Niby w domu wszystko było w porządku, ale jedno mnie martwiło: Krysia nie chciała mieć dzieci. Nieustannie mówiła, że jest za młoda i nie chce sobie życia zawiązywać. Obiecywała, że później, jak się dorobimy. Wtedy dostałem na Pradze pokój z kuchnią. Zarabiałem dobrze, mieszkanie umeblowałem przyzwoicie i zaopatrzyłem, w co potrzeba. Tłumaczyłem, że takie małżeństwo nie daje pełnego szczęścia, że Krysta mogłaby nie pracować, bo sam zarobię na nią, na siebie i dziecko. A ostatecznie są przecież żłobki i przedszkola. A ona nie i nie.

Alojzy Cieślukowski umilkł, aby zapalić papierosa.

— Aż tu raptem pewnego dnia Krysta wraca do domu i powiada, że awansowała. Została kierownikiem sklepu z galanterią. I pensja większa, i stanowisko. Dyrektor ich przedsiębiorstwa, niejaki Robert Malinowski, zwrócił uwagę, że tak dobrze radzi sobie w sklepie spożywczym, i zaproponował jej nowe stanowisko. Byłem taki głupi, że niczego się nie domyślałem i jeszcze się cieszyłem, że moją żonkę umieli docenić.

Major nie przerywał. Sytuacja była schematyczna. Piękna młoda dziewczyna jako ekspedientka i dyrektor mający ogromne możliwości decydowania o jej dalszej karierze.

— Chyba przez rok niczego nie podejrzewałem. Nawet mnie nie dziwiło, że w ich sklepie często urządza się remanent w nocy. Krysta tłumaczyła, że dlatego, aby interesu w dzień nie zamykać dla klienteli i wyrobić plan z nadwyżką. Taki byłem naiwniak, że kiedy żona pojechała do Bułgarii na wczasy, dałem sobie wmówić, że dostała ten wyjazd w nagrodę za najlepiej prowadzony sklep tej branży w całym przedsiębiorstwie. Odprowadziłem ją na dworzec i nie wpadło

mi w oczy, że ten Robert Malinowski wygląda przez okno w sąsiednim wagonie. Wiadomo, słusznie mówią, że mąż dowiadyuje się ostatni.

Spawacz gwałtownym ruchem zgniótł papierosa w popielniczce.

— Aż tu pewnego wieczora Krysta wraca do domu i ma coś złotego na rękę. Przyjrzałem się temu z bliska: wąż z niebieskim kamykiem w pysku. Od razu poznałem, że to złoto. Pytam, skąd ma to cacko, a ona powiada, że dyrektor Malinowski dał jej w prezencie. Pan rozumie, majorze, że darmo się takich rzeczy nie dostaje. Ale jeszcze byłem taki zakochany w żonie, że powiedziałem: „Jutro odniesiesz tę bransoletkę swojemu dyrektorowi i żeby więcej twoja noga w tym sklepie nie pozostała. W Krakowie potrzebują ludzi do pracy w hucie, tam wyjedziemy. Mieszkanie nam dadzą albo się zamieni.”

— Nie zgodziła się?

— Żeby pan major usłyszał, co mi na to odpowiedziała!

Dopiero wówczas zobaczyłem prawdziwą Krystę. Taką, jaką była w rzeczywistości. Wygarnęła mi, że wyszła za mnie za mąż dlatego, że to była jedyna szybka droga z Włodawy do stolicy. Nie myśli być całe życie żoną głupiego robociarza. Będzie wielką panią. Będzie miała futra, klejnoty, samochód. Rozkrzyczała się na całą kamienicę. A bluzgała takimi słówkami, że wreszcie straciłem cierpliwość.

Alojzy Cieślikowski przerwał swoje opowiadanie. Widać było, że temu człowiekowi ciężko jest wracać do tamtych wspomnień.

— Co będę panu majorowi dużo gadał. Po prostu dałem jej po buzi. Zerwała się i jak stała wybiegła na ulicę. Zabrała tylko tę złotą bransoletkę. Na noc już nie wróciła. Kiedy na drugi dzień przyszedłem z roboty, dom był jak po pożarze. Zabrała wszystkie rzeczy. Nawet poduszki i prześcieradła. Nie miałem na czym spać ani w co wytrzeć rąk. Jeszcze gotów byłem zapomnieć o tej awanturze. Poszedłem do sklepu, gdzie pracowała. Kiedy mnie zobaczyła, zagroziła, że wezwie milicję. Co miałem robić? Splunąłem i wyszedłem. Tak skończyło się

nasze małżeństwa.

— Później już pan jej nie widział?

— Parę razy. Po kilku latach, kiedy ból złagodniał, chciałem uporządkować nasze sprawy. Spotkałem się z nią. Nie była jeszcze kierowniczką komisju. Prowadziła wtedy sklep włókienniczy. zaproponowałem, że przeprowadzimy rozwód. Odpowiedziała, że jej nie zależy, a jeżeli chcę, to muszę jej zapłacić 50 tysięcy złotych. Wtedy da swoją zgodę. Odpowiedziałem, że nie kradnę. Wówczas w nos mi się roześmiała. Tak się skończyła nasza pierwsza rozmowa po długiej rozłące.

— A później pan ją widywał?

— Mieszkam z matką. W tym samym mieszkaniu na Pradze. Tak prawdę mówiąc, bywam w nim tylko gościem, bo stale gdzieś na budowie. Przed trzema miesiącami przyszła Krysta do matki i powiada, że kiedy wrócę do Warszawy, żebym się z nią zobaczył. Akurat przyjechałem na niedzielę, a że miałem dodatkowo wolny dzień za pracę w święto, poszedłem do niej.

— Do komisju czy do domu?

— Zaszedłem do komisju, ale powiedziała, abym przyszedł wieczorem do jej mieszkania, bo w sklepie pełno ludzi i nie ma czasu ze mną rozmawiać. Umówiliśmy się, że wpadnę do niej o ósmej wieczorem. Tym razem była bardzo miła. Nawet próbowała mnie czarować tymi swoimi zielonymi ślipiami. Podała kawę, postawiła na stole francuski koniak. W ogóle chwaliła się swoim bogactwem. W jakieś piętnaście minut po moim przyjsciu zjawil się adwokat. Zaczal zagajac, ze takie nie istniejace faktycznie malzenstwo niepotrzebnie wiazze obie strony, ze lepiej zgodnie przeprowadzic rozwod. Odpowiedzialem, ze juz dawno sam to proponowalem, lecz kazano mi zaplacic piecdziesiat tysiecy zlotych. Krysta rozesmiała się i wyjaśniła, że o tych pieniądzech mówiła żartem, ja fałszywie to zrozumiałem, obraziłem się i wyszedłem.

— Zgodził się pan?

— Zgodziłem, ale zastrzegłem, że wszystkie koszty oni biorą na siebie. Pan mecenas na to widocznie czekał, bo od razu wyciągnął z teczki różne dokumenty, żebym podpisał. Potem

przyszło z sądu zawiadomienie o rozprawie. Nie mogłem przyjechać i odpisałem, żeby rozprawa odbyła się w mojej nieobecności. Ja i tak nie wniosę sprzeciwu.

— To było dawno?

— Przed niecałym miesiącem. W drugiej połowie grudnia. Chyba dwudziestego pierwszego. Teraz nie wiem, czy jestem wdowcem, czy rozwodnikiem?

— Sprawdzimy. Potem pan jej nie widział?

— Ja jej nie szukałem, a kiedy ona uzyskała to, co chciała, to mnie więcej nie potrzebowała. Dopiero od pana dowiedziałem się o jej śmierci.

— A ten dyrektor, który podarował jej tę bransoletę?

— Kiedyś, kilka lat temu, spotkałem go w pewnej knajpie. Aż się zdziwiłem, że ważny dyrektor, a w takim podłym lokalu. Był dobrze pod muchą i kiedy mnie spostrzegł, z miejsca do mnie się przysiadł. On chyba wdowiec albo rozwodnik, tyle wiem, że samotny. Starszy od Krysty o dobrych dwadzieścia lat. Kiedy ona uciekła ode mnie do niego, chciał się z nią żenić. Z pół roku go bajtlowała, że ja jestem drań i odgrażałem się, że nie tylko nie dam rozwodu, ale jeszcze zrobię z nią tak — to mówiąc Cieślukowski przeciągnął znaczącym ruchem dłonią przez gardło. — Później go maglowała, żeby załatwił jej mieszkanie, bo to nie wypada, żeby pracownica mieszkała u swojego dyrektora, ponieważ ludzie śmieją się z niej. Tłumaczyła, że to będzie nawet wygodnie, gdyż po ślubie łatwo zamienią dwie kawalerki na jedno większe mieszkanie. Chłop był ustosunkowany, może zresztą i posmarował, gdzie potrzeba, dość że skombinował Kryśce kawalerkę, w której mieszkała przez kilka lat.

— A potem?

— Potem, kiedy Krysta miała już własne mieszkanie, gwizdnęła na dyrektora. Nie był jej potrzebny. Wystawiła go do wiatru, jak mnie. Opowiadał mi: „Pan to przynajmniej na do widzenia mordę jej skuł, ja nie miałem nawet tej satysfakcji”. Po prostu zamknęła mu drzwi przed nosem.

— A posada?

— Och! Miała wtedy innych protektorów. Załatwili jej

najpierw kierownictwo tego sklepu włókienniczego, o którym mówiłem, a z kolei pracę w komisie. Ale kto to był, tego ja nie wiem. Przypuszczam, że dyrektor Malinowski orientuje się w tych sprawach lepiej ode mnie, ale w mojej obecności nie wymienił żadnego nazwiska. Kto ją pochował? — spawacz zmienił temat rozmowy.

— Starszy brat przyjechał z Włodawy — wyjaśnił oficer milicji. — Odszukaliśmy jej rodzinę, a pańska matka powiedziała nam, że od wielu lat nie utrzymujecie ze sobą żadnego kontaktu i że wasze małżeństwo faktycznie ustało. Przesłuchiwałem tego brata.

— Pewnie Mietek? Porządny chłop. Nie miał przewrócone w głowie jak siostrunia.

— Właśnie. Mieczysław. Przyjechał i zajął się wszystkimi formalnościami. Bardzo się zdziwił, kiedy się dowiedział, jaką miał bogatą siostrę, bo Krystyna bardzo rzadko kontaktowała się z rodziną i zawsze narzekała, że żyje w nędzy.

— Widocznie dlatego, żeby nie prosili jej o pomoc. Nie miała się czego obawiać. Znam swojego byłego szwagra i wiem, że prędzej by sobie ręce do łokci urobił, niżby miał Krystę o coś prosić. Bardzo się cieszę, że to całe bogactwo, tak skrzętnie zbierane, przypadnie jemu.

— Niekoniecznie. Jeżeli sąd nie orzekł jeszcze rozwodu, to połowa spadku, naturalnie po zakończeniu śledztwa, będzie należała do pana.

— Nie wezmę nawet złamanego grosza!

— Pańska sprawa — major podał Cieślikowskiemu protokół do podpisu.

Spawacz uważnie przeczytał podany mu protokół i zgodnie z wymogami podpisał się na każdej stronie u dołu oraz na samym końcu dokumentu.

— To mogę już iść? — zapytał.

— Tak. Ale proszę pana o skomunikowanie się ze mną, gdyby pan dowiedział się czegoś nowego lub gdyby pan sobie przypomniał coś, co mogłoby nam pomóc przy odszukaniu mordercy. Proszę też zawiadamiać mnie o każdorazowej zmianie adresu.

— Stałego adresu na pewno nie zmienię — odpowiedział Cieślikowski. — A co do chwilowego miejsca zamieszkania, to kiedy kończy się jedną wieżę, człowiek przenosi się parę kilometrów dalej. Ale w dyrekcji „Hydrobudowy” zawsze wiedzą, gdzie jestem.

— Dobrze. W razie czego poszukam pana za pośrednictwem pańskiej dyrekcji. Dziękuję za udzielone nam informacje.

Alojzy Cieślikowski wstał.

— A swoja drogą, żał mi Krysty — powiedział. — Człowiek pamięta tylko dobre, a zapomina o złym. Dlatego zawsze będę wspominał nasze lata przeżyte we Włodawie i na początku pobytu w Warszawie. Gdyby nie ta jej żądza bogactwa i ambicje wybicia się, do dzisiaj bylibyśmy obydwój szczęśliwi. Mnie sprawiła ból, ale sama szczęścia nie zaznała. Nie przyniósł go jej ten niebieski kamyk. Szkoda jej młodego życia.

To było jedyne ciepłe, naprawdę ludzkie wspomnienie o tej, która chciała być „wielką panią” i marzyła o błyskotliwej karierze, a zdobyła zaledwie garstkę złota i prostokąt żółtego piachu na cmentarzu na Bródnie.

## **ROZDZIAŁ IV**

### **Czy to jest alibi?**

Żelazną zasadą dochodzenia milicyjnego jest dokładne sprawdzenie wszystkich faktów. Nic więc dziwnego, że po przesłuchaniu Alojzego Cieślikowskiego major Janusz Kaczanowski postanowił wyjaśnić, czy spawacz powiedział prawdę.

Odnalezienie akt sprawy rozwodowej w sądzie było proste. Rzeczywiście, pozew o rozwód wniesiony został przez jednego z warszawskich adwokatów. Wyrok w tej sprawie miał zapaść 15 stycznia. Już do tego nie doszło, bo Krystynę Cieślikowską zamordowano trzy dni przed tym. Tak więc z punktu widzenia prawa, małżeństwo nie zostało rozwiązane, a mąż dziedziczył połowę spadku po żonie. Było tego sporo: gotówka, futra, biżuteria, mieszkanie w spółdzielni własnościowej. W sumie,

na Alojzego Cieślikowskiego przypadło około 300 tysięcy złotych.

Wprawdzie wychodząc z gabinetu oficera milicji spawacz zastrzegł się, że z ewentualnego spadku nie weźmie ani złotówki, ale były to tylko słowa. Teraz zjawił się konkretny motyw zabójstwa — chęć zdobycia spadku, skoro nie było żadnej nadziei na powrót żony.

Prowadzący sprawę adwokat potwierdził zasadniczo słowa męża Cieślikowskiej. Krystyna powierzyła mu wniesienie pozwu o rozwód i zaprosiła mecenasa do swojego mieszkania na konferencję z jej byłym małżonkiem. W trakcie tej rozmowy Alojzy nie stawiał żadnych przeszkód, podpisał pełnomocnictwo, zastrzegając jedynie, że nie poniesie żadnych kosztów związanych ze sprawą. Tak to też uzgodniono między małżonkami. Rozwód miał być przeprowadzony bez orzekania o winie którejkolwiek ze stron.

Mecenas stwierdził, że jego klientce bardzo się śpieszyło. Kilkakrotnie podkreślała, że gotowa jest ponieść dodatkowe koszty, aby jak najprędzej mieć wyrok w rękę. Niestety, niestawienie się Cieślikowskiego opóźniło całą procedurę, gdyż jego list zawiadamiający o niemożności przyjazdu do Warszawy i proszący o zwolnienie go od obecności w „terminie pojednawczym” dotarł do sądu po dniu rozprawy, wobec czego została ona odroczone. Właśnie do 15 stycznia.

Pełnomocnik Cieślikowskiej nie umiał jednak zadowolić ciekawości majora, dlatego jego klientka tak nastawała na szybkie zerwanie więzów małżeńskich. Z pewnych fragmentów rozmów, bo Cieślikowska pytała, w jakim terminie po rozwodzie może ponownie wyjść za mąż, prawnik domyślił się, że piękna kierowniczką komisju ma już następcę Alojzego, ale nigdy nie widział tego człowieka ani też nigdy nie padło jego nazwisko.

— To była niesłychanie przystojna i bardzo miła kobieta — mecenas wspominał swoją klientkę. — Umiała trzymać mężczyzn w swoich łapkach. Parę razy zaszedłem do niej, do komisju, i widziałem, jak czarowała tam różnych panów. Zresztą, co tu dużo mówić. Wystarczyło mi kilka minut

obserwacji tego biednego Cieślikowskiego. Babka puściła go kantem w najbardziej ordynarny sposób, ale gdyby wtedy, w czasie naszej rozmowy, kiwnęła małym paluszkiem, poleciałby dla niej w ogień.

— Dlaczego więc zgodził się na rozwód? Przecież jego odmowa bardzo by skomplikowała sprawę. Rozwód nie może być orzeczony wyłącznie na żądanie strony winnej.

— Naturalnie, że byłaby to bardzo poważna przeszkoda, ale Cieślikowski zgodził się bez słowa sprzeciwu. Kiedy go prosiła i błagalnie patrzyła tymi pięknymi oczyma, zgodziłby się wtedy i na zjedzenie łyżki arszeniku.

— Czy to prawda, że przed kilku laty Cieślikowski proponował rozwód, ale ona żądała wtedy pięćdziesięciu tysięcy złotych za zgodę?

— Tych szczegółów nie znam. Moja klientka nigdy mi o tym nie wspominała.

— A w czasie tej konferencji nie powracał do tych warunków?

— Nie.

— Na pewno?

— Z całą pewnością. Nasza rozmowa trwała zresztą krótko. Najwyżej piętnaście, może dwadzieścia minut. Miałem wszystkie dokumenty przygotowane, on je podpisał i zaraz wyszedłem.

— Cieślikowski został?

— Tak. Pani Krystyna go zatrzymała. Może właśnie to było ceną za zgodę na rozwód?... Nie wiem. Kiedy przyszedłem, zastałem ich w bardzo dobrej komitywie, popijających koniak. Moja klientka powitała mnie oświadczeniem, że doszli do porozumienia w sprawie wniesienia pozwu. Tak też musiało być, bo omawiałem jedynie techniczną stronę sprawy i dałem papiery do podpisu.

Po wyjściu adwokata oficer milicji jeszcze raz szczegółowo przeczytał zeznania złożone przed dwoma dniami przez Cieślikowskiego. Między jego słowami a oświadczeniem prawnika istniały poważne sprzeczności. Mąż zamordowanej wyraźnie mówił, że adwokat namawiał go do udzielenia zgody na rozwód, i wspominał o pięćdziesięciu tysiącach złotych,



których rzekomo Krystyna miała zażądać przed kilku laty. Czy te różnice powstały wskutek pomieszania faktów przez świadka, czy też spawacz celowo podał inną wersję rozmowy? A poza tym przemilczał, że tego wieczoru pozostał dłużej w mieszkaniu swojej byłej żony. Czy rzeczywiście, jak to cynicznie zauważył mecenas, piękna pani w ten sposób „zapłaciła” za zgodę na rozwód? To byłaby nawet dość oryginalna transakcja.

W aktach sprawy znalazł się także dokument podpisany przez personalnego Przedsiębiorstwa Państwowego „Hydrobudowa”, stwierdzający, że w dniu 12 stycznia spawacz Alojzy Cieślikowski pracował jak zwykle przy budowie linii wysokiego napięcia w województwie olsztyńskim. Tę okoliczność należało dokładnie zbadać.

Jeden ze współpracowników majora, podporucznik Józef Tomaszewski, wysłany został w Olsztyńskie dla potwierdzenia tego faktu. Młody oficer początkowo nie szukał tam Cieślikowskiego ani nawet kierownika budowy, lecz dotarł do gospodarza, u którego mieszkał spawacz.

— Spokojny człowiek, złego słowa nie mogę powiedzieć — Wojciech Gałązka wystawił swojemu lokatorowi dobre świadectwo. — Nie pije jak inni, względem dziewczuch nie ma tu żadnej obrazy boskiej, płaci akuratnie, a i szacunek dla starszych ludzi ma. Nie to co inni. Panie, jak nam przed dziesięciu laty elektrykę zakładali, to nic, tylko pili dniami i nocami. A ciągle chcieli dopłaty na kupno materiałów. Takich, co się nalewa z butelek...

— A czy w nocy z dwunastego na trzynasty stycznia Cieślikowski był w domu?

Chłop podrapał się w głowę.

— Chyba był.

— A on często nie nocuje?

— A nie. Robota rozrzucona na kilkanaście kilometrów. Jak wypadnie mu robić daleko, zdarza się, że nie wraca. Przy każdej wieży mają dom na kółkach, tam się może przekimnąć i od razu rano stawać do pracy.

— A wtedy, dwunastego stycznia?

— Wiem, że w tamtych dniach zepsuła im się jakaś maszyna i

Cieślukowski ją reperował. Przez kilka nocy sypiał na budowie. Ale czy akuratnie nie było go dwunastego, trudno powiedzieć. Przecież człowiek nie zapisywał na kalendarzu.

— Nie było go — ucięła te rozważania Maria Gałązkowa.

— A ty skąd wiesz? Patrzcie ją!

— Przypomnij sobie, stary. W tamten wtorek cielila się krowa u Bartkowiaków. Co to wołali ciebie w nocy, żebyś pomagał. Pamiętasz, jak stary Bartkowiak stukał palcem w szybę? Długo się dobijał, bo mu się pomyliło i najpierw walił w okno pokoju pana Alojzego. A jego nie było. My przez sień nie słyszeliśmy. Dopiero później, kiedy się spostrzegł i uderzył w nasze okno, otworzyłeś mu.

— Faktycznie. Tak było.

— Na następną noc pan Alojzy też nie wrócił. Przyszedł dopiero trzeciego dnia i opowiadał o tej maszynie, co im się zepsuła i musiał ją naprawiać.

Kierownik budowy potwierdził słowa gospodarza. Alojzy Cieślukowski pracował przy montażu wieży wysokiego napięcia. Razem z całą brygadą spawaczy. Ale w drugiej dekadzie stycznia uległ niewielkiemu uszkodzeniu transformator, oddalony o dziesięć kilometrów od miejsca budowy. Po prostu trzeba było przyspawać obluźnione końcówki. Do tej roboty wydelegowano właśnie doświadczonego specjalistę, Cieślukowskiego. Pracował tam trzy dni: jedenastego, dwunastego i trzynastego stycznia. Transformator naprawił. Czy przez cały czas był na tej nowej budowie i czy nie wracał na noc do domu Gałązków, tego inżynier już nie wiedział. Mógł tylko dodać, że robota wykonana została stosunkowo szybko i bardzo dobrze. Traktor przyciągnął do uszkodzonego transformatora ruchomy warsztat na kółkach, a po zakończeniu roboty ten sam traktor zabrał warsztat z powrotem. Poza tym spawacz pracował zupełnie sam. W warsztacie można było się przespać.

Z oglądanej przez podporucznika mapy powiatu wynikało, że uszkodzony transformator znajdował się zaledwie o półtora kilometra od przystanku PKS na szosie Szczytno—Olsztyn. Wystarczyło wsiąść do autobusu, żeby w ciągu niecałych

czterech godzin być w Warszawie. A później, równie niepostrzeżenie, wrócić i dokończyć naprawy.

Ostatnim rozmówcą podporucznika Tomaszewskiego był spawacz. Cieślikowski dowodził, że przez całe trzy dni pracował przy transformatorze. Dodał też, że każdego ranka kupował w pobliskiej wsi w sklepie geesu żywność na cały dzień, bo robota była pilna, więc pracował bez przerwy do wieczora i tylko pichcił coś do jedzenia na maszynie spirytusowej. Sprzedawca przypominał sobie tego klienta, ale odwiedzał on sklep zawsze rano. Przez te trzy dni nikt inny spawacza nie widział.

— To nie jest alibi — meldował majorowi Tomaszewski po swoim powrocie z Olsztyńskiego. — Facet mógł zamknąć swoją budę na kółkach, pojechać do Warszawy, wykończyć była żonę i zdążyć na ostatni, powrotny autobus. Rano, jak gdyby nigdy nic, iść do spółdzielni po żywność i znowu do roboty. Inżynier mówi, że trzy dni to dobre tempo na naprawę transformatora. Ale Cieślikowski mógł pracować dwa dni i noc, a jeden dzień urwać na załatwienie porachunków z Krystyną.

— Mogło tak być — zgodził się major.

— No, widzi pan! — podporucznik dumny był z wyników swojej misji.

— Ale mogło być inaczej — dokończył spokojnie starszy z oficerów.

— Inaczej?

— Po prostu spawacz pracował przez cały ten czas przy transformatorze, a ktoś inny zabił Cieślikowską.

— Na wszelki wypadek ja bym jednak zamknął tego Alojzego.

— A ja nie.

— Pan major zrobi tak, jak będzie uważał za stosowne — podporucznik był lekko urażony.

— Wy, młodzi — uśmiechnął się Kaczanowski — macie na wszystko jedno lekarstwo: „Zamknąć”. A dopiero później martwicie się, co zrobić z tym fantem, który trzymacie na dole w piwnicy. Łatwo powiedzieć „zamknąć!” Wiem, że poszlaki są dość poważne, może by prokurator i dał sankcję? Ale co dalej? Ten materiał obciążający nie wystarcza nawet na zrobienie procesu poszlakowego.

— Gdyby się go wsadziło i mocno przycisnęło, może by puścił farbę?

— A jeżeli jest niewinny? Czy zastanowił się pan, poruczniku, jaką krzywdę zrobimy człowiekowi pakując go do więzienia pod zarzutem morderstwa? Taki cień będzie się za nim włókł przez całe życie.

— Ale to by nam ułatwiło prowadzenie dochodzenia.

— Wolę jednak nie ułatwiać go takimi metodami. Zresztą nie ucieknie nam. A być może, dowiemy się o nim jeszcze czegoś, co by miało decydujące znaczenie dla sprawy. Poza tym, gdyby Cieślikowski był zabójcą, nie zabierałby błękitnego szafiru. Już raczej pieniądze z torebki.

Tomaszewski próbował znaleźć inny materiał obciążający Cieślikowskiego. Oto kręcąc się po budowie wieży wiertniczej, podporucznik dokonał serii jego zdjęć tak dyskretnie, że zainteresowany tego nie zauważył. Pracownicy milicji okazywali te fotografie personelowi komisji, kolejarzom na stacji w Rzęsowie, na przystankach kolejki w Podleśnej Górze i konduktorom autobusów. Nikt jednak nie mógł potwierdzić, że widział owego mężczyznę w drugiej dekadzie stycznia. Również wywiad przeprowadzony na Pradze, w domu, gdzie mieszkała matka Cieślikowskiego i gdzie on sam był zameldowany, nie dał żadnych rezultatów. Dwunastego stycznia nie widziano spawacza w Warszawie.

Ale to nadal nie świadczyło o tym, że Cieślikowski nie rzucił roboty przy transformatorze i nie przyjechał do stolicy. Tym bardziej że jeden z kierowców autobusów kursujących pomiędzy Olsztynem a Warszawą zeznał, iż przypomina sobie osobnika podobnego do spawacza. Pasażer ten jechał do Warszawy. Kierowca wprawdzie nie pamiętał, gdzie on wysiadł, ale w każdym razie nie w Olsztynie, lecz na którymś z przystanków na trasie. Kierowca tegoż autobusu oświadczył, że doskonale pamięta mężczyznę ubranego w brązową „fufajkę”.

Utkwiło także w pamięci dozorca domu, w którym Cieślikowska miała swoją kawalerkę, że w dniu 12 stycznia widział przed południem człowieka w takiej brązowej fufajce”, wchodził na schody tej klatki, gdzie znajdowało się mieszkanie

kierowniczkę komisji. Dozorca nie zauważył twarzy kręcącego się po posesji ani też nie widział, kiedy opuścił on kamienicę i czy był sam, czy też w towarzystwie Cieślikowskiej.

A więc znowu tylko poszlaka. Za duża wprawdzie, żeby nad osobą spawacza przejść do porządku dziennego, ale i zbyt mała, aby można go było oskarżyć o zbrodnię.

Major Kaczanowski nie podzielił się ze swoim młodym współpracownikiem poważną wątpliwością dotyczącą prawdomówności Alojzego Cieślikowskiego. Wątpliwością, która rzucała cień na pracownika „Hydrobudowy”.

Oto Cieślikowski w pewnym momencie swoich zeznań napomknął, że nie wie, czy jest rozwodnikiem, czy też wdowcem po Krystynie. Motywował to tym, że nie mógł przyjechać w grudniu na rozprawę, więc nie orientuje się, czy wyrok zapadł. Nie było to zgodne z prawdą. Spawacz doskonale wiedział, że do wyroku nie doszło. W aktach sprawy rozwodowej znajdowała się „zwrotka” wezwania, wzywającego Alojzego Cieślikowskiego do stawienia się w drugim terminie, właśnie piętnastego stycznia. Zwrotka opatrzona była własnoręcznym podpisem pozwanego. Przecież ktoś, kto otrzymuje wezwanie do sądu, wie, że w jego sprawie nie zapadł jeszcze wyrok. Co ciekawsze, Cieślikowski nie stawiał się piętnastego stycznia w gmachu sądu. Nie widział go tam pełnomocnik

Krystyny, który wobec śmierci swojej klientki wnosił o umorzenie sprawy. Także i protokół sądowy wyraźnie stwierdzał: „pozwany nie stawiał się”.

Dlaczego spawacz nie przyjechał do Warszawy na rozprawę rozwodową? Czyżby wiedział, że jego żona nie żyje? Po co udawał zaskoczonego i przerażonego, kiedy major zakomunikował mu w czasie przesłuchania w Pałacu Mostowskich o zbrodni popełnionej w Podleśnej Górze?

Alojzy Cieślikowski zrobił na doświadczonym oficerze milicji korzystne wrażenie. Jednakże major doskonale wiedział, że przy prowadzeniu dochodzenia nie można się kierować osobistymi wrażeniami. Dlatego też nie aresztując jeszcze spawacza, uważał go za głównego podejrzanego.

Na razie prowadzący dochodzenie postanowił zapoznać się z osobą innego mężczyzny, który odegrał tak dużą rolę w życiu Krystyny Cieślikowskiej, Roberta Malinowskiego. Wprawdzie w tym czasie Malinowski nie był już wszechwładnym dyrektorem zjednoczenia handlu, a skromnym naczelnikiem wydziału w pewnym urzędzie, lecz odszukanie tego świadka nie przedstawiało żadnych trudności. Kaczanowski wysłał mu wezwanie, wyznaczające godzinę jedenastą jako termin stawienia się nazajutrz w Pałacu.

Maior z niecierpliwością oczekiwał rozmowy z Malinowskim. To właśnie był człowiek, który podarował Krystynie Cieślikowskiej złotego węża z błękitnym szafirem. Jednakże termin przewidziany na wezwaniu minął, a były dyrektor nie stawiał się w gmachu Stołecznej Komendy MO.

## **ROZDZIAŁ V**

### **„Gdybym miał odwagę, to bym zabił”**

Kiedy minęła godzina dwunasta, major Kaczanowski uznał, iż najwyższa pora zatelefonować do urzędu, w którym pracował Malinowski. Może wezwanemu coś się stało, co przeszkodziło mu w punktualnym stawieniu się? Niczego innego nie podejrzewając, oficer milicji nakręcił numer i na prośbę o rozmowę z naczelnikiem wydziału usłyszał w odpowiedzi:

- Pana naczelnika nie ma dzisiaj w biurze.
- Dlaczego? Chory?
- Nie. Po prostu na urlopie.
- Na urlopie? Od kiedy? Przecież wczoraj był w pracy.
- Tak, ale od dzisiaj wziął urlop.
- Na długo?
- Na dwa tygodnie. Wróci pod koniec lutego.

Major odkładając słuchawkę miał gotowy plan działania. Sam uda się do biura Malinowskiego, a jednocześnie podporucznik Tomaszewski odwiedzi mieszkanie byłego dyrektora i jeżeli tam go zastanie, sprowadzi do Pałacu Mostowskich.

- Kolega Malinowski — informował oficera milicji kierownik

działu personalnego — przyszedł do mnie wczoraj z prośbą o udzielenie mu urlopu od zaraz. Mówił, że czuje się źle i chce natychmiast wyjechać. Byłem nieco zdziwiony. Jeżeli ktoś źle się czuje, idzie do lekarza, a nie bierze urlopu. Ale jego sprawa. Ponieważ nie było żadnych przeszkód, a dyrektor wyraził zgodę, Malinowski otrzymał dwa tygodnie urlopu.

— Niech mi pan powie, o której naczelnik Malinowski zjawił się u pana ze swoją prośbą?

— To było już po godzinie drugiej po południu.

— A gdzie Malinowski zazwyczaj spędza urlopy?

— Najczęściej jeździ w Sudety. Szklarska Poręba lub Karpacz.

Kaczanowski wrócił do Pałacu Mostowskich, gdzie czekał na niego podporucznik Tomaszewski z niepomyślnymi wiadomościami. Mieszkanie Malinowskiego zastał zamknięte na kłódkę, a dozorca poinformował, że „pan Malinowski wyjechał wczoraj wieczorem”.

— On zwał — denerwował się podporucznik. — Po otrzymaniu od nas wezwania od ręki załatwił sobie urlop i prysnął. Trzeba rozpisać listy gończe, odszukać faceta i natychmiast go aresztować.

Major nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

— Niedługo, poruczniku, wypełnicie cały nasz areszt mordercami Cieślikowskiej. Przed kilku dniami domagaliście się ode mnie przymknięcia męża zabitej.

Tomaszewski zaczerwienił się. Dopiero w ubiegłym roku skończył szkołę oficerską w Szczytnie i sprawa Cieślikowskiej była jedną z pierwszych poważniejszych spraw, w której brał udział. Z jednej strony młody oficer chciał „się wykazać”, z drugiej grzeszył brakiem cierpliwości i doświadczenia.

— Gdyby miał czyste sumienie, toby nie uciekał — zauważył na swoje usprawiedliwienie.

— Na razie możemy Malinowskiemu zarzucić jedynie dość błahe wykroczenie: niestawienie się pomimo urzędowego wezwania. Ale za to nie można nikogo ani aresztować, ani ścigać listami gończymi. Zapewne, tak przypuszczam, nie chciał być wmieszany w przykrą dla niego sprawę i wyobraził sobie, że jeżeli wyjedzie na dwa tygodnie, to jego stawiennictwo

w gmachu komendy milicji stanie się nieaktualne, bo my przez ten czas znajdziemy zabójcę Cieślikowskiej.

— Ja bym go jednak poszukał — upierał się Tomaszewski.

— Ja też to zrobię, ale bez listów gończych.

— W jaki sposób, panie majorze?

— Dowiedziałem się, że Malinowski zazwyczaj spędza swoje urlopy w Szklarskiej Porębie lub w Karpaczu. To nie jest zawodowy przestępca, lecz człowiek, który nagle zdecydował się na ukrycie. Nie ma z góry przygotowanych „met”. Gdzie więc najłatwiej będzie mu się ukryć? Tam, gdzie ma znajomości i gdzie można wynająć pokój bez obowiązku meldowania się. A wiadomo, że właściciele domów w miejscowościach wczasowych często popełniają tego rodzaju nadużycia, jeżeli zjawiają się u nich „starzy” goście. Poszukamy naszego ptaszka przede wszystkim w Szklarskiej Porębie. Ustalimy, gdzie był meldowany w czasie swoich poprzednich pobytów w górach. Myślę, że w jednym z tych pokoi odnajdziemy go i teraz.

Major miał rację. Za dwa dni Stołeczna Komenda MO otrzymała telefonogram ze Szklarskiej Poręby, że rzeczywiście osoba, której się poszukuje, zatrzymała się tutaj w pewnej willi.

Zastanawiano się, czy Roberta Malinowskiego zatrzymać i przewieźć do Warszawy, czy też wysłać kogoś z milicji warszawskiej, aby porozmawiał z nim na miejscu, w Porębie. Po naradzie u pułkownika Adama Niemirowicza zapadła decyzja, że bardziej właściwym będzie ten drugi sposób. Ostatecznie nie było formalnych podstaw do zatrzymywania i przewiezienia pod konwojem bądź co bądź naczelnika dużego stołecznego urzędu. Tak postępować można w razie ostatecznej konieczności. Wobec tego najbliższym nocnym pociągiem major Kaczanowski pojechał na Dolny Śląsk.

Sudety powitały przybysza pięknym słońcem i wspianym śniegiem, aż proszącym się, żeby go przekrajać płozami nart. Ale oficer milicji nie przyjechał tutaj dla białego szaleństwa. Pozwolił sobie na kilkanaście minut wypoczynku przy śniadaniu, a potem zaczął wytrwale spacerować po jednej z uliczek Szklarskiej Poręby, w pobliżu ładnego, piętrowego domku, bacznie wypatrując poszukiwanego człowieka.



W końcu Kaczanowskiego zaboląły nogi. Od trzech godzin dreptał prawie w tym samym miejscu bez wyniku. Jak na taki piękny dzień, to Malinowski stanowczo zbyt długo śpi!

Wreszcie na ulicy ukazała się sylwetka człowieka, którego oficer milicji dobrze znał z fotografii. Kiedy przechodzień zrównał się z majorem, Kaczanowski uklonił mu się i pozdrowił:

— Dzień dobry, panie Malinowski.

Naczelnik machinalnie odpowiedział tym samym, ale przyjrząwszy się baczniej majorowi zauważył:

— Przepraszam, ale nie przypominam sobie pana, panie...

— W takim razie pozwoli pan, że się przedstawię. Major Kaczanowski ze Stołecznej Komendy.

Malinowski zbladł. Oficer milicji przestraszył się, że ten człowiek zaraz zemdleje z wrażenia. Dopiero byłby bał!

— Ja... Ja... Przysięgam, ja jej nie zabiłem — wykrztusił były dyrektor.

— Nikt o to pana, panie Malinowski, nie posądza — uspokoił go major. — Ale nie będziemy dyskutowali na ulicy. Chodźmy do kawiarni, tam porozmawiamy, a szklanka mocnej, czarnej kawy na pewno się panu przyda.

Malinowski nie protestował. Bezwolnie szedł koło majora. Nie odzywał się ani słowem w czasie drogi i kiedy Kaczanowski wydawał dyspozycje kelnerce. Dopiero gdy usługująca postawiła przed nimi dwie szklanki ciemnego płynu, major spokojnie zapytał:

— Dłaczego, panie Malinowski, nie przyszedł pan do nas pomimo wezwania, a nagle wyjechał? O urlop prosił pan już przecież po otrzymaniu zawiadomienia o terminie przesłuchania.

Malinowski otarł pot z czoła.

— Bałem się — przyznał. — Po prostu bałem się, że oskarżycie mnie o morderstwo. Ale przysięgam, że to nie ja.

— Już raz pan to powiedział — zauważył major.

— Ja nie zamordowałem Krystyny, chociaż może, gdybym miał odwagę, tobym zabił. Nie dzisiaj i nie wtedy dwunastego stycznia, ale wcześniej, znacznie wcześniej.

— Wtedy, kiedy z panem zerwała i nie chciała oddać bransoletki z błękitnym szafirem?

— Skąd pan o tym wie? — zdziwił się Malinowski.

— Milicja ma ten przywilej, że zawsze wie dużo, znacznie więcej, niż się komuś wydaje.

— A jednak pan się myli. Tak, to ja podarowałem Krystynie bransoletkę, ale nigdy nie żądałem jej zwrotu.

Major postanowił nie podtrzymywać w tym momencie tego tematu, a zadał następane pytanie:

— Z jakiego powodu obawiał się pan, że chcemy oskarżyć pana o zabójstwo Cieślikowskiej? Proszę mi to dokładnie wytłumaczyć?

— Ja nie mam alibi.

— Na kiedy?

— Na ten czas, kiedy Krystyna pojechała do Podleśnej Góry.

— Skąd pan wie, że pojechała do Podleśnej Góry, a nie do Rzęsowa?

— Bo przecież — zdziwił się Malinowski niewiedzą majora — ja sam ją odprowadziłem na przystanek kolejki i zszedłem z nią na dół, pomagając jej wsiąść do wagonu.

Tym razem oficer milicji z trudem ukrył zdziwienie.

— A potem?

— Potem tak byłem roztrzęsiony tym dziwnym spotkaniem i tak zdenerwowany, że nie wiedziałem, co ze sobą robić. Chyba ze trzy godziny laziłem bez celu po ulicach, wreszcie wstąpiłem do jednego baru, a później do następnego i tak aż do przerwy .w życiorysie. Dopiero rano ocknałem się we własnym mieszkaniu, na własnym łóżku, ale kompletnie ubrany i z uczuciem, że za chwilę głowa pęknie mi w tysiące kawałków.

— A pamięta pan, od jakiego baru zaczął się ten rajd po knajpach?

— Chyba od „Smakosza”. Tego barku przy restauracji. Pamiętam, że rąbnąłem tam setkę winiaku. Co było dalej, nie wiem.

— A jak to było z tym spotkaniem z Krystyną Cieślikowską?

— Zatelefonowała do mnie i umówiła się na obiad. Do „Grandu”, o trzeciej.

— Wspominał pan, że byłby pan skłonny posunąć się, nawet do zabójstwa, a tu raptem słyszę, że umawiacie się na spotkanie, jak to możliwe?

— Pan jej nie znał. Jedno powiem, że gdyby tak teraz wstała z grobu i weszła do tej kawiarni, to wystarczyłoby jej piętnaście minut, aby zaprowadzić pana, dokąd by zechciała. Kiedy zadzwoniła, przysięgałem sobie, że nie pójdę na to spotkanie. A przecież zwolniłem się z biura i pół godziny wcześniej czekałem na nią w hotelu.

— Czy pan wie, że przy zabitej znaleziono wszystkie rzeczy: dokumenty, większą sumę pieniędzy, cenne futro? Morderca zdarł jedynie z ręki swojej ofiary złotego węża z błękitnym szafirem.

Po tych słowach Malinowski znowu tak pobladł, że major zastanawiał się, czym będzie ratować przesłuchiwanego. Naczelnik zdołał się jednak opanować i powiedział głuchym szeptem:

— Zabrali bransoletkę! Zrobili to naumyślnie, żeby mnie wpakować bez ratunku. Bez ratunku — powtórzył. — A to nie ja. Jak bym mógł zabić Krystynę? Ja ją?

— Niech pan się uspokoi. Proszę wypić kawę.

Były dyrektor podniósł szklanę drżącymi rękoma. Szkło dzwoniło o zęby.

— Kto pana chciał zgubić?

— Nie wiem. Oni, ci, którzy zabili Krystynę. Wiedzieli widocznie jaką wagę przywiązywałem do tej bransoletki. Dlatego ją zabrali, żeby rzucić na mnie podejrzenie. Pewnie i Krystynę w jakiś sposób namówili, aby spotkała się ze mną i abym jej towarzyszył aż do przystanku kolejki.

— Niech pan nie ulega manii prześladowczej — major powiedział to surowym tonem. Wiedział, że na atak hysterii nie ma nic lepszego.

Rzeczywiście podziałało. Malinowski powoli wracał do równowagi.

— Niech pan opowie mi całą historię swojej znajomości z Krystyną Cieślikowską.

— Dobrze. Od czego mam zacząć?

— Od początku. Od pierwszego spotkania tej kobiety.

— To było w 1953 roku. Byłem wtedy dyrektorem dużego zjednoczenia handlowego. Podlegały mi w Warszawie lewobrzeżnej wszystkie sklepy w śródmieściu, z wyjątkiem przedsiębiorstw wyodrębnionych, jak na przykład „Delikatesy”. Obecna struktura handlu jest inna, ale wówczas byłem absolutnym władcą kilkuset zakładów handlowych. Zupełnie przypadkowo zaszedłem pewnego dnia do niewielkiego sklepu spożywczego. Stałem jak oczarowany. Za kontuarem stała młoda dziewczyna. Nie miała jeszcze dziewiętnastu lat. Skończona piękność. Załatwiłem, co miałem do załatwienia, rzuciłem dziewczynie jakiś żart i wyszedłem. Byłbym zapomniał o tym incydencie, ale w dwa dni później spotkałem tę ekspedientkę w moim biurze. Stała na korytarzu.

— Czekala na pana — uśmiechnął się major. — To również był schemat.

Malinowski smętnie przytaknął.

— Teraz mogę przypuszczać, że specjalnie po to przyszła. Wtedy uznałem to za szczęśliwy zbieg okoliczności. Od słowa do słowa, ani się spostrzegłem, jak umówiłem się z Krystyną w kawiarni. Wprawdzie była ode mnie młodsza o przeszło dwadzieścia pięć lat, ale proszę nie zapominać, że i ja byłem młodszy o te piętnaście wiosen.

Major nie przerywał. W duchu musiał przyznać, że ten obecnie sześćdziesięcioletni mężczyzna mógł się jeszcze i dzisiaj podobać kobietom, oczywiście nie osiemnastolatkom. A cóż dopiero przed laty? Malinowski był wysoki, szczupły, o włosach koloru najładniejszej siwizny. Twarz pociągła, cera bardzo ciemna i młode oczy o żywym spojrzeniu. Ruchy miał energiczne, trzymał się prosto. Niewątpliwie był przystojnym „młodzieńcem w starszym wieku”

— Spotkaliśmy się więc w kawiarni. Dziewczyna przyszła punktualnie co do minuty. Co prawda tak fatalnie wystrojona, że oczy bolały. Liczyłem na to, że nie spotkam nikogo ze znajomych, bo dopiero by sobie na mnie używano! Potem sprawy potoczyły się wprost w błyskawicznym tempie. Nie upłynął i tydzień, jak Krystyna została moją kochanką.

Inicjatywa tego nie leżała wyłącznie po mojej stronie. Raczej przeciwnie...

Major upił łyk kawy. Sytuacja była całkowicie typowa: potężny dyrektor i ładna ekspedientka. Ona chce zrobić karierę, on jej może to ułatwić. A wszystko na świecie ma swoją wymierną cenę. Później okazało się, że w tej grze przegranym jest właśnie dyrektor, chociaż początkowo oboje byli przeświadczeni, że wygrywają. Zresztą czy tylko dyrektor przegrał? A Krystyna? Nie doszła przecież do celu, do którego tak zapamiętale dążyła. Padła przed samą metą. Czy ją można uważać za wygrywającą?

— Byłem głupi — ciągnął dalej Malinowski. — Bardzo szybko zakochałem się w tej dziewczynie bez pamięci. Jak to mówią, „na śmierć i życie”. Nie miała żadnego wykształcenia. Szkołka powszechna i jakieś kursy. Musiałem ją właściwie uczyć wszystkiego. Zaczynając od poprawnego trzymania noża i widelca oraz zachowania się w eleganckim lokalu, poprzez trudną sztukę dobierania strojów aż do wskazywania jej odpowiedniej lektury i oprowadzania po muzeach i galeriach sztuki.

— Po co? — cynicznie zapytał oficer milicji.

— Chciałem, żeby moja żona miała odpowiedni poziom intelektualny. Od początku naszego związku postanowiliśmy, że się pobierzemy. Krystyna zapewniała mnie o swojej ogromnej miłości. A ja wierzyłem, mężczyzna, zwłaszcza taki starszy o dwadzieścia kilka lat, zawsze wierzy w takie słowa.

— A Cieślowski? Czyżby pan nie wiedział o jego istnieniu?

— Wiedziałem. Nawet widziałem go z daleka. Zupełnie przypadkowo. Czekałem na Krystynę, kiedy skończy pracę w sklepie, a tymczasem mąż przyszedł po nią niespodziewanie. Znałem go również z opowiadań jego żony. Miał to być wyjątkowy brutal i pijak, często używający pięści w sprzeczkach małżeńskich. Ten człowiek składał się rzekomo z samych wad.

— Jak każdy zdradzany mąż — wtrącił major.

— Krystyna miała duży talent przyswajania sobie wiedzy. W ciągu kilku lat naszej znajomości zamieniła się z prowincjonalnej dziewczyny w uroczą, czarującą wdziękiem i

inteligencją damę. Wiele razy chciałem po męsku rozmówić się z Cieślikowskim. Swój stosunek do Krystyny traktowałem bardzo poważnie. Dążyłem do zalegalizowania go. Ona nie zgadzała się na tę rozstrzygającą rozmowę. Mówiła, że kiedy przyjdzie czas, sama to załatwi. Mnie nic nie wiązało. Byłem od wielu lat wdowcem. Syn kończył politechnikę. Córka na uniwersytecie. Zresztą nie mieszkali ze mną, lecz we Wrocławiu u ciotki, która zaopiekowała się nimi po śmierci siostry. Pomimo to Krystyna zawsze zwlekała. Dopiero historia z bransoletką przesądziła sprawę.

— Błękitny szafir?

— Właśnie teraz będę o nim mówił. Niewiele zostało mi pamiątek po żonie. W powstaniu straciliśmy prawie wszystko. Chyba jedyną biżuterią była ta bransoletka starej, wiedeńskiej roboty. Żona dostała ją jeszcze po swojej babce. Nigdy nie nosiła tego klejnotu. Twierdziła, że szafiry to kamienie śmierci. Przynoszą swoim właścicielkom same nieszczęścia. Także i jej babce, która tragicznie zmarła w katastrofie kolejowej. Nie wierzyłem w ten fatalizm szafirów, uważałem to za przesąd i postanowiłem, że złote cacko, nie mające zresztą jakiejś specjalnej wartości, podaruję córce w dniu jej ślubu.

— A jednak znalazło się na ręku Krystyny Cieślikowskiej.

— Kiedyś, opowiadając Krystynie o zmarłej żonie, pokazałem jej tę bransoletkę i dodałem, że podaruję ją córce z okazji zamążpójścia. Krystyna na razie nic nie powiedziała, ale w stosownym momencie zaczęła mnie prosić, żeby to właśnie jej zrobić prezent z błękitnego szafiru. Kategoriecznie odmówiłem.

Major uśmiechnął się. Wiedział, co było dalej.

— Przez tydzień mnie molestowała. Na próżno obiecywałem, że kupię jej jakiś inny drobiazg, znacznie droższy. Tłumaczyłem, że bransoletka poza tym, że jest rodzinną pamiątką, nie przedstawia wielkiej wartości. Nic nie pomagało. Krystyna uparła się, że musi mieć tę, a nie żadną inną bransoletkę.

— Wygrała — stwierdził major. — Musiała wygrać!

Ja ją kochałem. Jedenastego dnia włożyłem na jej rękę złotego węża.

Malinowski zamilkł, pogrążając się we wspomnieniach. Potem westchnął, jak człowiek obudzony ze snu, i powiedział:

— Chciałbym się przed panem usprawiedliwić, majorze. Kiedy moja córka wychodziła za męża, w prezencie ślubnym dostała od ojca piękną bransoletkę. Wprawdzie bez szafiru, ale może dlatego jest szczęśliwa? Szczęśliwa i tryumfująca była wówczas i Krystyna. Wyszła z mojego mieszkania z szafirem na rękę. Wróciła zaledwie po dwóch godzinach. Powiedziała mi, że widok bransoletki przypawił jej męża o atak szału. Cieślukowski zbił ją i wyrzucił z domu. Pewnie i wtedy kłamała.

— No, niezupełnie — powiedział major na pocieszenie. — W każdym razie dostała po buzi.

— Tak się rozstrzygnęła sprawa małżeństwa Cieślukowskich. Byłem z tego bardzo zadowolony. Nic już nie stało na przeszkodzie, żebyśmy byli razem. Muszę tu jeszcze dodać, że jako dyrektor wielkiego zjednoczenia nie miałem najmniejszych trudności z awansowaniem Krystyny na kierowniczkę jednego ze sklepów. Można to nazwać kumoterstwem lub nepotyzmem, faktem jest, że na nowym stanowisku ta dziewczyna pokazała swoje nieprzeciętne zdolności organizacyjne. Jej sklep bardzo szybko wysunął się na czoło najlepszych naszych placówek handlowych.

— To był ten sklep włókienniczy?

— Nie. Sklep z galanterią. Placówką włókienniczą Krystyna kierowała po zerwaniu ze mną. Dojdę i do tego.

Wracając jednak do tematu, nie mogłem sobie wytłumaczyć, dlaczego Krystyna, mieszkając już ze mną, wcale się nie kwapi do wniesienia sprawy o rozwód. Wkrótce wyłonił się nowy problem. Dziewczyna uznała, że mieszkanie pod jednym dachem, bez ślubu, dyrektora i jego podwładnej stawia ją w dwuznacznej sytuacji, a także podrywa mój autorytet. Przyznaję, było w tym sporo prawdy, chociaż skłonny byłem na nic nie zważać. Kiedy jednak Krystyna zaczęła mnie męczyć, aby zdobyć dla niej jakieś mieszkanie, zgodziłem się na to bez sprzeciwu. Argumentowała zresztą, że później, po naszym ślubie, bo to przecież było postanowione, łatwiej będzie zamienić nam dwie kawalerki na większy lokal. Miałem

pieniądze, miałem stosunki i załatwiłem jej przydział mieszkania.

— To ta kawalerka, w której mieszkała aż do śmierci?

— Nie. Inna. Tamta była przerobiona z dużego pokoju we wspólnym mieszkaniu. Kwaterunkowa. Ta obecna, to jak na warszawskie stosunki, luksusowe mieszkanie w spółdzielni własnościowej.

Malinowski zapalił papierosa.

— Kiedy Krystyna zdobyła upragnione mieszkanie, nasza sielanka trwała krótko. Widocznie Cieślukowska doszła do wniosku, że nie jestem już jej potrzebny. Była kierowniczką sklepu, dobrze zarabiała, miała własne lokum. Żeby posunąć się o następny szczebel w karierze, musiała znaleźć sobie kogoś innego. Mnie można było wyrzucić na śmietnik. Nie wiem, w jaki sposób rozstała się z Cieślukowskim, przypuszczam, że uczyniła to z taką samą brutalnością, jak ze mną. Po prostu pewnego dnia nie wpuściła mnie do mieszkania, oświadczając, że jest tam ktoś inny. Zdążyła mi jeszcze przez uchylone drzwi powiedzieć, iż nie jest taka głupia, aby wiązać sobie życie ze starym dziadem. Zapowiedziała, abym nie liczył na zwrot bransoletki z szafirem. Będzie ją nosiła stale na ręku, to jest jej talizman, a wszyscy mężczyźni są bandą durni, z którymi kobieta może robić, co tylko zechce. Oczywiście wszystko było powiedziane w znacznie ordynarniejszej formie, niż ja to panu powtarzam. Cała nabyta kultura spłynęła z niej wtedy jak woda z kaczki. Pozostała zwykłą dziewczuchą spod Włodawy. Ostrzegła mnie również, żebym nie próbował się mścić, bo może mnie to drogo kosztować.

— Chodziło jej o tę posadę w sklepie?

— Tak przypuszczam. Nie przeczę, że wtedy pragnąłem zemsty. Ale nie tego rodzaju. Gdybym nie był takim tchórzem, kto wie, czy nie posunąłbym się nawet do zbrodni. Natomiast nie przyszło mi do głowy, żeby zwalniać Krystynę z pracy. Pomimo to w niecałe dwa tygodnie później przestałem być dyrektorem zjednoczenia handlowego.

— Dlaczego?

— Przyznaję, że w życiorysie przemilczałem pewien szczegół



mojego życia. Uważałem go zresztą za incydent bez znaczenia.

— Jaki?

— W momencie wybuchu powstania warszawskiego, tak jak tysiące mieszkańców stolicy, chciałem walczyć z bronią w rękę. Zgłosiłem się więc do najbliższego oddziału wojskowego, który stacjonował w sąsiedniej kamienicy. Nie wybierałem go ani też nie orientowałem się zbyt w odcieniach politycznych ówczesnych organizacji wojskowych. Moja kariera powstańcza trwała zaledwie pięć dni. Po otrzymaniu ciężkiego postrzału aż do kapitulacji przeleżałem w szpitalu. Te fakty zataiłem w mojej ankiecie personalnej. Liczyłem, że nikt się o tym nie dowie, a wiedziałem aż za dobrze, iż wymienienie nazwy tej formacji, z którą złączył mnie jedynie przypadek, mogło mi zaszkodzić, bo nikt nie zechce dociekać, jak było naprawdę.

— I to się wydało?

— Przed Krystyną nie miałem żadnych tajemnic. Mówiłem jej i o tym. Dziwnym trafem, natychmiast po naszym rozstaniu, te szczegóły poznał również personalny w ministerstwie, któremu podlegałem. Zwolniono mnie dyscyplinarnie, z dnia na dzień. Grożono mi nawet prokuratorem i sprawą, ale jakoś do tego nie doszło. Przez kilka lat pełniłem funkcje magazyniera w pewnej spółdzielni. Dopiero po październiku mogłem wrócić do pracy w jednym z centralnych urzędów. Na stanowisko naczelnika wydziału. Po tych doświadczeniach wolę nie awansować wyżej, chociaż kilkakrotnie miałem bardzo ciekawe propozycje.

— Później widywał się pan z Cieślukowską?

— Raz czy dwa razy zobaczyłem ją w jakimś lokalu. Naturalnie natychmiast go opuściłem. Kilkakrotnie minęła mnie na ulicy. O jej losach i dalszej karierze miałem wiadomości od znajomych z okresu, kiedy byłem jeszcze dyrektorem. Aż do 12 stycznia nie zamieniłem z nią ani słowa.

— To jest do dnia jej śmierci?

— Tak.

— Wspominał pan już o tym spotkaniu, proszę teraz opowiedzieć to szczegółowo.

— Dwunastego stycznia z rana poproszono mnie do telefonu.

Ku mojemu wielkiemu zdumieniu usłyszałem w słuchawce głos Krystyny. W pierwszej chwili myślałem, że się mylę, ale to rzeczywiście była ona.

— Co mówiła?

— Była nadzwyczaj miła i serdeczna. Po prostu jak ktoś z przyjaciół, którego nie widziało się kilka dni. Śmiała się, że przecież nie możemy do końca naszych dni żyć w gniewie. Dodała, że ona wiele rzeczy przez ten czas zrozumiała i wiele żałuje. Chciałaby się ze mną zobaczyć i proponowała wspólne zjedzenie obiadu. Uważała, że najlepiej będzie, jeżeli spotkamy się o trzeciej w „Grandzie”. Słuchałem i milczałem. Dopiero pod koniec wykrztusiłem, że przyjdę punktualnie. W odpowiedzi dowiedziałem się, że jestem miły i kochany. Przysięgałem sobie, że nie pójdę na ten obiad, i pobiegłem pół godziny wcześniej.

— A pani Krystyna?

— Była punktualna co do minuty. Jak zwykle piękna i elegancka.

— Z błękitnym szafirem na ręce?

— Oczywiście!

— Jest pan tego pewien?

— Najzupełniej. Pierwsze jej słowa po powitaniu dotyczyły właśnie tego klejnotu. Pamiętam i powtórzę dosłownie: „Widzisz, Rob, nie noszę nawet pierścionka, a jedynie pamiątkę po tobie, błękitny szafir. Dlatego, że przypomina mi tyle miłych minionych chwil”.

— Jaki był cel tego obiadu? Chyba nie sądzi pan, że ta kobieta tak raptem stęskniła się za panem?

Malinowski roześmiał się.

— Teraz, kiedy czar prysnął, zdaję sobie sprawę, że chciała mnie jeszcze raz wykorzystać. Wtedy jednak byłem bliski temu, żeby znowu jej uwierzyć.

— Czego chciała?

— Żeby jej pomógł w wyjeździe za granicę.

— Dokąd?

— Do Londynu.

— Ale w jaki sposób?

Malinowski uśmiechnął się.

— Krystynie ciągle się wydawało, że u nas wszystko można załatwić dzięki znajomościom. Wiedziała, że w naszym urzędzie ja właśnie załatwiam, między innymi, sprawy paszportowe dla tych urzędników, których delegujemy za granicę. Z tego tytułu bywam częstym gościem w biurze paszportowym. Zależało jej na przyśpieszeniu wyjazdu.

— Miała zaproszenie?

— Tak. Twierdziła, że złożyła wszystkie dokumenty i miała opłaconą podróż.

— To i tak by dostała paszport. Nie rozumiem, dlaczego obawiała się odmowy?

— To samo i ja jej mówiłem. Nie chciała wierzyć. Powoływała się nawet na przykład dwóch znajomych, klientek komisju, którym odmówiono wydania paszportów. Poza tym ogromnie jej zależało na jak najszybszym wyjeździe.

— Chciała uciekać?

— Nie przypuszczam. Po co? Czy było jej tu źle? Mówiła, że w Londynie może zrobić wielki interes. Taki, że będzie bardzo bogata. Starczy jej do końca życia. Dawała mi do zrozumienia, że po powrocie z Anglii... — Malinowski urwał w pół zdania.

— Wróci do pana?

— Wspominała, że wniosła pozew o rozwód i otrzyma go w najbliższych dniach. Twierdziła, że wiele w życiu przeszła i chciałaby bez troski żyć przy boku człowieka, o którym wie, że naprawdę ją kocha.

— Przyrzekł pan jej tę interwencję?

Malinowski nie odpowiedział na to pytanie.

— Niech pan się nie obawia. Rozmawiamy w cztery oczy i w tej chwili nie przesłuchuję pana oficjalnie. To nastąpi dopiero w Warszawie. Obiecuję panu, że wtedy nie postawię tego pytania.

— Przyrzekłem — były dyrektor zaczerwienił się jak burak.

— Czy Cieślikowska wspominała panu coś więcej na temat tego wielkiego londyńskiego interesu?

— Nie. Ani słówka.

— Co było dalej?

— Po obiedzie oświadczyła, że musi pojechać do Podleśnej Góry, i zaproponowała, abym odprowadził ją do kolejki. Przy pożegnaniu obiecywała, że za parę dni znowu zatelefonuje i wówczas umówimy się u niej w mieszkaniu.

— I to pana tak zdenerwowało?

— Dopiero kiedy odjechała, zdałem sobie sprawę, jakim jestem durniem i jak łatwo wodzić mnie za nos. Byłem wściekły na siebie. Skończyło się na tym, że załamałem sobie drobny kaszkę. A potem, kiedy dostałem od was wezwanie, zrozumiałem, że posądzacie mnie o zamordowanie Krystyny, i znowu stchórzyłem. Zamiast przyjść do was i wszystko opowiedzieć, uciekłem tutaj. Jakim sposobem od razu mnie znaleźliście? Chciałem przeczekać pewien czas w ukryciu, licząc na to, że sprawa się wyjaśni.

— A tylko zmusił mnie pan do tłuczenia się dwie noce w pociągu!

— Przepraszam. Byłem głupi. Zresztą nie pierwszy raz w życiu.

Major nie zaprzeczył. Wstał z krzesła i powiedział: — Jak pan widzi, nie przyjechałem tu, aby pana aresztować. Na tym zakończymy dzisiaj naszą rozmowę. Niech pan wraca do Warszawy i po przyjeździe proszę zgłosić się do mnie. Muszę mieć oficjalny protokół przesłuchania. Udzielił pan nam wielu ciekawych i ważnych informacji. Ale mam jeszcze jedno pytanie...

— Słucham?

— Kto był pana następcą u boku Cieślikowskiej?

— Nieżyjący już dzisiaj dyrektor Kamiński. Ale bardzo krótko. To chyba jedyny człowiek, który szybko przejrzał Krystynę i nie pozwolił jej wodzić się za nos. Jednak załatwił jej zamianę sklepu galanteryjnego na znacznie większy magazyn włókienniczy.

— A po nim?

— Stefan Lanota. Bogaty badylarz.

— Dziękuję. Oczekuję pana w Warszawie.

— Na pewno się zgłoszę, panie majorze.

## ROZDZIAŁ VI

### Komis zamknięto o szesnastej

Major Janusz Kaczanowski długo i uważnie czytał protokół z przesłuchania Roberta Malinowskiego. Zebrał też wiele opinii o byłym dyrektorze zjednoczenia, a obecnym naczelniku wydziału. Opinie te były jednoznaczne: energiczny, często nawet może zbyt ostry i bezwzględny wobec podległych mu ludzi; bardzo wymagający od innych, ale i sam pracowity; doskonały fachowiec, już dawno byłby dyrektorem departamentu, gdyby właśnie nie ta zbytnia surowość w postępowaniu z podwładnymi i... gdyby sam chciał awansować wyżej.

A jakim przedstawił się Malinowski w swoich własnych zeznaniach?

Tu rysował się człowiek słaby, pełen sentymentów. Pozwalający prowadzić się na pasku zwykłej prowincjonalnej gąsce z ładną buzią. Wprawdzie ta kobieta po latach przemieniła się w zdolnego handlowca i lwicę, może nie tyle salonów, co kawiarni i dansingów, ale wtedy, kiedy zauważyło ją dyrektorskie oko w małym sklepiku spożywczym, daleko jej było do tych wszystkich umiejętności.

A później, w wiele lat po zerwaniu, ten mocny człowiek, dyrektor Malinowski, zostaje wytracony z równowagi spotkaniem z byłą kochanką do tego stopnia, że włóczy się bez celu przez parę godzin po ulicach Warszawy, by wreszcie „zalać się w trupa”. Kto ma w to uwierzyć? Oficer milicji sprawdził, że istotnie Malinowski był w barze „Smakosz” gdzieś około godziny siódmej wieczorem i naprawdę wypił setkę winiaku, ale przyjmując, że Krystynę Cieślikowską zamordowano pomiędzy piątą a szóstą, morderca miał aż nadto czasu, żeby spokojnie kolejką lub kolejką wrócić do Warszawy i siły nadwątlone „mokrą robotą” pokrzepić kieliszkiem alkoholu.

A ta nagła ucieczka z Warszawy? Czym ją wytłumaczyć? Złym stanem nerwów? Załamaniem się? Czy też po prostu koniecznością odprężenia po ogromnym napięciu, w którym

żyje morderca zdający sobie sprawę, że cały ogromny aparat sprawiedliwości pracuje dla zdemaskowania zbrodniarza.

Oficer milicji zdołał sprawdzić nawet wycinek opowiadania naczelnika oddziału, dotyczący nagłego usunięcia go ze stanowiska dyrektora zjednoczenia. Rzeczywiście, powodem było zatajenie przynależności do pewnej organizacji politycznej, wyraźnie faszystowskiej i pod koniec wojny idącej na współpracę z Niemcami. Czy Malinowski naprawdę trafił do tych ludzi przypadkowo w czasie powstania warszawskiego, czy związany był z nimi wcześniej, tego już dzisiaj nie da się ustalić. Zresztą po dwudziestu kilku latach problem stracił swoją ostrość. Faktem również było, że do ministerstwa wpłynął anonim ujawniający te sprawy. Czy był pisany przez jego byłą kochankę? Major raczej w to wierzył. Prędzej niż w zapewnienia Malinowskiego, że ani mu w głowie powstała myśl i zemście na Cieślukowskiej.

W sumie dawny dyrektor miał niewątpliwie sporo powodów do tego, aby znienawidzić swoją dawną miłość. Oficer znał dobrze z kronik milicyjnych takie wypadki, że zastarzała, maniackalna nienawiść przeradzała się w zbrodnię, i to nawet po wielu, wielu latach.

Znowu poszły w ruch fotografie. Wywiadowcy milicji okazywali je wielu ludziom zarówno w Rzęsowie, jak i w Podleśnej Górze. Kolejarzom, pracownikom PKS-u. Konkretnych wyników nie otrzymano. Nie znaleziono żadnego świadka, który mógłby kategorycznie stwierdzić, że widział Malinowskiego w tamtych okolicach. Wiele osób zeznało, że, ich zdaniem, podobny osobnik kręcił się po Podleśnej Górze. „Ale nie mógłbym przysiąc, że to on” — zastrzegali się każdy z tych świadków, zanim podpisał protokół zeznań. Tak więc sprawa, czy Malinowski tylko odprowadził Cieślukowską na dworzec, do czego się przyznawał, czy też pojechał z nią do Podleśnej Góry, czemu zaprzeczał, pozostała otwarta.

Zebrało się niemało poważnych poszlak. Za mało jednak, aby można było Malinowskiemu postawić zarzut zamordowania byłej kochanki, zbyt dużo, żeby go nie uznać za bardzo podejrzanego o popełnienie tej zbrodni.

Na liście majora zjawilo się przeto drugie już nazwisko potencjalnego mordercy.

Kaczanowskiego zainteresował szczególnie fragment zeznań byłego dyrektora mówiący o tym, że Cieślikowską wybierała się do Londynu. Że tak bardzo zależało jej na pośpiechu w uzyskaniu paszportu i że w Anglii miała zrobić jakiś kolosalny interes. Miał on nareszcie urzeczywistnić cel, do którego tak konsekwentnie dążyła przez całe życie: zdobycia wielkich pieniędzy. Jeżeli Malinowski mówił prawdę, piękna kierowniczką komisji za ten drobniak, przyspieszenie załatwienia formalności paszportowych, gotowa była, nazwijmy to delikatnie, dać dowody wdzięczności swojemu dawnemu kochankowi.

Sprawdzono w biurze paszportowym. Rzeczywiście, w dniu 9 stycznia Krystyna Cieślikowska złożyła wniosek o wydanie jej paszportu do Anglii. Wyjeżdżała na zaproszenie jakiejś Angielki. Zaproszenie było w zupełnym porządku, poświadczony przez Konsulat Polski w Londynie. Przy wniosku paszportowym znajdowało się zaświadczenie „Orbisu”, że koszty podróży w obie strony zapraszająca zapłaciła w dewizach. Wniosek poświadczyla dyrekcja komisji, że Cieślikowska otrzymała od pracodawcy pozwolenie na wyjazd za granicę i że przyznano jej w tym celu odpowiedni urlop. Major upewnił się, że kierowniczką komisji otrzymałaby zgodę na wyjazd. Wobec dużego napływu wniosków paszportowych decyzja ta zapadłaby w ciągu sześciu tygodni od dnia złożenia dokumentów.

A więc dlaczego Cieślikowskiej tak się śpieszyło? Dlaczego koniecznie chciała skrócić ten termin?

Czyżby zamierzała uciec? Popełniła tutaj jakieś przestępstwo i grunt palił jej się pod nogami?

Nie było żadnych podstaw do takiego twierdzenia. Nawet niespodziewany remanent w sklepie wykazał, że wszystko jest w jak największym porządku. Tej pięknej kobiecie powodziło się w Warszawie doskonale. Miała wielu wielbicieli, szafę pięknych strojów, pieniądze i biżuterię. To nie była już dawna gaska z Włodawy, ale kobieta mądra i doświadczona. Musiała

zdawać sobie sprawę, że nie ma żadnych szans pomyślnego startu życiowego na londyńskim bruku. A cóż dopiero szans zrobienia wielkiej kariery.

Jeżeli jednak Cieślukowskiej tak zależało na szybkim wyjeździe, miała jakieś ukryte powody. Ale jaki wielki interes można zrobić w czasie krótkiego pobytu w Anglii? Przecież prosiła o paszport na jeden miesiąc. Wielka afera przemytnicza? Żeby ją zrobić, trzeba mieć wielkie pieniądze za granicą. Można nielegalnie przewieźć kilkaset lub nawet kilka tysięcy dolarów, ale to nie są tam wielkie pieniądze. A większej sumy nie da się przemycić. Zbyt wielkie ryzyko i zbyt duże trudności techniczne.

A zatem?... Major znał tylko jedną możliwość zarobienia dużej kwoty przy malej fatydzce i ogromnym ryzyku. Heroina! Za kilogram tego białego proszku płacą ponad dwieście tysięcy dolarów na rynkach Londynu lub Nowego Jorku. Drogi tego narkotyku ze Wschodu do wielkich stolic świata przebiegają przez różne kraje. Między innymi wielkie gangi handlarzy „białą śmiercią” próbowały szlaku i przez Turcję, Rumunię, Czechosłowację i Polskę. Liczyły na to, że w tych krajach liczba narkomanów jest wręcz znikoma, a więc i milicja mniej wyczulona na tego rodzaju przestępstwa. Kierowniczką sklepu komisowego ma różne znajomości. Może ktoś zaproponował jej przewiezienie takiej paczuszki z Warszawy do Londynu? Zapłata za przewiezienie pewnej ilości heroiny i za odważenie się na takie przedsięwzięcie, bo sądy państw zachodnio-europejskich karzą za handel narkotykami aż do piętnastu lat więzienia włącznie, mogło wynosić nawet kilkadziesiąt tysięcy dolarów. Dla Cieślukowskiej byłyby to naprawdę wielkie pieniądze.

Czy ta kobieta byłaby zdolna do podjęcia takiego ryzyka?

Kaczanowski nie wątpił, że tak. Całe jej życie było przecież grą o wielką stawkę. Dla zdobycia pieniędzy córka woźnej z Włodawy gotowa byłaby złamać wszelkie prawa ludzkie i boskie.

W Komendzie Głównej MO istnieje specjalny referat poświęcony walce z narkotykami. Tam także Kaczanowski



szukał informacji. Nazwisko Cieślikowska było na Ksawerowie zupełnie nieznane. Nie wykluczano tam wprawdzie, że przez Warszawę mógłby przejść ładunek białego proszku, ale raczej uważano to za mało prawdopodobne. Po dużych wsypach zarówno w Polsce, jak i w Czechosłowacji, tę drogę handlarze heroiny uznali za niebezpieczną.

Okazało się, że nawet ta, tak mało prawdopodobna hipoteza, nie znajdowała potwierdzenia. Dlaczego więc Cieślikowska opowiadała o wielkich pieniądzach, dlaczego zginęła w lesie pod Rzęsowem, dlaczego morderca zabrał jedynie bransoletkę z błękitnym szafirem? Dochodzenie trwało już przeszło miesiąc, a rozwiązanie zagadki nie posunęło się nawet o krok naprzód.

Oficer milicji postanowił po raz drugi „pomaglować” pracowników komisju. Dzisiaj był w lepszej sytuacji niż przed kilku tygodniami. Miał w swoim ręku sporo atutów. Zdołał zajrzeć nieco za kulisy życia Krystyny Cieślikowskiej. Teraz trudno go było zbyć sakramentalnym „ja nic nie wiem”.

Na pierwszy ogień oficer milicji wziął kasjerkę Ewelinę Chałamarską.

— Przy kasie, na małym stolczku, stoi aparat telefoniczny — zaatakował major. — Wszystkie telefony pani odbiera. Kto najczęściej dzwonił do Cieślikowskiej?

— Ja nie wiem. Nigdy nie pytam, kto dzwoni.

— To jasne, że pani nie pyta, ale jeżeli jedna i ta sama osoba często telefonuje, to w końcu poznaje się ją po głosie.

— Do kierowniczkii wiele osób telefonowało.

— Co było treścią rozmów?

Pani Chałamarska zrobiła obrażoną minę.

— Nie podsłuchuję cudzych rozmów.

— Proszę pani — głos majora przybrał groźne akcenty — nie bawmy się w ciuciubabkę. Popelniono morderstwo. Moim zadaniem jest je wykryć. Dlatego też uważam, że ten, kto mi to utrudnia, jest współnikiem mordercy, i będę z nim postępował w ten sposób, w jaki postępuje się z przestępcami. Zrozumiała pani? Czy mam to wytłumaczyć bardziej dosadnie?

Kasjerkka kiwnęła głową.

– A teraz proszę odpowiadać na moje pytania.

– Do kierowniczkę najczęściej dzwoniło w sprawie towarów. Pytano, czy już sprzedane. Pani Cieślukowska miała sporo własnych klientów.

– Czy wspominała kiedyś w tych rozmowach o wyjeździe do Podleśnej Góry?

– Tylko wtedy, kiedy telefonował do niej ten Anglik.

– Jaki Anglik?

– Przychodził kiedyś do nas do sklepu. Ale ani nie kupował, ani nie sprzedawał. Wydawało mi się, że był... zainteresowany panią Krystyną. Potem często dzwonił. Czasami Cieślukowska mówiła, że przyjedzie do Podleśnej Góry. Ale od pewnego czasu ten pan nie telefonował.

– A nadal przychodził?

– Nie.

– Jak dawno ustały te telefony?

– Od jakichś trzech miesięcy.

– Czy rozmawiali po angielsku?

– Nie. Przecież bym nie rozumiała. Nie znam angielskiego.

– Ten Anglik zna język polski?

– Tak. Mówił płynnie, ale po akcencie można było poznać, że to nie Polak.

– On mieszkał w Podleśnej Górze?

– Chyba tak. Kierowniczkę kilka razy zapowiadała przez telefon swój przyjazd do Podleśnej Góry. Podawała godzinę, o której ma wyjść po nią na stację.

– Jak wyglądał ten Anglik?

– Rudawe włosy. Szczeciniaste. Duży nos. Nosił szkła.

– Wysoki?

– Przeciętnie. Nie za tęgi. W wieku około pięćdziesiątki. Raz czy dwa podjechał samochodem. Małym, podobnym do zastawy, ale nieco innym. Czerwonego koloru.

– Czy z tych rozmów wynikało, że Anglik stale mieszka w Polsce?

– Nie orientuję się. Kierowniczkę rozmawiała z nim krótko. Najczęściej odpowiadała tylko „tak” lub „nie”. Czasami dodawała „dobrze, będę” albo „dzisiaj nie mogę”. Raz słyszałam

pytanie „już wróciłeś?”

„Baba musiała dobrze nadstawić uszu — pomyślał major — a Cieślikowska o tym wiedziała i starała się mówić monosylabami.” Głośno spytał:

— A jakie były rozmowy w sprawach handlowych?

— Już mówiłam. Pytano się o towar.

— Czy kierowniczka wspominała kiedykolwiek o wyjeździe do Anglii?

— Do Anglii? — kasjerka była zdumiona. — O niczym podobnym nie słyszałam.

— A może wspomiano o jakiejś wielkiej transakcji?

— Panu chodzi zapewne o te lakierowane płaszcze?

— Właśnie — bluffował oficer milicji.

— O tych płaszczach ciągle była mowa. Na wiosnę będzie to najmodniejszy towar i kierowniczka wszystkim swoim znajomym powtarzała, żeby przede wszystkim przywozili takie płaszcze. One kosztują tu siedemset do ośmiuset złotych, w zależności czy z kapelusikiem, czy bez, a za granicą około czterech dolarów. W hurcie na pewno jeszcze taniej...

— A o lekarstwach była czasami mowa?

— Nie. My nie handlujemy lekarstwami.

— W niektórych komisach personel dorabia sobie na boku. Chodzi mi o takie leki, których nie ma w PKO ani w aptece leków zagranicznych.

— Pani Cieślikowska nigdy by na to nie pozwoliła. Bardzo się pilnowała. Jeżeli któryś z pracowników zarobił kilka groszy, bo klient chciał odwdziżyć się za uczynioną mu grzeczność, to przymykała na to jedno oko. Sama przecież także musiała z czegoś żyć. Ale żeby jakąś większą transakcję zrobić na lewo, na to by nigdy nie pozwoliła. O to właśnie poszło im z Bogdanem...

— kasjerka zamilkła przerażona, że powiedziała za dużo.

— No, ale w końcu się pogodzili — major udawał wtajemniczonego w różne szczegóły. — W takim interesie jak komis nietrudno się poprzytykać. Dzisiaj wojna, jutro święta zgoda. Sama pani wie...

— Pogodzić to się pogodzili. Trudno wojować, kiedy pracuje się w tych samych czterech ścianach. Ale czy na długo?

Wietrzyk tego na pewno tak lekko jej nie darował. Przeszło mu przed nosem kilkadziesiąt tysięcy złotych. Pani Krystyna postawiła się wtedy i musiał zrezygnować. Najgorzej diabli go brali, że cały interes zrobił ten Kowalski, który u nas zaczynał jako praktykant.

Major nie podjął tego tematu. Uznał, że rozszyfruje go później.

— Od kiedy Cieślikowska skupowała dolary?

— Dolary? — kasjerka była zdumiona. — Nic o tym nie wiem. Pani Krystyna zawsze powtarzała, że najpewniejsze jest złoto. Nie żadne monety, ale biżuteria. Śmiała się, że nie było i nie będzie takiego stroju, aby kobiety nie chciały mieć złotych świecidełek. Kilkakrotnie chwaliła się, że kupiła biżuterię, a nawet pokazywała nam różne pierścionki. Widziałam u niej piękną kolieję.

— Ale nie nosiła tej biżuterii na co dzień?

— Chyba traktowała ją jako lokatę pieniędzy. Nieraz powtarzała, że gdyby miała być znowu biedną, toby raczej popełniła samobójstwo. Nosiła tylko ten szafir.

— Tak się bała biedy? Przecież jej to nie groziło.

— Miała na tym punkcie formalną obsesję, chociaż nie była skąpa. Opowiadała, że jako mała dziewczynka całymi tygodniami i miesiącami chodziła głodna. Stąd wziął się u niej ten strach i to gromadzenie złota na czarną godzinę.

— A poza tym Anglikiem kto najczęściej dzwonił w prywatnych sprawach?

— No, pan Stefan — Chałamarska uśmiechnęła się znacząco.

— To jakby mąż.

— Od dawna trwała ta znajomość z Lanotą?

— Prawie od początku, od kiedy pani Krystyna objęła kierownictwo naszego sklepu. Chociaż ostatnio coś się tam psuło. Słyszałam parę razy ostrą wymianę zdań. Chodziło o jakieś pieniądze, których zwrotu domagał się pan Lanota, a kierowniczką nie mogła lub nie chciała ich oddać.

— Przecież był ten Anglik — powiedział Kaczanowski.

Pani Ewelina uśmiechnęła się pobłaźliwie. Major, a taki naiwny! Jak gdyby jedno przeszkadzało drugiemu.

— Myślę, że nie to — powiedziała ostrożnie. — Mężczyźni są zmienni, a pani Krystyna była kosztowną kobietą.

— Czy ostatnio Stefan Lanota przychodził lub dzwonił do komisju?

— Widziałam go u nas na cztery lub na trzy dni przed tym strasznym wypadkiem.

— Czy pani wie, w jakiej sprawie przyszedł?

— Kierowniczką od razu zaprosiła go do kantorku. Zamknęła za sobą drzwi. Pomimo to Lanota tak głośno mówił, że słycać było jego głos w sklepie.

— O miłości nie mówi się chyba takim tonem?

Kasjerka uśmiechnęła się.

— Na pewno. Przypuszczam, że była to rozmowa o interesach. A przynajmniej o pieniądzech. Lanota domagał się od Cieślikowskiej jakichś pieniędzy.

— Robili ze sobą interesy?

— Tego nie wiem.

— A w dniu morderstwa? Czy do Cieślikowskiej ktoś telefonował albo ona sama dzwoniła?

— Jak zwykle było kilka telefonów. Przeważnie w sprawie towarów.

— Mnie chodzi o rozmowy, mające raczej prywatny charakter.

— Jakaś pani telefonowała. Kierowniczką mówiła jej po imieniu. Chyba Jola. Cieślikowska tłumaczyła, że teraz jest bardzo zajęta, ale w przyszłym tygodniu sama do niej zatelefonuje, aby umówić się na spotkanie.

— Czy ta pani przedtem często dzwoniła?

— Nie. Wydaje mi się, że to jakaś przyjezdna. Cieślikowska pytała ją, czy długo zostaje w Warszawie.

— A poza tą panią?

— Pan Lanota.

— On też tego dnia telefonował?

— Tak. Gdzieś pomiędzy dwunastą a pierwszą. Sądzę, że chciał się spotkać z panią Krystyną. Ona tłumaczyła, że nie może, bo wyjeżdża do Podleśnej Góry, a przedtem ma jeszcze jedno ważne spotkanie. Prosiła Lanotę, żeby uzbroił się w

cierpliwość, bo za kilka dni będzie miała dla niego pieniądze.

— Robili ostatnio jakiś interes? Czy może z rozmowy wynikało, że były to inne rozliczenia?

— Nie wiem. Nie podsłuchiwałam kasjerka odpowiedziała urażonym tonem.

— Rozumiem, nie wszystkiego można się domyślić słuchając tylko jednej strony — przytaknął major, chociaż był zupełnie odmiennego zdania.

Na tym zakończył przesłuchiwanie kasjerki, bo uważał, że i tak uzyskał dostateczną ilość cennych informacji. Okazywanie zbytnej ciekawości i zbyt energiczne ciągnięcie Chałamskiej za język mogłoby ją spłoszyć. Ostrożny oficer wolał zdobywać wiadomości na raty, ale za to murowane.

Pani Janina Wróblewska i tym razem chętnie mówiła o kierowniczce, powtarzała różne nic nie znaczące ploteczki, starając się tak pokierować rozmową, aby jak najmniej wspominać o własnej osobie i roli, jaką ona, jako sprzedawczyni, odgrywała w komisie.

— Lanota? Znam go oczywiście. Mało to razy przychodził do komisju? To był nasz najlepszy klient. Nieraz kupował dwie sztuki tego samego towaru. Dziwnym trafem jedną później nosiła pani Gabriela Lanotowa, drugą nasza kierowniczka. Tak po sprawiedliwości — dorzuciła złośliwie.

— Ostatnio coś się między nimi popsulo?

— To nie ostatnio, a chyba już od jakiegoś roku zaczęło się psuć. Znudzil się w końcu pani Krystynie. Sam pan przyzna, że niezbyt ciekawy z niego człowiek. A i on także miał dosyć roli beczki bez dna. Wiadomo, bogaci ludzie umieją liczyć. Właśnie dlatego są bogatymi. Najwidoczniej Lanota przekalkulował, że nie opłaca się skórka za wyprawkę. Od pewnego czasu widuję go w towarzystwie młodego, ładnego kota. Dziewczyna dopiero wchodzi w życie, więc na pewno nie umie tak dobrze ciągnąć, jak kobiety z pewnym stażem.

Major roześmiał się, szczerze ubawiony.

— Świetnie to pani ujęła.

— No cóż — Janina Wróblewska wzruszyła ramionami. — Ma się swoje lata. A życie, choć nie pieści, uczy. Napatrzyłam się i

nasłuchiwała niejednego.

— Kto to jest ten Anglik?

— Bob?

— Może Bob, nie wiem — przyznał uczciwie major. — Ten, który niekiedy przychodził lub telefonował. Z takim czerwonym morrisem Cooperem.

— Tak, to Bob. Nie znam jego nazwiska, ale pani Krysia zawsze nazywała go Bobem. To gruba zwierzyna. Gdyby ją Cieślikowska ustrzeliła, nie szukałaby niczego więcej. Chyba na to liczyła, lecz wydaje mi się, że właśnie to jej się nie udało. Pierwszy raz w życiu.

— Co on robi w Polsce? Stale mieszka?

— Nie. To jakiś dyrektor, a może i właściciel. Wielkie fabryki, ciężki przemysł. Przyjeżdża do Polski, bo prowadzi duże dostawy dla naszych zakładów przemysłowych. Jakieś maszyny dla Nowej Huty albo dla Konina. Nauczył się po polsku, żeby mu było łatwiej robić interesy.

— Mieszka w Podleśnej Górze?

— Wiem, że tam się zatrzymuje na czas pobytu w Polsce. Pani Krysia odwiedzała go w Podleśnej.

— A zamordowana została także koło Podleśnej Góry — podpowiedział oficer milicji. — Czy nie widzi pani w tym pewnego związku?

— To niemożliwe, żeby ten Bob... Po co? Taki bogaty człowiek. Mógłby to inaczej załatwić — dodała cynicznie. — To już prędzej...

— Co prędzej czy kto prędzej? Dlaczego pani urwała w pół zdania?

— Tak mi się wymknęło.

— To zauważyłem, ale może dowiem się, co pani miała na myśli?

— Nic, nic. Głupstwo.

Major czując, że Wróblewska nie zdradzi mu swoich podejrzeń, zaczął z innej beczki:

— Czy pani wie, że Cieślikowska przygotowywała się do wyjazdu do Anglii?

— Kiedyś pani Krysia była w doskonałym humorze i

żartowała, że jeżeli machnie się za tego swojego Boba, to uzyska obywatelstwo angielskie. Wyjedzie do Anglii i wszystkich nas zaprosi na wakacje. Podobno ten Anglik ma swoją posiadłość ziemską albo pałac.

— Wszyscy cudzoziemcy, którzy do nas przyjeżdżają, podają się za milionerów. Mało to naiwnych wyszło za mąż za takich amerykańskich lub australijskich „bogaczy”? Dopiero kiedy pojechały za ocean, rzeczywistość okazała się bardziej skromna, a rzekomy milioner zmieniał się w urzędniczynę lub robotnika. Może więc i ten Bob okazałby się taki sam?

Wróblewska uśmiechnęła się.

— Nasza kierowniczka nie była pierwszą naiwną.

O wszystko można ją było posądzić, lecz nie o to. Jeżeli twierdziła, że Bob jest bardzo bogaty, można jej wierzyć.

— Cieślukowska złożyła wniosek o wyjazd do Anglii na zaproszenie jakiejś Angielki.

— O tym nic nie wiem. Sądziłam, że pan major mówi o jej wyjeździe stąd po małżeństwie z obywatelem angielskim. To coś nowego. Chyba wypłynęło w ostatnich dniach?

— Tak — major uważał, że im więcej szczegółów ujawni, a nie zdradzał przecież żadnych istotnych momentów dochodzenia, tym w zamian uzyska więcej informacji. — Cieślukowska złożyła wniosek na kilka dni przed swoją śmiercią.

— Nigdy o tym nie słyszałam i nigdy o tym kierowniczka nie wspominała.

— Czy ostatnio kupowała dużo dolarów?

— Tego też nie wiem. Po co jej dolary?

— Żeby płacić, na przykład, za towary, które później wstawiała do komisju.

— Tego Cieślukowska nie robiła. Miała swoich dostawców. Na pewno dawali jej zarobić, ale na żadne grube kanty sobie nie pozwalała. Wiem, co mówię, zbyt długo pracuję w tym komisju, żeby takie sprawy mogły ująć mojej uwagi. Nie była święta, ale była ostrożna. Wolą zarabiać stale po trochu, niż jeden raz dużo i potem pauzować. Ona, panie majorze, umiała liczyć. Zapewniam pana!

— Czy otrzymywała jakieś listy z pogrózkami? Robiono jej w



sklepie awantury?

— Klienci są różni. Cieślikowska była jednak bardzo taktowna i zawsze każde nieporozumienie umiała załagodzić, niekiedy z własną stratą. Wiadomo, zależało jej na utrzymaniu się w tym komisie jak najdłużej.

— Nie wspominała o jakimś wielkim interesie, który ma zrobić w Anglii?

— Za wielki interes uważała chyba to małżeństwo z Anglikiem. Nie każdemu zdarza się wyjść za milionera.

— A jakaś duża transakcja handlowa? Może właśnie dla ułatwienia jej chciała wyjechać do Anglii? Nie obilo się pani o uszy coś podobnego?

— Nie. W sklepie nigdy nie było o tym mowy. Takich rozmów w ogóle w sklepie nie prowadziła. Nie wiem, co robiła Cieślikowska poza godzinami pracy, ale w komisie była niezmiernie ostrożna. Musiała przecież uważać.

— Rozumiem. Bogdan Wietrzyk.

— Jeżeli pan major wie, to po co pyta?

— Ostatnio wyglądało, że się pogodzili.

— Jak pies z kotem. On tylko czekał na okazję, żeby się odegrać, ona patrzyła mu na ręce.

— Ciągle od tamtej transakcji, na którą Cieślikowska się nie zgodziła?

— Mądra była, że się nie zgodziła. Taka sztuka to na raz. Zresztą bardzo szybko okazało się, że ma rację. Przecież ten „Austryjak” wpadł za trzecim kursem.

Te słowa Janiny Wróblewskiej powiedziały majorowi wszystko. Przed rokiem głośno było o sprawie pewnego obywatela austriackiego, który w swoim mercedesie urządził bardzo przemyślnie skrytki. Przewoził setkami płaszcze ortalionowe i zegarki. W czasie jednej z takich podróży na trasie Wiedeń—Warszawa zatrzymano go na granicy. Cały towar i samochód skonfiskowano, zaś przemytnik musiał zapłacić kaucję w wysokości kilkudziesięciu tysięcy dolarów. Zrozumiałe, że wolał poświęcić kaucję niż stawić się na rozprawę. Niewątpliwie pracowniczka komisju mówiła o tym człowieku.

— Tak — zgodził się major. — Oprócz tego Austriaka wpadło wtedy i kilku naszych. Zdaje się, że odechciało im się na przyszłość szybkich zarobków na zegarkach i ortalionach.

— Za pierwszym razem interes by się udał. Ale wiadomo, jak się raz dużo zarobi, to przychodzi ochota na powtórzenie. Koniec łatwo przewidzieć. A wsypa byłaby przecież jeszcze większa, bo chodziło o pieniądze z kasy.

Major pojmował coraz lepiej. Zapytał:

— Ale taką sumę trudno byłoby chyba uruchomić?

— Nie tak trudno. Mamy nieraz znaczne utargi. A u nas ważny jest plan miesięczny, a nie codzienne raporty kasowe. Wyciągnąć z interesu w ciągu kilku dni te pół miliona złotych byłoby względnie łatwo. Ryzyko nie tak znowu wielkie, bo towar pod zastaw leżałby w sklepie. Gdyby nawet zrobiono niespodziewanie remanent, ogólna suma bilansowa byłaby zgodna. Co najwyżej mogliby nam zarzucić nieporządek w książce materiałowej, lecz i z tym dalibyśmy radę, rozpisując towar na fikcyjne nazwiska. Nie tego bała się Cieślikowska; ona po prostu nie chciała stać się współnikiem nieczystych interesów, bo wtedy byłaby w rękach Wietrzyka. Kto raz powie A, musi recytować cały alfabet aż do końca. Ona otaczała tajemnicą swoje interesiki i dzięki temu była niezależna. Ale pan major wszystko wie! — dodała z podziwem.

— Nie wszystko. Przede wszystkim nie wiem, kto zabił Krystynę Cieślikowską i dlaczego?

— Nie dla tego niebieskiego kamyka na rękę — dorzuciła Wróblewska.

— A jak pani myśli, kto to mógł zrobić?

Wróblewska zamilkła. Zastanawiała się długo i major był pewien, że nie otrzyma odpowiedzi. Nagle powiedziała:

— Gdyby pan major mnie nie zdradził...

— To, o czym teraz mówimy, jest wyłącznie naszą tajemnicą — zapełnił uroczyście oficer milicji.

— Słowo?

— Słowo honoru.

— Bo gdyby tak dowiedzieli się... Chryste Panie! Strach pomyśleć.

— Nikt się nie dowie. Nawet moi bezpośredni przełożeni — major gotów był przysięgać na klęczkach, aby tylko zdobyć zaufanie tej kobiety. Był przekonany, że ujawni coś, co ma zasadnicze znaczenie dla śledztwa.

— Niech pan major przesłucha dozorcę naszego domu i zapyta go, o której godzinie komis został zamknięty w dniu 12 stycznia. Ale pan pamięta, że pan przyrzekł...

Z kolei oficer milicji przesłuchiwał zastępcę kierowniczkę komis, Bogdana Wietrzyka. Major potraktował go wyjątkowo łagodnie. Zadawał mu sporo pytań dotyczących Krystyny Cieślikowskiej, jej pracy w komisie i jej życia prywatnego, zadowolając się wymijającymi odpowiedziami handlowca.

Wietrzyk był zbyt sprytny, aby podczas oficjalnego przesłuchania grać rolę durnia, który nic nie słyszał i nic nie widział. Dlatego też coś niecoś powiedział i o tajemniczym Angliku, i o Stefanie Lanocie, a także o pewnych interesach Cieślikowskiej. Nie zdradził jednak niczego, o czym major nie wiedział już wcześniej.

Przy okazji wyszło na jaw, że Bogdan Wietrzyk mieszka w Jedwabowie, następnej stacji kolejowej za Rzęsowem. Tam także można było dojechać kolejką elektryczną, a nawet przejść na piechotę pięć czy sześć kilometrów.

Trzymając się swojej taktyki, oficer milicji nie zadał przesłuchiwanemu ani jednego pytania na temat niedosłej transakcji z austriackim przemytnikiem, ani nie dociekał, jakie stosunki łączyły kierowniczkę komis z jej zastępcą. W sumie, Bogdan Wietrzyk opuszczając gabinet majora był bardzo z siebie zadowolony i spokojny. Ten major okazał się dość naiwny i można go było bez większego trudu zbyć byle czym. Słusznie ludowe przysłowie głosi, że nie taki diabeł straszny, jak go malują.

Major także był w dobrym nastroju. Chodziło mu o to, aby Wietrzyk niczego nie podejrzewał i nie podjął jakichkolwiek kroków zabezpieczających. Przyjdzie na to czas, wtedy pogada się z nim inaczej.

Dozorca domu niewiele wiedział o różnych sprawach dziejących się w komisie. Chwalił sobie ulokowanie takiego

sklepu w jego kamienicy. Żona tam sprzątała, kierowniczką komisji miała hojną rękę, inni pracownicy interesu również nie hodowali węża w kieszeni i chętnie opłacali drobne usługi dozorczy. Zarabiano się dodatkowo za pomoc przy zamykaniu sklepu i zakładaniu na drzwi ciężkich, stalowych antab.

— W ten dzień, co to nieboszczka Cieślukowska zginęła — między innymi major zadał dozorczy takie niewinne na pozór pytanie — zamykaliście komisję dużo wcześniej? Pamiętacie?

— Pewnie że pamiętam. Była czwarta, niby szesnasta, kiedy przyszedł pan Wietrzyk, abym pomógł założyć żelaza — potwierdził dozorca.

## ROZDZIAŁ VII

### 117 X 505 = ?

Następnego dnia do sklepu komisowego weszło dwóch panów. Jeden z nich zapytał o kierownika, obywatela Bogdana Wietrzyka, a potem okazując mu malutką, prostokątną legitymację, wypowiedział sakramentalne:

— Pan pójdzie z nami.

— Ależ, panowie, przecież wczoraj byłem przesłuchiwany! Dlaczego?...

— Pan się dowie. Samochód czeka.

Drżącymi rękami nowo mianowany kierownik komisji włożył palto i w towarzystwie wywiadowców milicji przespacerował się kilka kroków do warszawy zaparkowanej przed sąsiednim domem. Krótka podróż do Pałacu Mostowskich i Wietrzyk znalazł się ponownie w gabinecie majora Kaczanowskiego. W tym samym pokoju, który z uczuciem pełnego z siebie zadowolenia i ulgi opuszczał wczoraj. Oficer milicji bez słowa wskazał krzesło. Na biurku stał magnetofon. Jeden ruch ręki i koła zaczęły się obracać. To także zrobiło odpowiednie wrażenie na Wietrzyku.

— Dlaczego zostałem aresztowany, panie majorze?

— Jeszcze pan nie jest aresztowany. Dopiero został pan doprowadzony na przesłuchanie.

– Przecież przesłuchiwał mnie pan wczoraj.  
– Ujawniliśmy nowe, bardzo ważne okoliczności.  
– Ja bym sam przyszedł. Taki wstyd! Zabierać człowieka ze sklepu pełnego klientów. Co oni sobie o mnie pomyśleli! Jak jakiegoś zbrodniarza!

– Kto zabija człowieka, panie Wietrzyk, jest zbrodniarzem. A co do tego posłania po pana milicjantów, sam pan sobie winien. Trzeba było wczoraj szczerze mówić. Przyznać się do wszystkiego. Sąd na pewno uznałby to za okoliczności łagodzące. Teraz, niestety, porozmawiamy inaczej. Co pan robił w dniu 12 stycznia od godziny czwartej po południu?

– Ja... Ja normalnie pracowałem. W komisie.

– Nieprawda.

– Nie wiem, o co panu majorowi chodzi.

– Wolno panu nie pamiętać, wolno nawet kłamać. Ale to nie na wiele się przyda. Nie był pan w komisie. Pan zamknął sklep równo o szesnastej. Tak pan zastraszył pozostały personel, że nikt nie ośmielił się zwrócić nam uwagi na tę dziwną historię, że w niecałą godzinę po wyjściu z komisji kierowniczkę jej zastępcą zamyka interes, pozwalając pracownikom iść do domu. Na szczęście, zupełnie przypadkowo, udało nam się dowiedzieć o tym fakcie. W czasie obchodu dzielnicowy zauważył zamknięty sklep o tej porze i odnotował to w swoim raporcie. Przesłuchaliśmy dozorcę domu. On potwierdził, że o godzinie szesnastej kazał mu pan założyć antaby na drzwiach sklepu.

Oficer milicji zrobił krótką pauzę dla zapalenia papierosa.

– Tak było?

Wietrzyk milczał.

– Powiem nawet panu, co pan zrobił dalej. Wiedział pan z rozmowy telefonicznej, przeprowadzonej tego dnia rano, że Cieślukowska umówiła się z pewnym swoim znajomym na obiad w „Grand Hotelu”, a później miała jechać do Podleśnej Góry. Śledził więc pan ją i korzystając, że samotnie idzie przez las, jednym uderzeniem wyrównał swoje z nią rachunki. Te z tej transakcji z austriackim przemytnikiem. Zegarki i ortaliony.

Mówiąc to major pilnie wpatrywał się w twarz kierownika

komisu. Widział, jak pod wpływem jego słów twarz ta staje się coraz bardziej biała, a na czoło występują wielkie krople potu. Oparte o stół ręce Wietrzyka zaczęły drżeć.

— A po dokonaniu zemsty wrócił pan piechotą do domu. Niedaleko, z pięć kilometrów. Taki spacer znakomicie uspokaja nerwy.

— To jakaś potworna omyłka — wyjąkał Wietrzyk. — To nie ja, przysięgam, nie ja!

— Może pan zaprzeczać. Ma pan alibi? Po co pan zamknął komis? Przecież kierowniczka wychodząc około trzeciej wyraźnie oświadczyła, że tego dnia nie wróci, i prosiła, aby pan pozostał do godziny zamknięcia sklepu, to znaczy do dziewiętnastej. Zawsze pan jeździ pociągiem wychodzącym z Warszawy o dziewiętnastej piętnaście. Sprawdzaliśmy. Kolejarze, którzy pana znają, nie widzieli, żeby pan tego dnia powrócił którymś z pociągów do Jedwabowa. O pomyłce nie może być mowy.

Handlowiec otarł pot z czoła.

— To straszne. Co za fatalny zbieg okoliczności.

— Ja postawiłem zarzuty. Proszę, niech pan się broni. Niech pan wykaże, że są nieprawdziwe. Może pan zaprzeczy, że chciał pan dokonać nielegalnej transakcji, polegającej na kupnie większej partii towarów, o których doskonale pan wiedział, że pochodzą z przemytu? A pieniądze chciał pan wziąć z kasy państwowego przedsiębiorstwa, prawda? Krystyna Cieślukowska stanowczo się temu sprzeciwiła. Uważał pan, że przez jej upór stracił pan kilkadziesiąt tysięcy złotych łatwego zarobku. Od tej chwili stosunki między wami, nigdy zbyt serdeczne, przeszły w jawną wrogość. Możemy przedstawić świadków, którzy słyszeli, jak pan mówił, że ją wykończy. Dotrzymał pan słowa.

— Powiedziałem coś takiego w złości. Ale przecież nigdy nie myślałem o zabójstwie. To się rozumiało, że wykończę ją w pracy, jako kierownika komis.

— A zamknięcie sklepu wczesnym popołudniem?

Wietrzyk milczał.

— Może pan zaprzeczy także, że po wyjściu z komis poszedł

pan w stronę Kruczej? — tego wprawdzie oficer milicji nie był pewien, ale postanowił grać va banque. — Na rozprawie każde moje słowo będzie udokumentowane zeznaniami świadków.

Kierownik komisju wierzchem dłoni otarł pot z czoła.

— To ja już się przyznam.

— Do zabójstwa Krystyny Cieślikowskiej?

— Ależ nie!

— Słucham?

— Nie wiem, skąd pan major to wszystko zdobył, ale rzeczywiście nasza współpraca z panią Cieślikowską niezbyt się układała. Ona lubiła zarobić, miała swoje sposoby, ale innym nie dawała. Przyznaję, chciałem wtedy zrobić ten interes z Austriakiem. Nikt by nie stracił, ja bym zarobił i nasz sklep swoją prowizję w wysokości 15 procent też by dostał. Nie wyszło. A przecież ten towar i tak został w Polsce sprzedany. Poszedł prywatną drogą. Państwo nie dostało z tego ani grosza.

Major nie wiedział, czy podziwiać tego przedziwnie rozumującego handlowca, czy dziwić się jego głupocie. Rozumowanie było wręcz zaskakujące. Bezczelnie szermował interesem państwa, myśląc o napełnieniu własnej kieszeni.

— Cieślikowska tylko przez zazdrość utraciła tę transakcję. Wściekła była, że to ja złapałem dobrego klienta z towarami i że to ja zarobię, a nie ona. Swoją dolę by dostała, jak i reszta personelu. Ale jej chodziło o to, że ja mógłbym mieć więcej od niej. Zresztą zawsze mi szkodziła. Na tym komisju był stratny, bo zarabiali nielegalni spekulanci. Przyznaję, robiłem, co mogłem, żeby ją z tego sklepu zabrano. Ona nie znała się zupełnie na pracy w komisju. Bo i skąd? Pchali ją w górę różni możni protektorzy. Wiadomo dlaczego. Z ekspedientki w małym sklepiku spożywczym do kierowniczkki komisju. Napoleon handlu w spódnicy!

Bogdan Wietrzyk umilkł, wyczerpany tym wybuchem. Łakomym wzrokiem popatrzył na leżące na stole grunwaldy oficera milicji.

— Pan major pozwoli zapalić?

Kaczanowski podsunął przesłuchiwanemu papierosy i

zapalki.

— Bardzo dziękuję. Tak mnie nagle wzięli ze sklepu — usprawiedliwiał się kierownik — że nawet papierosów nie zdążyłem schować do kieszeni.

— Sądzę, że Cieślikowskiej chodziło przede wszystkim o to, aby nie naruszyć kasy komisju dla zrobienia lewego interesu.

— Interes nie byłby lewy, panie majorze, bo towar sprzedawałoby się za pośrednictwem naszego sklepu, pieniądze powróciłyby z zyskiem — Wietrzyk nadał uważał, że handel z przemytnikiem jest zjawiskiem normalnym i dopuszczalnym. — Tyle ją przepisy obchodziły co zeszłoroczny śnieg. Gdyby chciała uczestniczyć, mogłaby sama wyłożyć gotówkę. Ja jej nie miałem, ale ona dysponowała taką sumą. Po prostu utraciła interes, bo był mój, a nie jej.

— Czyżby Cieślikowska mogła położyć na stół pół miliona złotych?

— Przecież miała tego Lanotę.

— Badylarza?

— Właśnie jego. Mało to razy, kiedy potrzebowała pieniędzy, telefonowała do ogrodnika, a za kilka godzin albo on sam przyjeżdżał, albo przez kogoś przysyłał tyle forsy, ile zażądała. Jak się ma takiego kasjera, to nic dziwnego, że można przestrzegać przepisy.

— Czy ten Lanota finansował transakcje?

— Pewnie. Zawsze wtedy, kiedy trzeba było wyłożyć większą sumę. Nawet taką, którą kierowniczka sama mogłaby zorganizować. Ale łatwiej i wygodniej pracować cudzymi pieniędzmi.

— Czy Lanota zarabiał na tych transakcjach?

— Przy mnie się nie rozliczali. Ale mogę przysięgać w sądzie, jeżeli będzie potrzeba, że widziałem, jak badylarz przywoził pieniądze albo wpadał do sklepu, do pani Krystyny, aby odebrać tę pożyczkę. Czy brał tylko tyle, ile dał, czy razem ze swoją dolą, tego nie wiem. Ale nie wygląda na takiego głupiego, aby dawać na piękne oczy.

— Jednakże na tych oczach mu zależało — zauważył major.

— Ostatnio nie bardzo.



— Ostatnio też robili interesy?

— Po tej naszej kłótni Cieślikowska była bardziej ostrożna. Ale zdaje się, że robili. Miłość miłością, a interes interesem. Tym bardziej badylarz chciał się odkuć. Ta kobieta niemało go kosztowała.

— Tak pan sądzi?

— Umiała z niego ciągnąć. To przecież on kupił jej tę kawalerkę. Specjalnie nawet z tym się nie kryła. Nazywało się, że pan Lanota po przyjacielsku pożyczył jej około dwustu tysięcy złotych. Później, kiedy między nimi się popsulo, badylarz zażądał zwrotu tej forsy. Niekiedy, w naszej obecności, wymieniali przykre słowa.

— Cieślikowska nie chciała zwrócić mu pieniędzy?

— Nie mówiła „nie”, lecz wykręcała się,

— Formalnie kawalerka była na jej nazwisko?

— Nie wiem dokładnie, ale przypuszczam, że figurowała jako właścicielka. Niemniej Lanota groził kierownicze, domagając się zwrotu długu.

— Groził? Czym?

— No... Mówił, że musi mieć te pieniądze i żeby je odzyskać, nie cofnie się przed niczym. Coś w tym sensie. Żeby później tego nie żałowała.

— A ona?

— Grała na zwłokę. Tłumaczyła mu, że takiej dużej sumy nie może od razu zorganizować. Że się stara. Że przygotowuje mu zaliczkę.

— A mimo to robili nadal interesy?

— Naturalnie! Tamto to były stare rozrachunki. Dlaczego nie mieliby zarobić, skoro nadarzała się okazja? W interesach nie ma brata ani swata. Nie ma też gniewów. Przy tej historii z Austriakiem pożarliśmy się z kierowniczką. Jedno drugiego utopiłoby w łyżce wody. Ale kiedy nadarzała się sposobność zdobycia towaru i zarobku, to znowu pracowaliśmy zgodnie. Tylko każde z nas pilnowało, aby odpowiedzialność rozkładać po równo.

Major nie przerywał. Zeznania Wietrzyka stawały się coraz bardziej interesujące. Coraz lepiej rysowały motyw zbrodni.

— Ona, gdzie tylko mogła, szła mi buty. Gdyby nie jej śmierć — mówił przesłuchiwany — nie wiem, jak by skończyła się nasza wojna. Przyznaję, nie płakałem nad jej trumną, chociaż na pogrzeb musiałem iść i nawet na wieniec dać tego seciaka. Ale żeby zabić? Ani mi to w głowie nie powstało.

— Taak? — skwitował to oświadczenie Kaczanowski.

— Pan major wie, że teraz w Warszawie największym krzykiem mody są damskie płaszcze lakierowane. Tego towaru można sprzedawać na tysiące. Baby aż się o nie biją. Ja, kierowniczką i reszta personelu staraliśmy się zdobyć ten artykuł dla naszego sklepu. Komis idzie dobrze, ale plan mamy cholernie wysoki. Trudno go wyrobić. Major się orientuje — Wietrzyk mówił coraz pewniej — że każdy z nas ma swoich klientów i swoje źródła dostawy towaru. Tak się dla mnie źle złożyło, że tego dnia, 12 stycznia, dostałem cynk, iż jest duża partia płaszczy.

— Przecież teraz zima. Większe zapotrzebowanie na futra niż płaszcze.

— W zimie kupuje się wiosenne rzeczy. Dzisiaj, panie majorze, taki płaszcz w komisie idzie za osiem setek. W maju nikt nie wstawi niżej tysiąca dwustu złotych. A poza tym i celnicy są bardziej wględni na niesezone przedmioty.

— I co z tym cynkiem?

— Towar trzeba było szybko wziąć. Wiadomo, ten, kto go przywiózł, chce jak najszybciej wycofać swoje pieniądze, żeby zrobić nowy obrót. A mamy dużą konkurencję. W Warszawie wielu jest prywaciarzy, mających prawo do zakupu towarów pochodzenia zagranicznego.

— Ale tylko z kwitem celnym.

— Stary kawał — roześmiał się Wietrzyk. — Cli się dziesięć sztuk, a przewozi setkę. Potem kwit leży w sklepie i ciągle ta nienaruszona dziesiątka, dopóki nie sprzeda się całej setki. A prywaciarz ma forszę i od razu płaci dostawcy. My natomiast czekamy na klienta i po sprzedaży partii towaru rozliczamy się z dostawcą.

— Bardziej konkretnie, panie Wietrzyk.

— Towar przyszedł z Wybrzeża. Kolega mi podesłał Trzeba

było prędko brać. A nie mogłem urwać się ze sklepu, bo kierowniczką wyszła. W tej sytuacji, myślę sobie, nie ma innej rady, jak tylko wcześniej zamknąć interes. Tak właśnie zrobiłem.

— Ile było tych płaszczy?

— Sto siedemnaście sztuk.

— Naturalnie z przemytu?

— Nie wiem — Wietrzyk wzruszył ramionami. — Nie sprawdzałem. Oni mają własne przepisy.

— Po ile?

— Po pięćset pięć złotych każda sztuka, jak leci. Różny towar, i gorszy, i lepszy. Trzeba było brać całą partię od razu.

— To przeszło pięćdziesiąt tysięcy.

— Pięćdziesiąt dziewięć tysięcy i osiemdziesiąt pięć złotych — wypalił Wietrzyk bez chwili namysłu.

— Pan zapłacił taką sumę?

— Musiałem. Nie chcieli ustąpić nawet tej głupiej końcówki. Domyślałem się, że te pięć złotych na sztuce to pewnie prowizja za transport towaru do Warszawy.

— A skąd pan wziął pieniądze?

Wietrzyk spojrział na majora zdziwionym wzrokiem. Jak można zadawać takie naiwne pytania pracownikowi komisju?

I to staremu, doświadczonemu pracownikowi, który w tym handlu, jak się mówi, zęby zjadł.

— Miałem swoje oszczędności — wyjaśnił.

— A ile pan ma pensji?

— Dwa tysiące siedemset złotych bez premii.

— Pan jest bardzo oszczędnym człowiekiem.

— Czasem coś się ekstra zarobi — bąknął Wietrzyk.

— Gdzie są te płaszcze?

— Już dawno sprzedane, panie majorze. Nie trzymam tak długo tyle gotówki w towarze.

— W waszym sklepie sprzedaliście?

— A gdzieżby indziej? To byłaby nieuczciwość.

— Wszystkie sto siedemnaście sztuk? Czy tak na podmianę?

— Wszystkie. Można sprawdzić. Są zapisane w księdze towarowej.

- Na pańskie nazwisko?
- Skądże! Na krewnych i znajomych. Ale oni wiedzą i potwierdzą.
- Stale mówimy o pańskich transakcjach, ale ani słowa o tym, co pan robił 12 stycznia.
- Umówiłem się na Kruczej w kawiarni z tym, który przywiózł towar. Kilka minut po czwartej. Po zamknięciu sklepu zaraz tam poszedłem.
- W „Grandzie”?
- Nie. W tej kawiarni za sklepem z płytami.
- Co dalej? Trzeba z pana tak ciągnąć słówko po słówku.
- Tam doszliśmy do porozumienia co do ceny. Z godzinę zeszło, bo twardy facet. Ledwie zdołałem zbić na pięćset pięć złotych sztuka. Potem pojechaliśmy tam, gdzie towar był złożony.
- To znaczy gdzie?
- W przechowalni bagażu na Dworcu Wschodnim.
- Na dworcu oglądaliście płaszcz?
- Były w kilku walizkach. Wystarczyło otworzyć jedną, żeby zorientować się, co zawierają. Znam się przecież na tym.
- O której byliście na Wschodnim?
- Nie patrzyłem na zegarek, ale chyba około szóstej. Może nieco później. Następnie wzięliśmy taksówkę i pojechaliśmy z tymi płaszczami do mieszkania mojej siostry. Na ulicę Żelazną osiemdziesiąt cztery. Tam towar się rozpakowało, przeliczyło, obejrzałem już bardziej szczegółowo, jak on wygląda, no i zapłaciłem.
- Pan nosi po sześćdziesiąt tysięcy złotych w kieszeni na drobne wydatki?
- Nie... — Wietrzyk znowu się zmieszał. — Miałem pieniądze u siostry. Trochę brakowało, to dołożyła ze swoich.
- Dobrze mieć bogatą rodzinę i taką uczynną — zauważył ironicznie oficer milicji.
- Kiedy załatwiliśmy transakcję, ten marynarz zaprosił mnie na kolację. Mówił, że trzeba oblać. Pojechaliśmy do knajpy przy Kredytowej. Tam siedzieliśmy do pierwszej w nocy. Pan major może sprawdzić, że nie kłamię. Kelner na pewno mnie

zapamiętał.

— O której byliście na Kredytowej?

— Parę minut po ósmej.

— A kto to był ten marynarz?

— Nie znam go. Nie przedstawiał się, a ja nie pytałem o nazwisko.

— A jak do pana trafił?

— Już mówiłem panu majorowi, że mam kumpla na Wybrzeżu. Marynarz zatelefonował do mnie i powołał się na mojego kolegę.

Major zrezygnował z dalszych pytań na ten temat, bo uznał je za bezcelowe. Może zresztą Wietrzyk naprawdę nie znał dostawcy towaru? A i cóż z tego, że oficer milicji dowie się nazwiska uczynnego kolegi z Wybrzeża? Tamten albo wszystkiemu zaprzeczy, albo też powie, że nie zna nazwiska właściciela płaszczy. Niczego karalnego nie można mu będzie udowodnić. Po prostu dał marynarzowi adres warszawskiego komisju.

— Po wyjściu z restauracji — spowiadał się dalej kierownik komisju — ten gość pojechał na dworzec, bo za pół godziny miał powrotny pociąg, a ja wzięłem taksówkę i udałem się do Jedwabowa.

— Pamięta pan numer taksówki?

— Nie pamiętam, ale chyba milicja potrafi znaleźć kierowcę. Żona poświadczy, że wróciłem późno i byłem pod muchą.

Wietrzyk umilkł wreszcie, zmęczony długimi zeznaniami. Major bębnił palcami po blacie biurka.

— Niech mi pan wierzy, majorze, przysięgam na życie moich dzieci, nie zabiłem.

Ta przysięga nie zrobiła żadnego wrażenia na oficerze milicji. Słyszał nieraz jeszcze żarliwsze zapewnienia z ust notorycznych przestępców. Pomimo to postanowił:

— Podpisze pan teraz protokół i jest pan wolny. Uprzedzam jednak, że odpis protokołu przesłany zostanie do prokuratury. Tam postanowią, co z panem zrobić. Nie radzę ukrywać się ani próbować ucieczki, bo to pogorszyłoby pańską sytuację. — Major wyłączył magnetofon.

Podporucznik Józef Tomaszewski, obecny przy przesłuchaniu i prowadzący protokół, podsunął Bogdanowi Wietrzykowi papiery do podpisu. Kierownikowi komisji tak się śpieszyło do wyjścia, że podpisywał poszczególne arkusze prawie ich nie czytając. Prawie wybiegł z pokoju.

Młody oficer nie krył swojego zdziwienia.

— Pan major go nie zamknął? A przecież to morderca!

— Zwykły mały kombinator. Na razie nie zajmujemy się takimi. Niech prokurator względnie PIH wysnują z tego protokołu odpowiednie dla siebie wnioski. Ja szukam zabójcy Cieślukowskiej.

— Kiedy on na pewno zabił! Miał i motyw, i okazję. Czego jeszcze więcej potrzeba?

— Odwagi, kolego. Cholernie dużo odwagi, żeby zabić człowieka.

— Ale on nie ma alibi. Ja bym go nie wypuścił z tego gmachu.

Kaczanowski roześmiał się.

— Gdybym szedł za cennymi radami porucznika, mielibyśmy w naszym areszcie już trzech zabójców pięknej Krystyny: Alojzego Cieślukowskiego, Roberta Malinowskiego i Bogdana Wietrzyka. A do końca dochodzenia jeszcze daleko. Ten poczet morderców, waszym zdaniem, zwiększa się w takim tempie, że będziemy musieli dobudować nowe skrzydło do naszego aresztu.

— Pan major żartuje sobie!

— Rzeczywiście żartuję, ale nie zaprzeczycie, poruczniku, że po przesłuchaniach Cieślukowskiego i Malinowskiego był pan również przekonany o ich winie.

— Tu jednak poszlaki są znacznie wyraźniejsze.

— Tamta dwójka także nie miała alibi. Ale za to wiele powodów do nienawiści. Szczerze przyznam, że najwięcej powodów do zabójstwa widzę u jej byłego męża.

— Dlaczego?

— Dlatego, że z tej trójki wydaje mi się najporządniejszym, najuczciwszym i najwięcej przecierpiał. Taki mężczyzna mógłby się zdobyć na jakiś desperacki odruch. A ponieważ morderstwo zostało uplanowane, śmiertelny cios nie zadany w

sprzecze, lecz na zimno, dlatego wykluczam Cieślikowskiego. Natomiast Wietrzyk nie jest typem zdolnym do takiego czynu. On by raczej wynajął płatnych morderców, gdyby tacy u nas istnieli i gdyby nie żał mu było wydać na to pieniędzy. Co innego biegać z donosami i gdzie można podstawić świnię. Jestem przekonany, że Wietrzyk ma zdolności przede wszystkim w tym kierunku.

— Nie ma alibi — upierał się podporucznik.

— Niech pan nie przywiązuje do tego faktu zbyt wielkiego znaczenia. Gdybyśmy ustalili pełną listę znajomych Krystyny Cieślikowskiej i zaczęli sprawdzać, co robili po południu 12 stycznia, to okazałoby się, że większość nie ma takiego alibi, którego nie można podważyć. Przecież nikt nie prowadzi diariusza, zapisując dzień po dniu, godzina po godzinie swoich spotkań i czynności. Proszę, niech pan mi powie, co pan robił owego dnia?

Józef Tomaszewski długo się namyślał.

— Chyba byłem w kinie z Halinką.

— W jakim?

— Jeżeli dobrze pamiętam, to w „Skarpie”.

— Na jakim filmie?

— Na „Panu Wołodyjowskim”.

— Nieprawda — roześmiał się major. — W pierwszej połowie stycznia ten film jeszcze nie wszedł na ekrany. Już pana złapałem. A poza tym co to za alibi? Świadcstwo narzeczonej, a więc osoby najbliższej? Możecie być w zмовie. Kto was widział w „Skarpie”?

— Przekonał mnie pan, majorze — poddał się podporucznik.

— Proszę się nie obawiać — uspokoił go starszy oficer — że wykluczam kategorycznie osobę Wietrzyka z naszego dochodzenia. Wpisuję go jako numer trzeci na listę podejrzanych. Ale w tej chwili nie dysponujemy przekonującymi dowodami, które pozwalają postawić go pod zarzutem morderstwa. Za jego niewinnością przemawia kilka żelaznych argumentów.

— Jakich, panie majorze?

— Przede wszystkim jego charakter. Malutki człowieczek,

dobry do intryg i podejrzanych interesów, ale nie do zbrodni. A poza tym jego obrońcą jest złoty wąż z błękitnym szafirem.

— Tego nie rozumiem, panie majorze.

— Wietrzyk doskonale znał ten klejnot. Wiedział, że to nie masywne złoto, lecz zręczna wiedeńska robota. On zna się na biżuterii, bo nie zapominajmy, przedtem pracował u „Jubilera”. Jego ocenę, że bransoletka przedstawia wartość ponad cztery tysiące złotych, przyjmuję bez żadnych zastrzeżeń. Uwierzę w najgorsze łotrostwo, nawet zbrodnię popełnioną przez kierownika komisju, ale nikt mnie nie przekona, że ten człowiek mógłby zostawić przy swojej ofierze dwadzieścia tysięcy złotych, a wziąć świecidełko za cztery tysiące. Poza tym Wietrzyk wiedział, że klejnot jest unikatem, jakiego drugiego w Polsce nie ma, i że sprzedaż tej bransoletki jest wykluczona. W czasie pracy u „Jubilera” musiał zetknąć się z ostrzeżeniami milicyjnymi, dotyczącymi klejnotów pochodzących z kradzieży lub rabunku. Nie, gdyby nawet zabił, nie tknąłby błękitnego szafiru.

— Może — i to słowo, i ton głosu młodego oficera świadczyły, że nie jest całkowicie przeświadczony o słuszności rozumowania zwierzchnika.

— Jest jeszcze poważniejszy argument — dorzucił major.

— Jeszcze jeden? — zdumiał się Tomaszewski.

— Tak. Proszę w pamięci przemnożyć: sto trzydzieści dziewięć przez pięćset pięć.

— Sto trzydzieści dziewięć przez pięćset — liczył półgłosem podporucznik — to będzie sześćdziesiąt dziewięć tysięcy pięćset, a sto trzydzieści dziewięć przez pięć daje nam sześćset dziewięćdziesiąt pięć złotych. Po dodaniu mamy... siedemdziesiąt tysięcy sto dziewięćdziesiąt pięć.

— Dobrze pan liczy — pochwalił major. — Zajęło to panu zaledwie 49 sekund. A Wietrzyk miał pomnożyć sto siedemnaście przez pięćset pięć, a więc przeprowadzić w pamięci działanie z trudniejszymi liczbami, ale w ciągu sekundy odpowiedział, że wynosi to pięćdziesiąt dziewięć tysięcy osiemdziesiąt pięć złotych. Bo nie mnożył, ale pamiętał, ile zapłacił za płaszcz. Mówił zatem prawdę. Był wówczas



zajęty transakcją. Właśnie dlatego go zwolniłem, że wyliczył mi swoje... alibi.

## ROZDZIAŁ VIII

### Kosztowna przygoda badylarza

Do gabinetu majora Janusza Kaczanowskiego dyżurny sierżant MO wprowadził mężczyznę w wieku około pięćdziesiątki, a przynajmniej wyglądającego na ten wiek. Niezbyt wysoki, krępy i szeroki w ramionach. Twarz czerwona, krzaczaste siwe brwi i siwe włosy, krótko przycięte na „preussischer Schnitt”. Wesole, niebieskie oczy. Nosił się elegancko, a może nie tyle elegancko, co bogato. Popielata flanela na pewno kupiona była albo w komisie, albo w PKO, ale krawiec, który szył ten garnitur, nie był mistrzem w swoim zawodzie. Uszył poprawnie, lecz bez wdzięku. Z ubraniem z angielskiej wełny kontrastowały duże mocne ręce o krótkich palcach z połamanymi paznokciami, opalone i przyzwyczajone do pracy fizycznej.

— Obywatelu majorze — raportował sierżant — zgłosił się obywatel Stefan Lanota. Przyprowadziłem go według polecenia.

— Dziękuję, sierżancie, możecie odejść — major odprawił dyżurnego i wskazując przybyłemu krzesło naprzeciwko biurka, zaprosił:

— Proszę siadać, panie Lanota. Przypuszczam, że domyśla się pani, w jakim celu go tutaj wezwałem.

— Chyba z powodu śmierci Kryski, to jest, chciałem powiedzieć — poprawił się szybko przybyły — Krystyny Cieślukowskiej.

— Właśnie. Może papierosa? — major podsunął pudełko.

— Dziękuję, nie palę. Doktor kazał rzucić przed rokiem. Już nie to serce co dawniej — uśmiechnął się badylarz wyglądający na okaz zdrowia.

— Za bardzo pan to serduszko nadweręzał.

Obaj mężczyźni roześmieli się.

— Oj, racja, racja — przyznał szczerze Lanota. — Ale nie żałuję. Panie majorze, co to była za kobieta!

— I tak skończyła — dorzucił oficer milicji.

— To straszne. W lesie z rozbitą głową.

— Szukamy mordercy Cieślikowskiej. Mam nadzieję, że pan w tym nam pomoże.

— Ja wszystko — żarliwie zapewnił ogrodnik. — Jakby potrzeba było nagrodę ufundować, pan major tylko powie ile, Lanota to załatwi.

— Po co nagroda?

— No, żeby złapać tego drania. Wiadomo, pieniądz dużo znaczy. Zapłacić za informacje. To i milicja lepiej pracuje, kiedy wie, że za to coś jej kapnie.

— Największa nawet nagroda nie skłoni przestępcy, aby zgłosił się do nas i przyznał do zbrodni.

— Jak pan major uważa, ja w każdym razie...

— Dziękuję za dobre chęci. Ale teraz chciałbym usłyszeć od pana coś o Cieślikowskiej. Kiedy pan ją ostatnio widział lub rozmawiał?

— Chyba gdzieś przed świętami.

— Z jakiej okazji?

— Byłem w Warszawie i po prostu chciałem się z nią zobaczyć. Razem zjedliśmy kolację.

— Panie Lanota — wyjaśnił major — prowadząc dochodzenie, musimy także badać i prywatne życie Cieślikowskiej. Pan rozumie?

— Tak jest, panie majorze.

— Dlatego też pańska osoba nie jest nam zupełnie obca. Orientujemy się, że z zamordowaną łączyła pana paroletnia przyjaźń, chociaż ostatnio mocno ochłodziła. Czy może pan nam powiedzieć, dlaczego?

Lanota zmieszał się.

— To była wspaiała kobieta. Ja, cóż, jestem zwykłym badylarzem. Zjawił się inny. Pewnie bogatszy. Cudzoziemiec. Obiecywał Krysce otworzyć świat na oścież. No i otworzył... głowę obuchem siekiery.

— Nie wiedziałem, że to była siekiera — niewinnie zauważył

oficer milicji.

— Gazety pisały, że „tęym narzędziem”. To najporęczniej siekierą.

— Rzeczywiście. Ma pan rację. Dobry zamach styliskiem i żadna czaszka nie wytrzyma. Doskonale pan to wykombinował. Muszę na tę okoliczność zwrócić uwagę lekarza.

— Widzi pan — chwalił się Lanota. — Ja jestem prosty człowiek. Ale swoją smykałkę człowiek ma.

— Ta przyjaźń kosztowała pana kupę forsy?

— Ano kosztowała. Ale dzieciom od ust nie odjąłem.

— Pan jej kupił to mieszkanie spółdzielcze?

— Kupiłem — przyznał badylarz.

— Ładne mieszkanko. Niby kawalerka, ale duży pokój, ze dwadzieścia metrów. Wygodna łazienka, przedpokój z szafą ścianie i osobno kuchenka. Wprawdzie nieduża, ale z własnym oknem.

— Bardzo słusznie. Cieślikowska przedtem mieszkała w gorszych warunkach.

— To była nora. Bez łazienki. Pokój z wejściem ze wspólnego korytarza. Tyle że doprowadzili wodę i oddzielili ścianką mały kojec na kuchenkę. Nic dziwnego, że Kryśka stale tam chorowała.

— Rzeczywiście, można się było rozchorować.

— Biedactwo, zawsze ją głowa bolała. A jaka była blada! Mizerniała w oczach. Na szczęście jakoś udało mi się ją namówić, aby zgodziła się na zamianę.

— To poprzedni właściciel tej kawalerki przeprowadził się do jej dawnego mieszkania?

— To tak się nazywało. Pan major przecież się orientuje. Są tacy, którzy handlują mieszkaniami. Tu zamieni, tam odstąpi, ktoś wyjeżdża. I to mieszkanko było po takim, co dostał lepszą posadę w jakiejś fabryce na Śląsku. Po co miał scedować spółdzielni kawalerkę po swojej cenie, kiedy mógł oddać tamten pokój? Opłaciło mu się, bo jeszcze uregulowałem za niego dług w spółdzielni.

— Trzymam zakład, że co najmniej 180 tysięcy na to poszło.

— Toby pan wygrał, majorze, ale ja się nie zakładam.

— Zawsze lepiej wydać na mieszkanie niż na doktora lub na szpital.

— Święte słowa pana majora. Kryśka tam by zmarniała ze szczętem, a w tym nowym mieszkanku od razu odżyła.

— Dobrał pan bardzo ładne meble.

— Wiadomo, wszystkie na wysoki połysk.

— Podobały mi się. Pani Krystyna była zapewne zadowolona? Lanota uśmiechnął się uszczęśliwiony.

— To była moja niespodzianka. Kryśka martwiła się, że jej stare graty nie będą pasowały do nowej kawalerki. Wszystko sobie uplanowałem. Kupiłem meble, kazałem je wstawić w tajemnicy przed Kryśką, a kiedy na samochód wynajęty do przeprowadzki załadowano rzeczy, to poleciłem tym ludziom zabrać je, dokąd chcą, dla siebie lub na zwalę, a na nowy adres dowieźć jedynie walizy. Kiedy Kryśka weszła do swojego nowego domu, aż zaniemówiła z wrażenia.

— Świetnie pan to zorganizował — w głosie majora dźwięczał podziw. — Ale że potrafił pan tak utrafić w gust pani Krystyny?

— Ona, biedula, zawsze opowiadała mi, co by sobie kupiła, gdyby miała pieniądze. Ja milczałem, ale słuchałem. Dlatego wiedziałem, co i gdzie kupować.

Podporucznik Tomaszewski, który jak zwykle protokołował, siedział nieco z boku i Lanota nie widział jego twarzy. Młody oficer krztusił się ze śmiechu. Major musiał znacząco chrząknąć, aby przywołać go do porządku.

— Do gustu przypadły mi obrazy.

— Sztuka w sztukę kupowane w Desie — pochwalił się badylarz.

— Bardzo pan kochał tę kobietę?

— Bardzo — Lanota był wyraźnie wzruszony.

— Że też pan się z nią nie ożenił?

— Przecież ja mam żonę i czworo dzieci! Najstarszy syn niewiele młodszy od Kryśki — Lanota był szczerze zdumiony pytaniem oficera milicji.

— Są rozwody.

— Te rozwody to tylko grzech i obraza boska.

— I ja tak myślę, panie Lanota.

— A poza tym, panie majorze — badylarz uznał, że oficer milicji jest sympatyczny i doskonale się z nim rozmawia — sam pan rozumie, że taka żona nie dla mnie. Ja jestem chłop, nie wstydzę się tego. Ogrodnik z dziada pradziada. U mnie jak sezon i pilna praca, nie ma wielkich państwa. Syn, mimo że politechnikę skończył, musi iść o świcie do roboty. Także córki, chociaż jedna już mężatka, a druga na uniwersytecie. Że już nie wspomnę o najmłodszym. On na ogrodnictwie w SGGW i dla niego to zwyczajne. Ani ja, ani żadne z moich dzieci nie boimy się pracy. I żonę mam robotną. W badylarstwie zarabia się duże pieniądze, ale trzeba mieć głowę na karku, a ręce w ziemi od wiosny do późnej jesieni. To nie było zajęcie dla Kryski. Ona, wiadomo, dziedziczka, ziemiańska córka.

— Nawet nie wiedziałem, że jej rodzice mieli majątek.

— I to jaki, pani majorze. Magnacka fortuna. Gdzieś koło Włodawy. Kryśka pokazywała mi kiedyś fotografie. To nie dwór, a prawdziwy pałac. Z podjazdem, że czwórką koni można zakreślić. Filary, herb na froncie, dwa piętra, a pokoiów chyba ze trzydzieści.

— Wszystko zabrano przy reformie rolnej — westchnął major.

— Nawet resztówki nie zostawili.

— Że też pan dał sobie taką babkę z rąk wydrzeć. I to jakiemuś Anglikowi!

— O to mnie największa cholera brała. Taka angielska glizda. Kiedy podawałem mu rękę, to jakbym węgorza za ogon złapał. Albo i coś paskudniejszego.

— Pan go znał?

— Kryśka poznała mnie z nim.

— Już po waszym zerwaniu?

— Nie. Przedtem. Ani mi w głowie nie zaświtało, że ona leci na niego... Prędzej bym się nagiej śmierci spodziewał.

— Z kobietami nigdy nic nie wiadomo — filozoficznie zauważył major.

— Widzę, że pan dobrze je zna. Pewnie i panu nieraz za kołnierz włożyły.

— Bywało, bywało.

— Niczego się nie spodziewałem, a tu pewnego dnia Kryśka mówi do mnie, że między nami wszystko skończone, żebym więcej do niej nie przychodził ani nie dzwonił. Zamki w mieszkaniu zmieniła, bo miałem swoje klucze. Jakby mnie kto obuchem przez łeb trzasnął. Prosiłem, błagałem, tłumaczyłem, że taki angielski przybłęda niewiele jest wart. Nawet wstyd mi się przyznać, mówiłem o pieniądzach, obiecywałem dać jej tyle, ile będzie chciała. Nie i nie! Zyskałem jedynie to, że pozwoliła mi od czasu do czasu do niej zatelefonować i obiecywała spotykać się ze mną. Ale zastrzegła, jako starzy przyjaciele. Nic więcej.

— Zgodził się pan na to?

— Zgodziłem. Ale taki byłem wściekły, że przez pół roku ani nie zatelefonowałem, ani jej nie zobaczyłem. Nawet nie przechodziłem ulicą Wspólną obok tego komisju.

— A potem?

Stefan Lanota spuścił głowę.

— Trudno wytrzymać bez takiej kobiety, kiedy tak się ją kochało. Trzeba chociaż zobaczyć, chociaż zamienić kilka słów.

— A jak się ułożyła panu ta nowa faza znajomości?

— Kryśka była miła. Zawsze interesowała się moimi sprawami, troszczyła o moje zdrowie. Słowem, prawdziwy przyjaciel.

— Czy nie przyszło panu na myśl, że po zerwaniu z panem i przy projektach nowego małżeństwa Cieślukowskiej wszystko, co od pana dostała, staje się własnością tego Anglika?

— Tłukło mi się to nieraz w myślach i diabli mnie brali.

— Nie żądał pan zwrotu? Nie chodzi mi o zwrot mebli lub obrazów, ale po prostu pieniędzy? Choćby tylko tych, które pan wyłożył na kupno mieszkania?

— Nie. Nigdy.

— To szlachetnie z pana strony.

— Już taki jestem. Ręka u mnie szeroka. A kto daje i odbiera, ten się w piekle poniewiera.

— A wasze ostatnie spotkanie? Z czyjej inicjatywy doszło wtedy do skutku?

— Nie przypominam sobie. Chyba Kryśka zatelefonowała.

Mówiła, że dawno się nie widzieliśmy, i zaproponowała zjedzenie razem kolacji, ponieważ ma wolny wieczór. Byliśmy w „Bristolu”.

— Pan ma swoje ogrodnictwo w Grójeckim, prawda?

— Tak jak większość podwarszawskich badylarzy. Ale kiedy starsza córka wychodziła za mąż, wybudowałem im domek na Żoliborzu. Tam na poddaszu są dwa pokoiki, pozostawione do dyspozycji całej naszej rodziny. Każdy z nas może tam zanoćować. Ja sam bardzo często korzystam z tej możliwości. Interesy nieraz wymagają mojej obecności w Warszawie do późnego wieczoru.

— Tak, to zupełnie zrozumiałe. Ale 12 stycznia, w dniu śmierci Krystyny Cieślikowskiej, nie nocował pan w domu przy ulicy Czarnieckiego. Był pan wtedy u siebie, w Grójeckim?

— Ostatnio rzadziej przyjeżdżam do Warszawy. Syn mnie już wyrećcza. Wciąga się powoli. Jak skończy SGGW, przejmie ode mnie całe gospodarstwo.

— Co pan robił tamtego dnia?

— Roboty ogrodnikowi nigdy nie brakuje. Sortowało się cebulę. Jedną na eksport, drugą na krajowy rynek. Przygotowywało się też jabłka do wysyłki.

— Jak na jednego człowieka to ogromna praca.

— Nie sam robię. Najmuję ludzi. Teraz, w zimie, łatwiej o pomocników. Trudniej w gorący czas. Wtedy nawet i po dwie setki dniówki każą sobie płacić.

— Przyjemnie nam się gawędziło, panie Lanota. Naopowiadał nam pan tu różnych treli-moreli, ale teraz zaczniemy rozmawiać poważnie — głos oficera milicji zabrzmiał ostro. — Dosyć już tych żartów. Proszę mówić prawdę.

— Ależ, panie majorze...

— Dotychczas kłamał pan jak najęty. Czy pan myśli, że milicja to naiwne dzieci, które wierzą w ładne bajki? Zdaje się panu, że bez żadnych powodów wezwaliśmy pana na przesłuchanie? Pan się grubo myli. Zanim pan zjawił się w tym gmachu, zebraliśmy dostatecznie dużo informacji. Proszę więc mówić prawdę. Pytam jeszcze raz, kiedy pan ostatnio widział Krystynę Cieślikowską?

— Ależ, panie majorze, przecież mówiłem, że przed Bożym Narodzeniem.

— Kłamstwo! — major uderzył dłonią w blat biurka. — Na cztery dni przed jej śmiercią. Co było tematem tej rozmowy?

Badylarz milczał. Był zaskoczony i przerażony.

— W takim razie ja odświeżę panu pamięć. Domagał się pan od Cieślukowskiej zwrotu mieszkania, biżuterii, którą od pana otrzymała, albo trzystu tysięcy gotówką. Tak było?

— No... No, chciałem to jakoś załatwić. Dawałem jej, ale skoro wychodziła za mąż za tego angielskiego milionera, to miałem prawo żądać swojego.

— A kiedy pan ostatnio do niej telefonował?

— Nie pamiętam.

— Ale my wiemy. 12 stycznia około godziny pierwszej w południe. O czym rozmawialiście?

— Tak, dzwoniłem. Przedtem trochę się poróżniliśmy, chciałem to jakoś załagodzić.

— Znowu kłamstwo. Chciał się pan koniecznie z nią zobaczyć, żeby definitywnie zakończyć sprawę zwrotu prezentów lub pieniędzy. Groził pan, że jeżeli pańska dawna przyjaciółka nie przygotuje choć części gotówki, będzie tego gorzko żałowała. Ona tłumaczyła się, że wyjeżdża do Podlesnej Góry i będzie mogła rozmawiać z panem dopiero za kilka dni. Może nieprawda?

— Kiedy pan major wie, to po co się pyta?

— Daję panu szansę. Lepiej dla przestępcy, kiedy sam przyznaje się do winy. Ma to duży wpływ na wyrok.

Badylarz, dotychczas przerażony, teraz nagle ochłonął. Zupełnie spokojnym, ale stanowczym tonem oświadczył:

— Pan się myli. Ja Kryški nie zabiłem. Żądałem zwrotu prezentów, ale już przedtem jej mówiłem: albo do mnie wracasz, albo oddaj, coś dostała.

— 12 stycznia był pan w południe w Warszawie. Dzwonił pan nie z Grójca, ale z Warszawy. Co pan później robił?

— Kiedy Kryska powiedziała, że nie może się ze mną zobaczyć, wróciłem do domu.

— O której?



— Gdzieś koło czwartej po południu.

— Jeszcze jedno kłamstwo, panie Lanota — teraz major strzelał na ślepo.

— Naprawdę, wracałem koło czwartej. Ale w drodze popsul mi się samochód. Dętka pękła, a nie miałem zapasowego koła. Zdarzyło się to w połowie drogi między Jankami a moim domem. Zostawiłem wóz na szosie i poszedłem piechotą. Padał gęsty śnieg. Trudno było iść. Chciałem podjechać „na łebka”, ale kto w taką pogodę się zatrzyma? W ogóle pewnie nie widzieli moich znaków, bo o pięć metrów była biała ściana. Te dziesięć kilometrów szedłem -ponad dwie godziny. Dopiero o wpół do ósmej byłem w domu. Razem z synem wzięliśmy nysę, którą odstawiamy towar, i pojechaliśmy po mojego renaulta. Podwiesiliśmy go na dwóch kołach i przyciągnęliśmy do garażu. Całe szczęście, że nasza nysa ma wmontowany dźwig z hakiem dla lepszego załadunku ciężkich skrzyń z owocami. Inaczej trzeba by było na tę pluchę zmieniać koło na drodze.

— No widzi pan, trzeba było kłamać?

— Kiedy się bałem, że jeżeli powiem prawdę, to mi nie uwierzycie i zamkniecie.

— Groziło panu zamknięcie, ale właśnie dlatego, że usiłował pan wprowadzić nas w błąd. Na drugi raz, jeżeli jeszcze się spotkamy, niech pan pamięta, że milicja nie daje się łatwo oszukać.

— Tak jest, panie majorze — Lanota podpisał podany mu przez Tomaszewskiego protokół.

— Może pan już iść. Oto pańska przepustka.

Badylarz wstał i skierował się do drzwi.

— Chwileczkę, proszę — zatrzymał go major.

— Słucham?

— Ostatnio widywano pana z pewną przystojną dziewczyną. To pewnie koleżanka młodszej córki? Niech pan uważa, Lanota, żeby ta przygoda nie kosztowała pana następne trzysta tysięcy. To taka prywatna rada, z dobrego serca.

Za badylarzem zamknęły się drzwi. Podporucznik schował dokumenty do teczki i powiedział z wyrzutem w głosie:

— Dlaczego pan go nie zamknął? Przecież to morderca.

— Nie zauważyłem tego — zażartował starszy rangą oficer.

— Wyraźnie zeznał, że Cieślukowską zabito uderzeniem obucha siekiery. Tego faktu nie ujawnialiśmy nikomu. Żaden dziennik nie dał najmniejszej wzmianeczki. A kiedy Lanota kłamliwie podawał swoje alibi, usiłował w nas wmówić, że był w domu około czwartej po południu. Lekarz zaś ustalił zgon Cieślukowskiej na godziny pomiędzy siedemnastą a osiemnastą. Badylarz dobrze wiedział, o której zabił swoją byłą kochankę, i dlatego przezornie określił czas swojego powrotu do domu znacznie wcześniej.

— Drogi kolego — major był w dobrym humorze — całkowicie bezstronnie muszę przyznać, że się wyrabiacie. Wasze rozumowanie jest bezbłędne. Chciałbym jednakże wiedzieć, co zrobicie z poprzednikami.

— Jakimi?

— W areszcie macie przecież już trzech morderców Cieślukowskiej.

— Ja?!

— Tak. Gdybyście prowadzili śledztwo, najpierw zamknęlibyście Alojzego Cieślukowskiego, następnie Roberta Malinowskiego, później zaś Bogdana Wietrzyka. A teraz do celi trafiłby i Stefan Lanota. Pewnie dlatego, żeby mogli grać w brydża. Był jakiś amerykański lub angielski kryminal „Morderca przegrywa robra”. Czy o to wam chodziło?

— Pan major śmieje się ze mnie, a przecież...

— Przecież chcecie jak najlepiej, prawda? A teraz poważnie. Należy się wam pochwała. Zwróciliście uwagę na najistotniejsze elementy zeznań ogrodnika. To twardy facet i duży cwaniak. Na początku naszej rozmowy grałem dobrodusznego i łatwowiernego. Próbowałem w ten sposób wyciągnąć coś z tego człowieka. Ale i on umiejętnie odstawił komedyjkę, w której z powodzeniem kreował rolę poczciwego bałwana. Ale rzeczywistość była zupełnie inna.

— Jednakże wpakował w tę kobietę dużą forszę.

— Niewątpliwie. Krystyna Cieślukowska bardzo mu się podobała. Ładna, elegancka, o wielkim czarze osobistym, no i w momencie, kiedy ją poznał, przewyższała go już o całe niebo

kulturą i obyciem towarzyskim. Robert Malinowski na pewno nie kłamał opowiadając nam, jak ta dziewczyna umiała szybko przystosować się do nowych warunków życia. Nie wykluczam, że ogrodnik święcie wierzył w jej ziemiańskie lub nawet magnackie pochodzenie, a pokazywane mu zdjęcia jakiegoś pałacu jeszcze bardziej utwierdziły go w tej wierze. To już reguła, że nowobogacy dziwnie lgną do arystokracji. Nawet takiej rozparcelowanej. Kierowniczką komisju zrzęcznie grała swoimi atutami.

— Urządził ją znakomicie — dodał podporucznik.

— Ta kobieta konsekwentnie dążyła do wytkniętego przez siebie celu. Można ją za to podziwiać. W swoim życiu mężczyznom wyznaczała określoną rolę. Kiedy już ją odegrali, usuwała ich na bok. W tej dziwnej sztuce Alojzemu Cieślikowskiemu przypadło przywiezienie przystojnej, ale prostej dziewczyny z małego miasteczka do stolicy. Wiedziała przecież, że wymarzonej kariery nie zrobi we Włodawie. Malinowski miał ją posunąć o szczebel wyżej i odpowiednio oszlifować. Zorientowała się, że w miłości tego starszego o tyle lat mężczyzny jest także bardzo dużo uczuć ojcowskich. Była dla niego młodą, piękną kochanką i jednocześnie jak gdyby drugą córką, którą trzeba wprowadzić w obcy dla niej dotychczas świat. A że w tym nowym świecie liczy się nie tylko piękność, ale i odpowiednia oprawa, z kolei potrzebny był bogaty protektor. Kiedy poznała Lanotę, nie była jeszcze kierowniczką komisju.

— Ale w jaki sposób nią została?

— Już wtedy miała szerokie znajomości. Zarówno towarzyskie, jak i w pracy. Zapewne wykorzystała kolejnego partnera, następcę Malinowskiego. Były dyrektor wspominał o nim jako o człowieku, który nie pozwolił wodzić się za nos przez piękną Krystynę, ale jednak załatwił jej kierownictwo dużego sklepu włókienniczego. Może także i pracę w komisju? Niestety, tego się raczej nie dowiemy, bo Kamiński nie żyje.

— Szkoda.

— To nie takie ważne. Szukamy przestępcy, a nie spisujemy kroniki życia Cieślikowskiej. W każdym razie znajomość z

badylarzem pozwoliła jej wstąpić na wyższy szczebel drogi w górę. Teraz już mogła grać tę wymarzoną przez siebie rolę wielkiej damy. Oczywiście w proporcjach jej małego światka. Zdawała sobie z tego sprawę i szukała następcy ogrodnika. Tym razem chodziło o takiego człowieka, przy którego boku zostałaby naprawdę wielką damą.

— Ten Anglik?

— Właśnie. Bogaty przemysłowiec angielski. Jeżeli Krystyna nigdy przedtem nie chciała się wiązać jakimiś oficjalnymi więzami z żadnym ze swoich wielbicieli, teraz dążyła wyłącznie do tego. Po raz pierwszy też napotkała na swojej drodze poważną przeszkodę.

— Kogo? — zdumiał się podporucznik.

— Swojego byłego kochanka. Ten wprawdzie musiał zrezygnować z łask tej kobiety, ale nie chciał pogodzić się ze stratą swoich pieniędzy. Twardo żądał ich zwrotu. Ponieważ finansował różne nielegalne interesy Cieślikowskiej i dużo o niej wiedział, miał w ręku mocne atuty i zbycie go było czym nie było takie proste.

— Przecież Cieślikowska mogła ostatecznie zwrócić te pieniądze. Jeśli nawet nie wszystkie, to większą ich część. Znaleźliśmy w jej mieszkaniu książeczkę PKO z dużym wkładem, dolary, no i biżuterię wartości ponad 200 tysięcy złotych.

— Jasne, że mogła zwrócić. Ale nie chciała. To było przeciwne jej naturze. Ta kobieta przez całe swoje życie przyzwyczaiła się do brania. Nie umiała dawać ani nawet oddawać. Dlatego wynajdywała dziesiątki powodów, by odwlec tę chwilę. Gdyby udało się jej wyjść za mąż za angielskiego milionera, być może, rozliczyłaby się wtedy z badylarzem. Przypuszczam jednak, że sięgnęłaby do kasy nie swojej, lecz męża. Ostatecznie na stosunki zachodnie była to nie taka duża suma. Według kursu czarnej giełdy około 3 tysięcy dolarów. Sęk w tym, że ogrodnik nie chciał czekać. Może zorientował się, że wałą się małżeńskie plany Cieślikowskiej?

— Skąd pan wie?

— Nie wiem. Przypuszczam. Będziemy wiedzieli wtedy, kiedy

dobierzemy się do skóry tego Anglika. Nie sądzę, abyśmy mieli trudności z jego zidentyfikowaniem.

— Dlaczego, majorze, zwolnił pan Lanotę?

— Dlatego, że i do niego nie pasuje błękitny szafir. Badylarz zrezygnował z Cieślikowskiej. Pocieszył się jakimś młodym kotem. Chodziło mu jedynie o pieniądze, które, jego zdaniem, źle zainwestował. Byłby ostatnim człowiekiem, pragnącym zamordować Krystynę. Miał przecież szanse, że wycofa gotówkę, jeżeli nie całą, to przynajmniej jej część. Nie zabija się dłużników. Raczej wierzycieli.

— To racja — przyznał Tomaszewski.

— Poza tym nie widzę powodu, dla którego badylarz miałby brać bransoletkę z szafirem. Na pewno zna się i na kursach dolara, i na złocie. Wiedział, że bransoletka nie ma wielkiej wartości. Najwyżej trzecią część tej sumy pieniędzy, jaką zamordowana miała w torebce.

— Panie majorze, prawie zostałem przekonany.

— Bardzo mnie to cieszy — uśmiechnął się Kaczanowski — tym bardziej że mam dla was zajęcie. A co do Lanoty, niech pan się nie obawia. Będzie także figurował na mojej liście podejrzanych. Pod numerem czwartym.

— Jakie zajęcie?

— Jutro z rana pojedzie pan do Podleśnej Góry. Ustali pan, jacy cudzoziemcy tam mieszkają. Ze szczególnym uwzględnieniem Anglików, ale to nie jest pewnik, bo facet może mieć inne obywatelstwo. Trzeba też zwrócić uwagę na samochody. Kto ma czerwonego morris-coopera? Nasz bohater najprawdopodobniej nosi imię Robert. Stąd znany nam skrót Bob lub Rob. Gdyby pan nie znalazł w Podleśnej Górze nikogo odpowiadającego naszym danym, proszę szukać w sąsiednim Rzęsowie.

— Tak jest. Jutro pan major będzie miał tego faceta — zapewnił podporucznik.

## ROZDZIAŁ IX

### Piąty do brydża

Podporucznik Józef Tomaszewski doskonale spisał się z powierzonego mu zadania. Już tego samego dnia po południu raportował majorowi Januszowi Kaczanowskiemu:

— Anglik odnaleziony. Wprawdzie nie ma na imię Robert ani Bob, ale jego nazwisko brzmi: Bobesson. John Bobesson. Dyrektor handlowy i jeden z głównych udziałowców wielkiej angielskiej firmy „H. J. Bobesson and Company”. Maszyny górnicze, walcownie blach aluminiowych, wielkie koparki kroczące. Słowem, ciężki przemysł.

— Mieszka w Polsce, w Podleśnej Górze?

— Firma robi duże interesy z Polską. Dyrektor John Bobesson zajmuje się dostawami dla całej Wschodniej Europy. Doszedł do wniosku, że najbardziej odpowiednim punktem dla założenia czegoś w rodzaju generalnego przedstawicielstwa na te kraje jest właśnie Polska. Dlatego też dyrektor stosunkowo sporo czasu spędza u nas. W Podleśnej Górze, w willi przy ulicy Wiśniowej, wynajmuje dwa pokoje z łazienką i osobnym wejściem. Na parterze. W czasie pobytu w Polsce zawsze tam mieszka. W garażu willi stoi samochód. Rzeczywiście czerwony morris-cooper na warszawskich numerach rejestracyjnych. Oglądałem z bliska tę willę, ale nie wchodziłem do środka. Jest własnością znanego przed wojną śpiewaka operowego. Obecnie dość wiekowy mężczyzna. Dla podreperowania swoich dochodów przerobił parter domu na dwa luksusowe mieszkanek. W tym drugim mieszka sekretarz ambasady brazylijskiej.

— Sądzę — zauważył major — że komorne za te dwa lokale wynosi nie mniej niż nasze pobory razem wzięte.

— Willa położona jest w nowej części Podleśnej Góry. Do stacji kolejki niewiele bliżej niż do Rzęsowa.

— Aha — domyślił się major — wiemy zatem, że Krystyna Cieślikowska przyjechała do Podleśnej Góry kolejką, a chciała wracać elektrycznym pociągiem. To szybciej i częstsze połączenie. Szła więc z Podleśnej Góry do Rzęsowa, a nie, jak to

przypuszczaliśmy początkowo, w odwrotnym kierunku.

— Pan major wezwie lego Anglika do komendy?

— Raczej nie. Pamiętajmy, że to cudzoziemiec i to dość związany z naszymi instytucjami gospodarczymi. Zaraz by się tam poskarżył, że go „po milicjach” ciągną i nasi handlowcy narobiliby hałasu, że przeze mnie tracą milionowe zamówienia. Załatwimy to dyplomatycznie. Porozumiemy się z panem Bobessonem telefonicznie i ustalimy, kiedy będzie mógł nas przyjąć. Ma pan, poruczniku, numer jego telefonu?

— Mam. A jeżeli drapnie, jak Malinowski?

— To wtedy wiedzielibyśmy, kto jest zabójcą Cieśli—kowskiej. Ale sądząc po stanowisku, jakie zajmuje, facet jest mądrzejszy i o silniejszych nerwach niż były dyrektor. Takiego nie przestraszy sama zapowiedź wizyty milicji.

— Ale może zatrzeć ślady.

— Jeżeli nawet jest przestępcą, to nie zatrze, bo ich nie zostawił.

— Może schować błękitny szafir.

— Jestem pewien, że błękitny szafir jest doskonale schowany. Od pierwszej chwili, kiedy zdarto go z ręki umierającej kobiety. Dlatego zrezygnowałem z przeprowadzania rewizji u naszych wszystkich podejrzanych. Nie sztuka schować takie małe świecidełko, aby go wszystkie policje świata nie potrafiły znaleźć.

Kaczanowski nie mylił się. Pan John Bobesson uprzejmie rozmawiał z przedstawicielem władzy, wcale nie był zaskoczony lub zaniepokojony zapowiedzianą wizytą oficerów milicji i zaproponował spotkanie w Podleśnej Górze nazajutrz o godzinie dziesiątej.

Duży, popielaty wóz, wypożyczony na tę okazję z Komendy Głównej, punktualnie o godzinie dziesiątej zatrzymał się przy ulicy Wiśniowej w Podleśnej Górze. Z samochodu wysiedli dwaj oficerowie w cywilnych ubraniach. Kiedy podeszli do furki oddzielającej posesję od ulicy, rozległ się brzęczek otwieranego zamka elektrycznego. Jednocześnie rozwarły się drzwi wiodące do domu.

Stał w nich wysoki, szczupły mężczyzna. Typowy Anglik.

Siwo-rude włosy, wąsy dłuższe, niż tego wymaga najnowsza moda. Nosił ciemny garnitur, śnieżnobiałą koszulę i popielato-srebrny krawat.

— Jestem John Bobesson — gospodarz powitał przybyłych. — Proszę do środka. Oczekiwałem panów — ruchem ręki wskazał wieszak znajdujący się w przedpokoju, a kiedy oficerowie zdjęli wierzchnie okrycia, przepuścił ich przodem, wprowadzając do obszernego pokoju.

Było to pomieszczenie przeznaczone na gabinet pracy człowieka interesów. Wielkie biurko z fotelem jak tron biskupi stało na tle ściany, na której wisiał kosztowny perski dywan z kolekcją starej broni. Inny, nie mniej cenny — buchara — zaścierał prawie całą podłogę. Na środku pokoju stał kwadratowy stół z czterema krzesłami. Wszystko z ciemnego dębu w stylu gdańskim. Każde z tych krzesel, prócz wymyślnych rzeźb, nosiło herby tego miasta.

— Piękny komplet — zachwycił się major.

— Udało mi się go zdobyć przed pięciu laty w Desie w Gdyni. Oczywiście bez prawa wywozu. I słusznie. Wasze przepisy pod tym względem są jednak stanowczo za liberalne jak na kraj tak okropnie zniszczony dwiema wojnami światowymi. Zaraz będzie kawa. Nastawiłem wodę, kiedy przez okno zobaczyłem wasz samochód. Bardzo proszę, niech panowie siadają, obowiązki gospodarza zmuszają mnie do pójścia do kuchni.

Wyczuwało się, że Anglik usiłuje nadać tym odwiedzinom charakter wyłącznie towarzyski. Odpowiadało to zresztą Kaczanowskiemu. Major chodził po pokoju i z upodobaniem przyglądał się starej broni i obrazom w szerniałych ze starości ramach. Prawie całą jedną ścianę zajmowała duża szafa, również utrzymana w stylu gdańskim. Jej środkową część stanowiła oszklona biblioteka. Oficer milicji rzucił okiem na tytuły książek. Przeważnie klasyka. W paru językach.

Gospodarz wrócił do pokoju. Na srebrnej tacy niósł komplet do kawy: srebrny dzbanek, mniejszy na śmietankę i stara, jeszcze z kluczykiem, cukiernica. Trzy filiżanki z cennej porcelany. Sama ta zastawa kosztowała małą fortunę.

„Mam przed sobą prawdziwego milionera — pomyślał major.



— Cieślikowska celowała do właściwej zwierzyny.”

— Whisky czy koniak? — zaproponował gospodarz.

— Jeżeli można, koniak — poprosił major.

— Dla mnie też koniak — podporucznik postanowił we wszystkim naśladować zwierzchnika, aby nie popełnić jakiejś gafy towarzyskiej.

Pan Bobesson podszedł do szafy i otworzył jedne z dwojga drzwi. Za nimi widać było bogatą kolekcję trunków wszystkich kolorów tęczy. Wyjął butelkę i trzy baryłkowate kieliszki.

— Czy może być Meukov? — zapytał.

— Doskonale, to moja ulubiona marka — Kaczanowski powiedział to takim tonem, jakby nie ulegało wątpliwości, iż oficerowie milicji w Polsce piją wyłącznie francuskie koniaki.

— Całkowicie się z panem zgadzam. Ja również preferuję tę brandy.

Anglik doskonale mówił po polsku; dopiero to zdanie zdradziło, że nie jest to jego ojczysta mowa. Oficer milicji skwapliwie podjął ten temat:

— Pan znakomicie włada naszym językiem. Dla cudzoziemca jest on niesłychanie trudny. Lingwiści uważają języki słowiańskie za bodaj najtrudniejsze na świecie, stawiając je na równi z chińskim.

— Łatwe nie są — zgodził się Bobesson nalewając złocisty płyn do kieliszków. — Ja tę umiejętność zawdzięczam Hitlerowi.

— Był pan w obozie? — zdziwił się Kaczanowski. — Chyba pan na to za młody.

— Mam czterdzieści pięć lat. W dniu wybuchu wojny miałem niecałe czternaście. Kiedy zaczęły się naloty na Londyn, ojciec wywiózł całą naszą rodzinę na wieś. Mamy w Walii domek. W tej samej miejscowości ulokowano również internat i polską szkołę dla dzieci uciekinierów. Zaprzyjaźniłem się z rówieśnikami. Oni z reguły nie umieli ani słowa po angielsku, ja ani w ząb po polsku. Zanim skończyła się wojna, sam nie wiem, w jaki sposób nauczyłem się polskiego. Tak nawiasem mówiąc, trzymając mnie w tym kraju nie tylko interesy. Uważam Polskę za drugą swoją ojczyznę. Trudno, zakochałem

się w tym kraju.

— I w tych kobietach — dorzucił niedbałym tonem oficer milicji.

Trwało to tylko moment. Przez twarz Anglika przebiegi skurcz. To nie był już beztroski gospodarz podejmujący gości. Teraz przed Kaczanowskim siedział człowiek o napiętych nerwach, ważący każde słowo.

— A więc zdrowie pięknych Polek — Bobesson uniósł w górę kieliszek.

Trzej mężczyźni wypili.

— Domyślam się naturalnie — Anglik uważał widocznie atak za najlepszą obronę — w jakiej sprawie panowie przybyli. Chodzi o biedną Kris. Serdecznie mi jej żal. Był czas, kiedy bardzo ją kochałem. Chyba jak żadną kobietę w życiu. Później nasza przyjaźń nieco ochłodziła. Nigdy sobie jednak nie wybaczę, że Kris nie pozwoliła się odprowadzić na dworzec. Powinienem był iść z nią nawet wbrew jej woli. Przyznaję, moja wina, chociaż nie należała do kobiet, którym można się przeciwstawiać. Może jeszcze kawy?

Obydwaj oficerowie podziękowali. Gospodarz, już nie pytając, ponownie napełnił kieliszki.

— Był pan ostatnim człowiekiem, który widział Cieślukowską żywą.

— Niestety!

— Czy moglibyśmy wiedzieć, w jakiej sprawie przyjechała do pana?

— Pytanie trochę niedyskretne. Panowie przecież wiedzą, co nas łączyło. Ale odpowiem. Po prostu potrzebowała pieniędzy. Taka mała koleżeńska pożyczka. Miała jakieś trudności. Wspominała, że ma honorowy dług i wierzyciel bardzo ją przyciska. Nie miałem pod ręką większej kwoty, dałem jej więc dwadzieścia tysięcy złotych. Prawie wszystko, co było w domu.

— Jak pan poznał Cieślukowską?

— Już nie pamiętam. Cudzoziemcowi, zwłaszcza bogatemu, nietrudno jest nawiązywać kontakty towarzyskie. Proszę się na mnie nie obrażać. Nie dotyczy to jedynie Polski. To samo odnosi się do wszystkich krajów świata, nie wyłączając Anglii.

Wszędzie są piękne kobiety. Piękne i bezinteresowne. Przynajmniej do pewnego momentu.

— Nie rozumiem?...

— Opowiem panom angielską anegdotkę. Do pewnego kuśnierza przyszedł klient w towarzystwie pięknej dziewczyny. zaproponował jej, aby wybrała sobie futro, nie krępując się ceną. Kiedy dziewczyna wybrała wspaniałe norki, mężczyzna wyjął książeczkę czekową, wypisał czek na żądaną sumę i ustalił, że nazajutrz rano kuśnierz podejmie gotówkę, zaś w południe piękna pani zgłosi się po swoje okrycie. Z rana futrzarz telefonuje do wystawcy, że czek nie ma pokrycia. „Wiedziałem o tym” — spokojnie odpowiada ten pan. „To ja nie wydam futra” — grozi kuśnierz. „Niech pan nie wydaje — zgadza się wystawca czeku — ale powiem panu, jaką ja wspaniałą noc spędziłem!”

Oficerowie roześmieli się.

— Ja nie wystawiam czeków — powiedział Bobesson. — Zresztą miałyby one pokrycie. Jestem raczej tym futrem, które tyle pięknych kobiet chce zdobyć na własność, a przynajmniej na dłuższy czas.

— Rozumiem — mruknął major.

— U was panują inne stosunki, ale w wielu krajach publiczne pokazanie się z milionerem w teatrze lub w eleganckim lokalu otwiera wiele drzwi i... kredyt. Dlatego bogatych ludzi piękne kobiety na ogół niewiele kosztują. Naturalnie są w tej regule i wyjątki, jeżeli ktoś straci głowę.

— Ale pan, dyrektorze, chyba nigdy jej nie stracił?

— Przyznam się szczerze, że byłem bliski tego. Właśnie dla Kris.

— Mówiło się w Warszawie, że macie zamiar pobrać się.

— Małżeństwo było wykluczone od samego początku. Jeżeli Kris naprawdę na to liczyła, to musiał spotkać ją zawód.

— Dlaczego? Przed chwilą sam pan powiedział, że darzył ją pan dużym uczuciem.

— Mam żonę. Rozwód jest wykluczony. W pewnych sferach Anglii rozwód jest skandalem podobnym w efekcie do wybuchu bomby atomowej. Sam pan rozumie, że... — Anglik nie

dokończył swojej myśli.

— Król Edward wybrał miłość.

— Dlatego nie jest królem. Na moim przedsiębiorstwie zapisane są sumy posagowe żony. Intercyza wszystko przewidziała. Rozwód zrujnowałby mnie osobiście, a firmę doprowadziłby do bankructwa. Bardzo kochałem Kris. Byłem gotów do wielkich poświęceń, ale...

— Ale ona żądała tylko małżeństwa?

— Kobiety są nieraz bardzo dziwne. Najczęściej chcą tego, czego nie mogą dostać.

— Nie obawiał się pan, że Krystyna Cieślikowska może wnieść sprawę do sądu?

— O co?

— O niedotrzymanie przyrzeczenia i nadużycie zaufania.

Anglik roześmiał się.

— Taki proces ośmieszyłby ją nie tylko na całą Warszawę, ale chyba i na całą Polskę.

— Być może, ale i panu by zaszkodził.

— Niewiele. Najwyżej nie ja przyjeżdżałbym do Warszawy, lecz ktoś z moich ludzi równie dobrze wprowadzonych w tutejsze sfery gospodarcze. Gdyby nawet doszło do takiego dziwnego, jak na wasze stosunki, procesu, i gdybym go w najgorszym razie przegrał, jakie odszkodowanie polski sąd mógłby przyznać Kris? Sto, najwyżej dwieście tysięcy złotych. Co to jest? Raptem parę tysięcy dolarów.

— A sąd angielski?

— Tam procedura jest inna, ale i dowody są wymagane bardziej konkretne. Nie wystarczyliby świadkowie, że Kris mnie odwiedzała i nocowała w tej willi.

— Pan zapomina, dyrektorze, że Krystyna Cieślikowska miała pańskie listy. Nie badałem jeszcze ich treści, ale nie przypuszczam, żeby pan pisywał do niej tylko o pogodzie. A proces w Anglii bardzo by panu zaszkodził. Jeżeli chodzi o odszkodowanie, to jestem pewny, że nie skończyłoby się paroma, jak pan twierdzi, tysiącami dolarów.

— To wykluczone! Kris by się nigdy do tego nie posunęła.

— Przypuszczam — powiedział dyplomatycznie major — że

nie mówi mi pan całej prawdy. Przecież pan doskonale wiedział, że Cieślukowska stara się o paszport zagraniczny i otrzymała zaproszenie oraz wizę angielską. To chyba jasne, że chciała jechać do Londynu nie dla oglądania zmiany warty przed pałacem królewskim ani dla zwiedzania Westminster.

— Żeby prowadzić w Anglii taki proces — bronił się Bobesson — trzeba mieć także duże pieniądze.

— Znał pan dobrze zmarłą, wiedział pan chyba, że to kobieta interesu. Umiałyby sobie poradzić i na londyńskim bruku. Ciekawe, co by pan wtedy zrobił?

— Nie doszłoby do procesu!

— Cieślukowska zginęłaby w Londynie, a nie w Podleśnej Górze — zimno stwierdził major.

— Nonsens — Anglik odparował uderzenie. — Kris była rzeczywiście człowiekiem interesu. Toteż wiedziała, że szybki kompromis lepszy jest od długiego procesu. Dlatego planowała zaskoczyć mnie nagłym swoim wyjazdem do Londynu. Nie muszę pana zapewniać, że o takim jej zagranju nic nie wiedziałem, bo starałbym się temu przeszkodzić. W jej interesie leżało utrzymanie wszystkiego w tajemnicy aż do za pięć dwunasta. Przygotować wszystko dla wniesienia sprawy do sądu. Dopiero wówczas jej adwokat zwróciłby się do mnie z żądaniem zapłacenia odszkodowania. A mnie pozostałoby tylko targować się o wysokość sumy. I to stojąc na bardzo niepewnej pozycji. Tak, to byłoby ze strony Kris piekielnie sprytne.

— A jak się panu zdaje, ile by pan musiał zapłacić? Może pan spokojnie mówić, przecież do takiego procesu już nie dojdzie.

— Sądzę — Bobesson namyślał się chwilę — że pełnomocnik strony wystąpiłby o jakieś sto albo i sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

— A wziął?

— Co najmniej jedną trzecią. Jeszcze byłbym zadowolony. Tak, te listy. Co za idiota ze mnie... — Bobesson nalał sobie pełny kieliszek koniaku. Ze zdenerwowania nie zaproponował go swoim gościom. Jednym haustem wypił do dna.

— Jak pan słyszy, dyrektorze, wiemy dużo. Znacznie więcej, niż pan przypuszczał witając nas w swoim domu. Czy nie

byłoby lepiej zdobyć się na całkowitą szczerłość?

— Ma pan rację — sucho przyznał Anglik. — Proszę pytać.

— Proszę nam opowiedzieć, jak to było z pańską znajomością z Cieślikowską?

— Poznałem ją w towarzystwie pewnego dyrektora departamentu. Dowiedziałem się, że jest kierowniczką sklepu. Za parę dni tam poszedłem. Umówiłem się już bez tego dyrektora. Bardzo szybko straciłem głowę. Właśnie wtedy, wyjeżdżając na dłużej do Anglii, pisałem te niepotrzebne listy.

— To była kosztowna kochanka?

— Nie. Przynajmniej w skali mojego majątku. Czasem jakiś drobiazg z biżuterii. Z Londynu przywoziłem perfumy, materiał na suknię, sweterki.

— Pożyczała od pana pieniądze?

— Nie. Nigdy.

— Pan zna Stefana Lanotę?

— Znam. Przypuszczam, że z Kris coś go łączyło. Nie wnikałem w te sprawy.

— A wasza... przyjaźń? Jak się układała?

— Niewiele czasu minęło, a Kris zaczęła napomykać, że znajomość ze mną ją kompromituje. Później już otwarcie wspominała o konieczności zalegalizowania naszego związku. To oczywiście obudziło moją czujność. Jak pan wie, nie mogłem się z nią ożenić, choćby tego bardzo chciała. Zaczęła mi grozić, że mnie rzuci. Coraz częściej dochodziło między nami do poważniejszych nieporozumień na tym tle. Nawet próbowała mnie przestraszyć, że jest w ciąży.

— Kiedy?

— Jakiś miesiąc przed jej tragiczną śmiercią. Bodaj na początku grudnia. Czy to była prawda? Sekcja zwłok...

— Nie — odpowiedział krótko major.

— Ja też tak przypuszczałem. Przecież przywiozłem jej z Anglii tego tyle, że starczyłoby chyba na pięć lat. Odpowiedziałem jej więc, że chyba stać ją na wydatek tysiąc-złotowy. Doszło wtedy do potwornej awantury. Właściwie to już było zerwanie.

— A jej ostatnia wizyta?

— Kris zatelefonowała, że chce się ze mną zobaczyć i że przyjedzie po południu do mnie do domu. Nie mogłem się od tego wykręcić. Odroczenie takiego spotkania na jeden lub kilka dni niczego nie ułatwiało. Z góry byłem przygotowany na nieprzyjemną rozmowę.

— Wyobrażam sobie!

— Spotkał mnie zawód. Kris była wesola i miła jak zawsze. Siedzieliśmy przy tym stole i jak teraz piliśmy kawę i koniak. Tylko raz wróciliśmy do niemiłego tematu. Powiedziała, że pragnie uregulować swoje osobiste sprawy, a ponieważ ciągle nie przestała mnie kochać, po raz ostatni pyta, czy się pobierzemy?

— Nie wiedziała, że pan jest żonaty?

— W początkowej fazie naszej znajomości może się i nie orientowała. Potem doskonale wiedziała. Przedstawiłem jej też powody, dla których rozwód jest wykluczony. Przypuszczam, że nie wierzyła mi na sto procent. Powtórzyłem zatem, że możemy pozostać w przyjaźni, że bardzo ją kocham, ale żeby małżeństwo wybiła sobie z głowy. Dopiero teraz rozumiem jej uwagę, że pożąuję tego.

— A te dwadzieścia tysięcy złotych?

Bobesson zrobił zdziwioną minę.

— Już powiedziałem. Kris skarżyła się na kłopoty finansowe. Sam jej zaproponowałem pożyczkę.

— Prosiła właśnie o dwadzieścia tysięcy złotych?

— Nie wymieniała żadnej sumy. Tylko że trudności pieniężne. Na to odpowiedziałem, że dysponuję dwudziestoma tysiącami złotych i mogę jej tym służyć. „Dobrze” — rzekła i schowała pieniądze do torebki. Nie powracaliśmy więcej do tego tematu.

— Pan wierzył, że ona odda tę sumę?

— Naturalnie, że nie. Uważałem to za rodzaj pożegnalnego prezentu. Zadowolony byłem, że na tym się skończyło. Wiedziałem, że Kris definitywnie zrywa, ze mną. Nie domyślałem się, jaką to jeszcze niespodziankę mi gotuje. Chciałem ją odprowadzić na stację. Jak zwykle Kris odmówiła. Przyznaję szczerze, pogoda była fatalna, nie paliłem się do

wyjścia. Zostałem w domu.

Major dopił do końca swój koniak i podniósł się z krzesła.

— Cieszę się — powiedział — że wyjaśniliśmy niektóre sprawy. Pańskie informacje są cenne. Rzuciły światło na kilka ciemnych punktów.

Gospodarz odprowadził gości aż do furtki. Żegnając się zapewniał, że w razie potrzeby chętnie służy swoją osobą.

Obaj oficerowie wsiedli do czekającego na nich samochodu.

— Co pan powie o tym typie? — major zapytał Tomaszewskiego.

— Wyjątkowa kanalia — stwierdził podporucznik.

— Całkowicie się z wami zgadzam. Po tej rozmowie czuję się, jak gdybym wylał z błota. Teraz rozumiem, dlaczego Lanota porównał go do węgorza.

— To nie tylko kanalia, ale i morderca.

— Możliwe — major nie zaprzeczył.

— Na pewno. Wiedział, że Cieślikowska nie cofnie się przed procesem. Nie ulega wątpliwości, że mu tym groziła. Aby ją ułagodzić, dał jej te dwadzieścia tysięcy złotych i odprowadzając przez las, zabił.

— Należałoby go chyba aresztować? — major nadal mówił z całą powagą.

— Oczywiście! Zanim nie ucieknie do Anglii. Choćby dzisiaj, a najpóźniej jutro rano.

— W takim razie będziemy już mieli piątkę do brydża - ani jeden mięsień nie drgnął na twarzy starszego oficera.

— Pan major zawsze żartuje — porucznik zrozumiał, że zwierzchnik z niego kpi.

— A co mam robić w tym smutnym położeniu, w którym się znaleźliśmy?

— Dlaczego smutnym?

— Bo przesłuchujemy już piątego typa, i to spod wyjątkowo ciemnej gwiazdy, a nasze dochodzenie nie posunęło się ani krok naprzód. Wprawdzie poznaliśmy dość dokładnie życiorys Krystyny Cieślikowskiej, ale nadal nie mamy pojęcia, kto ją zabił.



- Największy interes miał w tym Bobesson.
- Niewątpliwie.
- A także okazję.
- To już nie jest takie proste.
- Dlaczego?

— Mógł się domyślać, że jeszcze ktoś wie o jej zapowiedzianej wizycie. Rozmawiała z aparatu telefonicznego w komisie. Orientował się, że podejrzenia padną przede wszystkim na niego. Przyznając, że gdyby Anglik przedstawił nam jakieś murowane alibi, byłbym prawie pewien, iż on jest mordercą. Ale ten człowiek spokojnie oświadczył, że nie wychodził z domu i z nikim się nie kontaktował. Morderca tego rodzaju, a trudno posądzać naszego gościa z Londynu o naiwniactwo i głupotę, przygotowałby sobie jakąś obronę. A poza tym on naprawdę nie wiedział o zamierzonym wyjeździe Cieślukowskiej za granicę.

— Pan w to wierzy?

— Muszę. To była bardzo sprytna kobieta. Wiedziała, że jej obecność w Anglii od razu podnosi cenę przetargu. Wiedziała, że Bobesson zechce przeszkodzić jej w tym wyjeździe.

— Właśnie przeszkodził.

— Udaremniłby tę podróż i w inny sposób. Niech pan nie zapomina, że to człowiek bogaty i ustosunkowany. Jedno jego słówko i Cieślukowska nie otrzymałaby wizy żadnego z państw Zachodniej Europy. A przede wszystkim wizy angielskiej, na której jej najbardziej zależało. Dlatego też wierzę, że Bobesson mówił prawdę. Jego zaskoczenie nie było udane. On dopiero teraz sobie uprzytomnił, z jak godnym siebie przeciwnikiem miał do czynienia.

— Byłby gotów zapłacić tak wysokie odszkodowanie, trzydzieści lub czterdzieści tysięcy dolarów?

— Nawet by okiem nie mrugnął. A taki proces, ujawniający listy kompromitujące jednego z potentatów przemysłu, byłby niewątpliwie sensacją dla angielskiej prasy brukowej. Za wszelką cenę nie chciałby do tego dopuścić. Cieślukowska miała podstawy do twierdzenia, że w Anglii zrobi taki interes, który do końca życia pozwoli jej być bogatą kobietą. Była o krok od

tego celu.

— A jednak zginęła.

— Tylko to nie pasuje do obrazu mądrej, doświadczonej kobiety. Tak głupio umrzeć.

— Dla mnie Bobesson jest najbardziej podejrzanym ze wszystkich — podporucznik zawzięcie bronił swojego zdania.

— A dla mnie nie. Jest, powiedziałbym, równorzędnym potencjalnym mordercą. Tak samo podejrzanym, jak i pozostała czwórka.

— Ale jedynie on zyskiwał materialnie na śmierci Krystyny.

— Motywy materialne przy zabójstwach, jak wskazuje praktyka, zdarzają się rzadziej niż przyczyny emocjonalne. Bobesson jest na tyle bogaty, że mógł bez zbyteńgo uszczerbku dla swojej fortuny zamknąć buzię byłej kochance. A zbrodnia zawsze nosi w sobie element ryzyka, że się wyda. A poza tym siekiera. Jak pan, poruczniku, wybrnie z tego problemu?

— Jaka siekiera?

— Ta, którą zabito Cieślikowska. Trudno sobie wyobrazić, żeby Anglik odprowadzał swoją znajomą na dworzec, zabierając ze sobą siekierę. Przecież nie schowałby jej pod futro. On nosi futro. Wisiało na wieszaku w przedpokoju. Narzędzie zbrodni musiałyby nieść w ręku. Nie sądzę, aby Krystyna nie domyśliła się, dlaczego człowiek, który odmówił wzięcia jej za żonę, wychodzi z nią do lasu zaopatrzonej w taką broń.

— No tak, to prawda — zgodził się podporucznik. — Ale dwadzieścia tysięcy?

— Bobesson pożyczył je Cieślikowskiej. W tym przypadku również powiedział prawdę, chociaż przypuszczam, że rozmowa z Kris nie przebiegała tak gładko i spokojnie, jak nam to chciał wmówić.

— Jednakże nie rozumiem, dlaczego Cieślikowska pożyczała pieniądze od swojego byłego kochanka. Przecież miała własne.

— To następny dowód jej wielkiego sprytu. Tą pożyczką uspokajała czujność Bobessona. Sam przyznał, że nie wierzył w oddanie tych pieniędzy, raczej traktował je jako rodzaj odszkodowania. Był przekonany, że Krystyna zadowolili się tą

sumą. Wprawdzie Anglik dał nam receptę, w jaki sposób bogaci ludzie zdobywają powodzenie u pewnej kategorii pięknych kobiet, a i on się przeliczył. Trafiła kosa na kamień. Niech pan nie zapomina, że nasz miły badylarz, Stefan Lanota, tak energicznie dopominał się zwrotu długu, że można by to było podciągnąć pod szantaż. Prawdopodobnie Cieślikowska doszła do wniosku, iż lepiej uspokoić go na jakiś czas. Swoich oszczędności nie myślała ruszać. Kto wie, czy tych dwadzieścia tysięcy złotych nie przeznaczyła dla Lanoty jako zaliczkę na poczet długu.

— Lanota domagał się trzystu tysięcy.

— Ale wziąłby i dwadzieścia. Cieślikowska chciała zapewnić sobie spokój do dnia wyjazdu do Anglii. Może weszłaby z nim w układy, aby spłacać dług takimi ratami. Badylarz także jest człowiekiem interesu i wie, że pieniądze należy zawsze brać. A co do Bobessona, to i jego ratuje błękitny szafir.

— Tak. Anglik nie zdzierałby z ręki Krystyny bransoletki w kształcie węża. Trudno przypuścić, żeby milioner połaszczył się na tak skromny klejnocik — zgodził się podporucznik.

— Bobesson lubuje się w przedmiotach o wartości zabytkowej i zna się na nich. Ale gdyby nawet uparł się, aby mieć w swoich zbiorach i złotego węża, mógłby go odkupić od Cieślikowskiej. Podobno wszystko na świecie jest tylko kwestią odpowiedniej ceny. Dla Bobessona tą ceną za błękitny szafir nie było życie jego byłej kochanki.

— Więc co teraz? — zapytał Tomaszewski.

— Nie wiem — szczerze odpowiedział major Kaczanowski.

## **ROZDZIAŁ X**

### **Czekać jak pajak**

Na zwykłej odprawie oficerów dochodzeniowych u Adama Niemirowicza pułkownik zapytał majora Kaczanowskiego:

— Jak tam z tą sprawą o kryptonimie „błękitny szafir”? Do czego doszliście?

— Do zera — spokojnie odpowiedział major.

— Jak to? — pułkownik Niemiroch aż podskoczył na fotelu.

— Do kompletnego zera — powtórzył Kaczanowski. — Mamy aż pięciu kandydatów na mordercę. Dowody przeciwko nim wszystkim są już nie „murowane”, ale wprost „żelazne”. Wystarczają, aby całą piątkę posłać na szubienicę. Sęk w tym, że zabił tylko jeden człowiek. W tej sytuacji nie próbowałbym się upierać, że jeden z mojej piątki maczał palce w tym morderstwie.

— Paskudna sytuacja. Będziemy musieli gęsto się tłumaczyć przed naszymi władzami. Sami rozumiecie, niewykrycie zabójcy nie wystawia dobrego świadectwa naszej służbie.

— Ja nie powiedziałem, że nie wykryjemy mordercy — zaprotestował major. — Jestem zupełnie pewien, że dostaniemy go w nasze ręce.

— Kiedy?

— Tego nie wiem. Może za rok, może za piętnaście lat, ale prędzej czy później musi wpaść.

— Kpiny sobie urządzać, majorze — zdenerwował się pułkownik.

— Ani mi to w głowie. Nigdy bym się nie ośmielił. Mało to zbrodni wychodzi na jaw dopiero po latach? Zresztą bardzo często przypadkowo. Tutaj jednak nie liczę na przypadek.

— A na co?

— Na błękitny szafir.

— Mówcie jaśniej, majorze.

— To bardzo proste, pułkowniku. Dochodzenie wyczerpało w tej chwili wszystkie swoje możliwości. Przesłuchaliśmy dużą liczbę osób. Zbadaliśmy ogromny szmat życia zamordowanej. Mamy pięciu ludzi poważnie podejrzanych o tę zbrodnię. Żadnemu z nich nie możemy udowodnić przestępstwa. Ofierze zbrodni zrabowano złotą bransoletkę w kształcie węża, trzymającego w pyszczku kamień błękitnej barwy. Rozmawiałem z biegłymi i jubilerami. Wąż z dętego złota jest obecnie ogromną rzadkością. Tego rodzaju biżuteria wyszła z mody przed pierwszą wojną światową. Zaś bransoletka tych kształtów z szafirem, który miałby kolor błękitny, zalicza się do

unikatów na skalę europejską. Na tym opieram swoją kalkulację.

— Rozumiem — stwierdził Niemiroch.

— Tak jest, pułkowniku. Będę szukał tego błękitnego klejnotu. Systematycznie, co miesiąc, będziemy przypominali wszystkim jubilerom i celnikom na punktach granicznych, aby uważali na tego rodzaju klejnot. Także milicja w całym kraju jest ostrzeżona. Prędzej czy później złoty wąż musi wystawić swój łeb na światło dzienne. Przecież zbrodniarz zrywał go z jakimś wyrachowaniem z ręki konającej. Nawet zbieracz w końcu chce się pochwalić swoimi okazami. Choćby przed konkurentem.

— Przestępca mógł dawno już bransoletkę połamać, złoto sklepać byle młotkiem i sprzedać na złom — zauważył jeden z oficerów obecnych na odprawie.

— Moja piątka podejrzanych nie zalicza się do ludzi, którym zależy na dwunastu czy piętnastu gramach złotego złomu. Wzięło tę bransoletkę z określonym celem. Jakim? Nie wiem, ale na pewno nie zysku finansowego.

— Pan major powiedział — upierał się rozmówca — iż nie jest pewien, czy morderca jest wśród piątki podejrzanych. A jeżeli nie, to znaczy popełniono zbrodnię z chęci zysku. Morderca doszedł do wniosku, że bransoletka jest zbyt charakterystyczna, aby ją sprzedawać, i pokrajał na złom.

— Bardzo ciekawy rabuś — odciął się Kaczanowski. — Zabiera przedmiot niewielkiej wartości, a zostawia trzy razy tyle gotówki. Zresztą, przyjmując nawet rozumowanie kapitana, pozostaje jeszcze błękitny szafir. Przestępca nie rozbija go kamieniem ani nie przemaluje. W naszym ostrzeżeniu położyliśmy specjalny nacisk na bardzo rzadko spotykany kolor tego szafiru.

— Przestępca może uznać kamień za pozbawiony wartości i po prostu go wyrzuci — kapitan ani myślał odstąpić od swojej tezy.

— Największy laik oglądając bransoletkę od razu pozna, że szafir przewyższa ceną całą resztę.

— Uważam, kapitanie — pułkownik poparł Kaczanowskiego — że sztucznie stwarza pan sytuacje wręcz nieprawdopodobne.

Nie pozostaje nam nic innego, jak przyjąć propozycję majora.

— Czekaj tatka latka — mruknął kapitan.

— A co kapitan proponuje skuteczniejszego? — major zdenerwował się nieco niespodziewaną opozycją.

— Nie wiem. Nie znam sprawy tak dokładnie jak ludzie prowadzący dochodzenie. Można jeszcze raz zbadać dokumenty, ponownie przesłuchać podejrzanych i ewentualnie ujawnić w ich zeznaniach jakieś sprzeczności. Powiększyć grono osób objętych śledztwem. Istnieje wiele sposobów ruszenia sprawy z martwego punktu.

— Pan kapitan ma rację — ugodowo przyznał major. — Niemniej wszystko to, na co nam zwraca uwagę, już zastosowaliśmy. Przeciwno żadnemu z podejrzanych nie zgromadziliśmy tylu zarzutów, aby można go było aresztować.. Musimy również liczyć się z tym, że są to osoby, formalnie biorąc, o nieposzlakowanej opinii. Oskarżenie którejkolwiek z nich o morderstwo wyrządziłoby jej poważną krzywdę. Pomijam już fakt, że jednym z podejrzanych jest bogaty angielski przemysławiec, prowadzący z naszymi centralami handlu zagranicznego transakcje na miliony dolarów. Aresztowanie takiego faceta wywołałoby niewątpliwie reperkusje dyplomatyczne. Czy Polaków mamy traktować gorzej od cudzoziemca?

— Kto jest najbardziej podejrzany? — zapytał pułkownik Niemirosch.

— Trudno mi powiedzieć. Każdy z nich miał jakiś motyw. Przede wszystkim emocjonalny, a nie chęć zysku. Wskazuje na to przebieg tragedii w Podlesnej Górze. Może John Bobesson jest nieco więcej obciążony od pozostałych. Śmierć Cieślukowskiej zaoszczędziła mu co najmniej trzydzieści tysięcy dolarów.

— A więc klasyczny motyw — ucieszył się pułkownik.

— Niezupełnie. Anglik jest milionerem i taka suma by go nie zrujnowała. Zorientowałem się jednak, że nie spodziewał się takiej straty. Nie wiedział, że zamordowana zamierza wytoczyć mu proces w Anglii o złamanie obietnicy małżeństwa i nadużycie zaufania, aby uzyskać odszkodowanie w tej

wysokości. Rozpatrywałem ten problem pod różnymi aspektami. Doszedłem do wniosku, że gdyby Bobesson nawet nie był cudzoziemcem, i tak nie odważyłbym się zatrzymać go choćby na czterdzieści osiem godzin. Przez cały czas byłem w ścisłym kontakcie z prokuraturą. Pan prokurator Wielhorski, który doskonale zna akta sprawy, oświadczył, że nie uwzględni żadnego wniosku o zastosowanie aresztu śledczego wobec piątki podejrzanych.

— No to rzeczywiście klops — przyznał kapitan.

— Moi panowie — znowu zabrał głos major — musimy zastosować taktykę pająka. Nic innego nam nie pozostaje.

— Pająka? — spytał szeptem podporucznik Józef Tomaszewski siedzący obok swojego bezpośredniego zwierzchnika.

— Pająk — tłumaczył Kaczanowski — rozsnuwa swoją sieć możliwie najszerzej, po czym chowa się w jej kąciku i czeka nieruchomo. Pozornie można uważać go za martwego. Niech jednak choćby najmniejsza muszka wpadnie w pajęczynę i poruszy cienkie niteczki, owad zrywa się ze swojego pozornego letargu. Szybko dopada swojej ofiary.

— Brawo! — zawołał kapitan. — Niech żyje major Pajączkowski.

Zebrani wybuchnęli śmiechem. Także pułkownik nie potrafił zachować powagi. Kaczanowski wiedział, że bez względu na to, czy ujmie mordercę Cieślikowskiej, czy ujdzie on sprawiedliwości, koledzy długo będą go nazywali „Pajączkowskim”.

Kiedy zebrani uspokoili się, pułkownik zamknął dyskusję:

— Nie mamy innego wyjścia, jak tylko zgodzić się na propozycję majora...

— Pajączkowskiego! — ktoś dorzucił.

— Majora Kaczanowskiego — Niemirosz specjalnie zaakcentował nazwisko, dając tym do zrozumienia, że żarty uważa za skończone. — Trudno, będziemy czekali.

— Sądzę jednak, że tych pięciu podejrzanych nie należy spuszczać z oczu — kapitan chciał podkreślić, iż jego zdaniem major wykazał za mało aktywności przy prowadzeniu śledztwa.

— Naturalnie — zgodził się pułkownik.

— Na pewno będę o nich pamiętał — zapewnił Kaczanowski.

— Jeżeli skoncentrujemy nasze wysiłki, aby znaleźć błękitny szafir, nie oznacza to, że umarzamy dochodzenie albo że uznaliśmy tę piątkę za niewinnych.

— Przejdźmy teraz do sprawy Janikowskich. Może porucznik Kiwerski zreferuje nam swoje wyniki śledztwa — pułkownik przystąpił do następnego punktu porządku odprawy.

\*

Mijały tygodnie za tygodniami. Major co miesiąc powtarzał ostrzeżenie dotyczące bransoletki z szafirem. Jego ludzie dyskretnie obserwowali osoby, które mogły być zamieszane w zabójstwo Krystyny Cieślikowskiej.

Alojzy Cieślikowski skończył spawanie wież wysokiego napięcia w Olsztyńskim i przeniesiony został przez dyrekcję „Hydrobudowy” do Nysy, do pracy przy powstającej koło tego miasta wielkiej zaporze. Korespondował nadal z jedną z mieszkańek wsi, w której mieszkał pod Szczytnem. Dziewczyna kilką razy odwiedziła go w nowym miejscu pracy. Wiele oznak na niebie i ziemi świadczyło, że spawacz niedługo pozostanie wdowcem. Tak się dziwnie złożyło, że w kilku domostwach tej wsi milicja przeprowadziła rewizję, zresztą zgodnie z przepisami i za zgodą prokuratury. Podobno do komendy powiatowej wpłynęło doniesienie o jakiejś ukrytej broni. Najdokładniejszą z tych rewizji zrobiono właśnie w mieszkaniu przyszłej pani Cieślikowskiej. Broni nie znaleziono. Nie znaleziono również... bransoletki w kształcie węża.

W czasie nieobecności w Warszawie Alojzego Cieszkowskiego z jego matką bardzo zaprzyjaźniła się pewna kobieta mieszkająca zresztą niedaleko, bo na sąsiednim Targówku Fabrycznym. Ta pani, będąc mniej więcej w jednym wieku z Cieślikowską, stała się częstym gościem w mieszkaniu spawacza. Nowa przyjaciółka zwierzała się nieraz matce Alojzego ze swoich upodobań do biżuterii. Przynosiła i pokazywała różne cacka ze złota i ze srebra, którymi rzekomo handlowała. Parę razy nawet wspominała o bransoletkach robionych w kształcie węża, trzymającego kamień w pysku. Ale



sprytnej wywiadowczym MO nie udało się dowiedzieć jednak niczego o błękitnym szafirze. Matka spawacza zupełnie nie знаła historii kamienia przynoszącego nieszczęście i nigdy tego klejnotu nie widziała.

Naczelnik wydziału Robert Malinowski po raz drugi został dziadkiem. Tym razem doczekał się wnuczki. Po otrzymaniu tak szczęśliwe] wiadomości były dyrektor natychmiast pojechał w odwiedziny do córki. Dziwnym trafem w pociągu poznał niezwykle miłego starszego pana, który również doczekał się, że jego synowa uczyniła go dziadkiem. Tylko że on miał wnuka. Kiedy obaj panowie zgadali się o szczęśliwych wydarzeniach w ich rodzinach, postanowili, na wniosek nowo poznanego, opić ten fakt w wagonie restauracyjnym. Mając już dobrze w czubie, nieznajomy zwierzył się Malinowskiemu, że wiezie swojej synowej piękny prezent — szczerozłotą bransoletkę, zaś wnuczce postanowił podarować, naturalnie po dojściu chłopca do pełnoletności, sygnet, który już przeszło sto lat jest w rodzinie. Ponieważ pod wpływem jarzębiaku również i pan Robert zrobił się bardzo rozmowny, wywiadowca MO musiał w zamian wysłuchać doskonale sobie znanej historii bransoletki w kształcie węża, której zakochany naczelnik tak lekkomyślnie się pozbył. Robert Malinowski nawet nadmieniał, że gdyby mógł, to chętnie by odkupił klejnot, nie bacząc na jego dalszą, tragiczną historię.

— To byłoby przecież przestępstwem — zauważył drugi z dziadków. — Co najmniej paserstwo. Mógłby pan mieć z tego powodu wielkie nieprzyjemności, gdyby sprawa się wydała.

Naczelnik tylko machnął ręką:

— Już ja bym umiał tym razem tak schować to świcidelko, żeby go nikt nie odnalazł. A za dwadzieścia parę lat, kiedy cała sprawa albo się wyjaśni, albo ulegnie przedawnieniu, podarowałbym ten klejnocik wnuczce w dniu jej ślubu. Tak jak miałem zamiar podarować córce.

Pan Bogdan Wietrzyk nawet się nie domyślał, że posiada aż trzech „aniołów stróżów” pilnie śledzących każdy krok tego obrotnego handlowca.

Wprawdzie wywiadowcy rozszyfrowali całą prawie

działalność byłego kierownika komisji, wykryli wszystkie jego kontakty, a nawet rozszyfrowali najbardziej tajne transakcje, to jednak musieli w końcu stwierdzić, że śledzony przez nich człowiek na pewno nie jest posiadaczem złotej bransoletki z błękitnym szafirem.

Dzielny badylarz, pan Stefan Lanota, nadal wprost ojcowską opieką otacza pewne zgrabne i przystojne dziewczę, które przedtem nieraz samotnie spędzało czas w kawiarni Europejskiej. Ogrodnik wynajął tej miłej dziewczynie ładny pokój u pewnej samotnej wdowy. Podobno jego podopieczna wolałaby własną spółdzielczą kawalerkę, ale badylarz odmówił, tłumacząc się dużymi stratami, jakie ostatnio poniósł. O tych wszystkich kłopotach ogrodnika doskonale wiedział major Kaczanowski, który „opiekował się” badylarzem równie troskliwie, jak innymi podejrzanymi. Ale i w tym wypadku MO musiała dojść do przekonania, że błękitny szafir nie stał się własnością Lanoty.

Obywatel angielski, John Bobesson, zawarł z „Centrozapem” ogromną transakcję, bardzo korzystną dla obydwu stron. Wielkie dostawy maszyn do budującego się w Polsce zakładu przemysłu kluczowego. Kiedy dyrektor po złożeniu podpisu pod tym kontraktem wyjeżdżał do Anglii, aby zorganizować produkcję i wystarać się o kredyty, spotkała go niemiła przygoda. Celnicy, jak stado sępów, rzucili się na pasażerów odlatujących do Anglii i przetrząsnęli dokładnie ich bagaże. Wszystkich też, nie wyłączając nawet mister Bobessona, poproszono do rewizji osobistej. Plony tego wielkiego „nalotu” były wręcz znikome. Podczas całego lotu pasażerowie komentowali to zdarzenie. Opinie były na ogół zgodne: najprawdopodobniej chodziło o narkotyki. Nikt jednak, nie wyłączając bogatego przemysłowca, nie przypuszczał, że szukano pewnego złotego drobiazgu z niebieskim oczkiem.

Znowu upłynęło parę tygodni. Pozornie nic się nie działo. Pewnego dnia jednak na biurku majora Kaczanowskiego zadzwonił telefon. Kiedy oficer milicji podniósł słuchawkę, w

aparacie odezwał się głos przyjaciela, kapitana MO:

— Zawiadamiam pająka, że mucha wpadła w sieć.

— Kto? Gdzie?!

— W Kołobrzegu. Żona kelnera w miejscowej restauracji.

Zaraz: przyślę ci telefonogram z tamtejszej powiatówki.

Doręczona majorowi kartka papieru zawierała kilka zdań:

*PKMO. Kołobrzeg. Stop. Zawiadamia się St. KMO, że w dniu 8 sierpnia o godzinie szesnastej w sklepie »Jubilera« przy ulicy Pierwszej Armii zatrzymana została obywatelka Marianna Kaleta. Stop. Kaleta usiłowała oddać do wyceny bransoletkę złotą w kształcie węża z niebieskim kamieniem. Stop. Bransoletkę zatrzymano. Stop. Marianna Kaleta po przesłuchaniu zwolniona pod nadzór. Stop. Natychmiast podać dyspozycje. Stop.*

Tego samego dnia wieczorem major Kaczanowski siedział w pociągu ruszającym z Dworca Wschodniego do Kołobrzegu.

## **ROZDZIAŁ XI**

### **Kelner z „Fregaty”**

Chociaż dansing dopiero się zaczynał, sala restauracyjna była nabita, a stoliki zajęte. Nic dziwnego. Druga połowa lipca. Pełnia sezonu nad morzem. „Fregata”, gdyby była trzy razy większa, i tak by nie pomieściła wszystkich amatorów tańca. Wiadomo. Do Kołobrzegu ludzie przyjeżdżają nie tylko na wypoczynek, ale także po rozrywkę.

Jak osiwiwały w bojach stary wódz ogląda pole przyszłej walki, tak doświadczony kelner, pan Edzio, uważnie badał swój rewir. Ogromny rewir, bo aż dwanaście stolików, ale w sezonie wszędzie brakuje ludzi, a jednocześnie goście się denerwują, że muszą długo czekać na obsługę. Stoliki były wprawdzie zajęte, ale pana Kalety to nie cieszyło.

Oto dwa złączone razem. Przy nich tłoczy się aż trzynaścioro młodych ludzi. Wzięli krzeselka od sąsiadów. Studenciaki z

pobliskiego obozu w Grzybowie. Na pewno ta gromadka zabawi się wesoło, wyskacze na parkiecie, nie opuszczając ani jednej kolejki. Ale jakie zamówienia? Kawy, kilka kawalców tortu, pół butelki oraz dużo, dużo wody sodowej. Ile na tym można zarobić?

Przy trzech innych stolikach dyżurują miejscowe „mewki”. Po dwie przy każdym. Przed nimi także filiżanki z kawą. Pan Edward Kaleta nie może złego słowa powiedzieć na te dziewczyny. Jeśli podłapią odpowiedni „towar”, kelnerowi dadzą dobrze zarobić. Ale czy podłapią? W porcie stoi tylko jeden „duńczyk”. A i to skończy! Ładować kamionkę i równo ze świtem odpływa. Załoga, co miała na wydanie, już zdążyła upłynąć, a teraz pracuje nad przygotowaniem statku do drogi. Na rodakach „mewki” nie bardzo się obłowią. To przeważnie naród wczasowy, a wiadomo, że w domach FWP zatręśienie babek.

Można liczyć na ten stół po lewej stronie od przejścia. Pan Edzio od razu zauważył, że ci dwaj starsi panowie i te dwie nie najmłodsze panie są w strojach odpowiednich na wieczór do lokalu. Po sposobie studiowania karty przez to towarzystwo widać, że potrafią docenić, jaką rozkoszą życia jest sztuka kulinarna i jeśli będą zadowoleni, to wiedzą, że uczucie wdzięczności najłatwiej, od kiedy Fenicjanie wynaleźli pieniądze, objawiać w brzęczącej monecie.

Przy dwóch stolikach siedzą Szwedzi. Jak na zimnokrwistych mieszkańców Skandynawii są zbyt ożywieni. Na pewno od rana trąbili „sowieckoje szampanskoje” na plaży. Teraz wypiją po dwa kieliszki i będą mieli dosyć. Przyjętym przez Szwedów zwyczajem, powszechnie stosowanym przez nich na Wybrzeżu, podeprą głowy białym stolika i nieruchomo będą tkwili aż do zamknięcia lokalu. Tacy goście nie zdążą zrobić większego rachunku.

A tych trzech, z tą panią przy stoliku pod oknem, o miłą zajeżdża delegacją służbową. Przyjechali do Koszalina, załatwili swoje sprawy, poświadczili pobyt i pośpieszyli do Kołobrzegu, aby wydać „zaskórniaki”. Potem przez miesiąc będą się przechwalali do kolegów w biurze, jak to wspaniale szumieli

nad polskim morzem. Facetom sympatycznie z oczu patrzy, ale pożał się Boże, jaki jest ten urzędnicy „zaskórniak”!

Ci czterej z dwiema laluniami przy dużym stoliku zapowiadają pożytek. Pan Edzio swoim kelnerskim nosem wyczuwał w nich przedstawicieli rzemiosła lub stołecznego handlu z „inicjatywy prywatnej” wypoczywającej nad Bałtykiem. Do Kołobrzegu przyjechali dwoma samochodami. „Garbusem” i „renówką”. Trzeba szepnąć kucharzowi, aby tamtym państwu robił wszystko ekstra, a tutaj, jak już trochę się podochocą, podsuwać co najdroższe w karcie.

Przy tym małym stoliczku pod ścianą siedzi para. Kelner Kaleta widział ich we „Fregacie”. On górnik, a na pewno ze Śląska, bo tak twardo mówi. Ona kręci się po Kołobrzegu od jakiegoś czasu.

Pan Edward doskonale znał takie dziewczyny; mają urlopy albo wakacje, przyjeżdżają do modnej miejscowości uzdrowskiej. U krewnych lub znajomych znajdzie się dla nich kąt do spania. Dziewczyna jest młoda, dość ładna, chciałaby się zabawić, bywać w eleganckich lokalach, zobaczyć z bliska ten świat, który najczęściej zna z powieści „z wyższych sfer”. Nie stać jej na zabawę, bo poza jedną lepszą kiecką dysponuje kilkoma setkami. Więc... Więc musi iść na pewne kompromisy. Z samą sobą i z własnym sumieniem.

Ta blondyneczka kręciła się przez kilka dni koło Szwedziaków, mieszkających w „Skanpolu”, lecz bez większego powodzenia. Straciła jedynie czas, w Szwecji takich jasnych blondynek, i to nie „zrobionych”, ale naturalnych, jest setki tysięcy. Dla mężczyzn z tamtych stron to żadna atrakcja; poza tym te młode dryblaszy ze Skone lub nawet ze Sztokholmu zdolni są do zwracania uwagi na określoną figurę o wydłużającej się szyi... butelek. Ten dziwny kraj, Polska, ma wódkę dziesięć razy tańszą niż w Królestwie Trzech Koron. A szampana jeszcze tańszego od wódki. Cóż zatem obchodzi ich jakaś ładna buzia pod szopą blond włosów, kiedy można leżeć na gorącym piasku i aż do zawrotu głowy pić zimny, musujący płyn. Pan Edzio nie dziwi się, że takie „ochlapusy” nie mogły zdobyć Częstochowy.

Jasnowłose dziewczę połapało się w końcu, że ze Szwedami nic nie wyjdzie. Żeby do końca urlopu nie siedzieć samotnie na piasku lub z książką w czterech ścianach, trzeba znacznie obniżyć wymagania. Przed czterema dniami dziewczyna weszła do „Fregaty” w towarzystwie tego krępego, o ciemnym zaroście mężczyzny. Kelner przypomina sobie, że górnik, a może hutnik ze Śląska nie był skąpy. Zafundował swojej wybrance schaboszczaka z kapustą, a na deser kawę z tortem. Postawił też ćwiartkę „Soplicy”, a sam wydoił pięć butelek piwa. Ale rachunek sprawdził z ołówkiem w rękę i rozliczył się z Kaletą z dokładnością do czterdziestu groszy.

— Może dzisiaj będzie miał większy gest? — zastanawiał się kelner. Przypomniał sobie, że wtedy ta para dopiero co się poznała. Byli jeszcze na „pan” i „pani”. Teraz babka grała rolę zakochanej. Trzymała mężczyznę za rękę i raz po raz jej pantofelek naciskał męski but. Robione to było tak demonstracyjnie, że kelner, którego oczy dużo tego rodzaju manewrów widziały, z miejsca doszedł do właściwej konkluzji: albo dziewczyna stara się naciągnąć na coś swojego partnera, albo już to zrobiła i objawia wdzięczność. Młody górnik aż puszył się z zadowolenia. Blond kot najwyraźniej mu imponował.

— Chyba nie będzie tak dokładnie sprawdzał rachunku — kelner postanowił „omylić się” w dodawaniu, oczywiście nie na swoją niekorzyść. Ruszył w ich stronę:

— Czym mogę państwu służyć? — jednocześnie Kaleta wprawnym ruchem zmiotł jakieś paprochy z obrusa,

— Śledź jest? — zapytał mężczyzna.

Kelner zauważył, że dziewczyna skrzywiła się.

— Mamy, proszę szanownej pani, świeżutkiego łososia. Z plasterkiem cytryny. A dla pana śledzik znakomity. Prawdziwy matias. A do tego jarzębiaczek.

— Niech będzie — zgodził się górnik.

— Pół literka?

— Ćwiartka wystarczy — zdecydowała dziewczyna. Widocznie wolała jeść niż pić. Niewątpliwie miała rację, ale kelner wolałby, żeby było odwrotnie.

— Otrzymaliśmy dzisiaj świeży transport piwa. Jest żywieckie i tyskie.

— Daj pan tyskie.

— Od razu ze trzy buteleczki postawię na stole, bo później może zabraknąć.

— Nie pij tyle piwa — protestowała dziewczyna.

Mężczyzna milczał. Najlepszy znak, że już go opanowała. Pan Edzio z uznaniem spojrział na blondasa. Najwidoczniej wyrabia się.

— A na gorąco — Kaleta ani myślał wypuścić inicjatywy ze swoich rąk — zrobi się doskonale sznycelki po wiedeńsku. Młodziutka cielęcinka.

— Doskonale — ucieszyła się dziewczyna. — Bardzo lubię sznycele.

Bidula — pomyślał kelner. — Pewnie nie jadła obiadu albo coś w barze mlecznym. Głośno zaś zauważył: — Jaką pani ma piękną bransoletkę na rączce.

Kot z lubością wygiął lewą rękę tak, aby zademonstrować kelnerowi swoją ozdobę w całej krasie. Spoglądała na błyskotkę z prawdziwą radością.

„Tu jest pies pogrzebany” — domyślił się pan Edzio.

— Podoba się panu?

— Bardzo ładna. A jaka oryginalna! — Kaleta mówił to zupełnie szczerze. Złoty wąż trzymający w pyszczku niebieski kamień doskonale prezentował się na zgrabnej, opalonej damskiej ręce.

— Śliczna! — stwierdziła dziewczyna.

— Chętnie bym sam coś podobnego kupił. Niedługo imieniny żony. Maria.

— To nie na sprzedaż — sucho powiedział Ślązak. — Wygrałem w karty.

— Od niego dostałam — chwaliła się dziewczyna. — Prawda, jaki kochany! — ręka ozdobiona złotym cackiem przejechała po ciemnych włosach mężczyzny.

— Zaraz państwu przynoszę zakąseczkę — kelner odpłynął do następnego stolika, postanawiając, że dopisze co najmniej trzydzieści złotych do rachunku.

Orkiestra zaczęła grać. Goście podnosili się ze swoich miejsc i tłumnie ruszyli na parkiet. Jasnowłosa pociągnęła tam swojego partnera. Zabawa zaczynała się rozkręcać. Pan Edzio zwijał się jak w ukropie. Dwanaście stolików rewiru to nie żarty.

Żeby być dobrym kelnerem w modnym uzdrowisku, trzeba znać życie i być doskonałym psychologiem. Pan Edward Kaleta posiadał i jedną, i drugą cechę. Kiedy mówił, że chętnie by kupił bransoletkę w kształcie węża, nie rzucał słów na wiatr. Wiedział dobrze, że turnus wczasowy trwa dwa tygodnie. Górnik pojedzie na swój najeżony kominami fabrycznymi Śląsk, dziewczyna zostanie sama. Skończy się letnia przygoda. A przecież trzeba żyć.

Pokój w Kołobrzegu kosztuje. Kosztuje też i jedzenie. Nawet to skromne w barach mlecznych lub samoobsługowych. Zanim znajdzie się nową sympatię. I czy w ogóle ją się znajdzie? Tyle ładnych dziewcząt siedzi samotnie na pały.

Kołobrzeski psycholog nie omylił się. Nie minęło kilka dni, kiedy dziewczyna znowu stanęła w drzwiach „Fregaty”. Miała tę samą sukienkę co zawsze. Była sama. Przez chwilę stała w progu restauracji. Wzrokiem odszukała kelnera i nieśmiało podeszła do niego.

— Pan wspominał, że chciałby kupić tę bransoletkę — zaczęła. — Tak się złożyło, że niestety muszę ją sprzedać.

— Proszę, niech pani siada — pan Edzio obejrzał się, czy nikt nie słyszał propozycji dziewczyny. Dyrekcja „Fregaty” zabraniała personelowi zakładu dokonywania w lokalu transakcji z gośćmi. — Zaraz przyniosę obiadek. Na taki upał najlepszy chłodniczek, a później sznycelek. Pamięta się gusta swoich stałych gości.

— Kiedy ja... — jękała się dziewczyna.

— To ja zapraszam — kelner zorientował się, że kociak jest bez grosza. Będzie więc bardziej ustępliwy przy sprzedaży cacka.

Zupa zjawiała się przed jasnowłosą prawie błyskawicznie. Pochylając się nad swoim gościem, pan Edzio szepnął.

— Niech mi pani da tę bransoletkę. Muszę ją dokładnie obejrzeć.



— Bardzo proszę — blondynka ściągnęła złotego węża z ręki i podała kelnerowi. Ten szybko schował świecidełko do kieszeni białego kitla. Ukłonił się:

— Sznycelek już się smaży. Jak tylko będzie gotowy, przyniosę szanownej pani. Z ogóreczkiem i frytkami.

Pomimo że przy dwóch sąsiednich stolikach kiwano na Kalotę, on jak ślepy i głuchy podążył prosto do kuchni. Kiedy po pewnym czasie wrócił, niósł zamówiony sznycel. Inni goście dla niego nie istnieli w tej chwili.

— To nie takie cenne, jak myślałem, proszę szanownej pani.

— Przecież to złoto i szafir — dziewczyna poważnie się zaniepokoiła.

— Ale tylko trójka.

— Pan się omylił. Z trójki nie robią dętej biżuterii. Do tego musi być co najmniej dwójka — kot o blond włosach nie dawał za wygrane.

Skąd ona tak się na tym zna? — przemknęło przez głowę Kalecie, zaś głośno powiedział: — Może nawet i dwójka. Próby nie ma. Taka lekka.

— Ale jaka ładna i efektowna. Żonie na pewno się spodoba — dziewczynie zależało na doprowadzeniu transakcji do skutku.

— Sam nie wiem, co robić...

— No trudno, nie chce pan, to nie.

„Przeciagnałem strunę” — stwierdził w duchu kelner i szybko powiedział: — Ja nie mówię, że nie chcę. Ale pani sama rozumie, że...

— Potrzebuję pieniędzy — rzekła dziewczyna. — Jeżeli pan się nie decyduje, sprzedam choćby u „Jubilera”.

— Co oni tam mogą dać? Zapłacą jak za złom.

— Dlatego przyszedłam do pana. Przecież to śliczne cacko. Gdybym nie musiała, nigdy bym się z nim nie rozstała.

— Chcę to kupić. Ile pani żąda?

— Ile pan daje?

— Ostatecznie mógłbym ze trzy i pół tysiąca.

— Cztery i bransoletka pańska.

„Ta dziewczyna wysoko zajdzie — pomyślał z uznaniem kelner. — Nie ma na obiad, a jeszcze się targuje. Ale klejnot

przedstawia wartość co najmniej sześciu tysięcy.”

Kelner nie kupował w „ciemno”. Bo nawet „małoletnie pętaki”, jak mówi Wiech, znajdują się w Kołobrzegu zarówno na kursach walut, jak i na cenie złota. Wprawdzie nie zdobywają tej wiedzy wraz z mlekiem matki, ale kręcąc się pomiędzy marynarzami i gośćmi ze Skandynawii poznają te tajemnice.

— Robię to tylko dla pani. Po starej znajomości — kelner sięgnął do tylnej kieszeni spodni, wyjął z niej mocno zniszczony, skórzany portfel i szybko odliczył osiem pięćsetek. Dziewczyna jeszcze szybciej schowała je do torebki.

— Mam nadzieję, że szanownej pani obiadek smakował. Za chwilę podam kawkę. Doskonały torcik węgierski.

— Panie! To skandal! — denerwowano się przy sąsiednich stolikach. — Pan obsługuje jednego gościa. Czekamy już piętnaście minut. Gdzie jest kierownik?

Pan Edzio musiał ostro wziąć się do roboty, aby ułagodzić resztę gości. Wiadomo, Polak jak głodny, to zły.

Pani Marianna Kaleta z zadowoleniem przyjęła prezent od swojej „ślubnej miłości”. Klejnot, chociaż z pewnym trudem wchodził na niezbyt szczupłą rękę żony kelnera, podobał się jej. Żółty wąż z szafirem został także oceniony, pozytywnie przez imienninowych gości. Dopiero na drugi dzień pan Edzio spowiadał się.

— Od kogo kupiłeś? — srogim tonem zapytała małżonka.

Związek małżeński państwa Kaletów układał się na tej samej zasadzie, co ogromna większość wszystkich małżeństw na świecie. O wszelkich ważnych sprawach miał decydować mąż, o tych drobnych żona. Państwo Kaletowie przed rokiem obchodzili dwudziestolecie ślubu. Dzieci dorastały, ale jeszcze nie zdarzyła się jakaś ważna sprawa. Zawsze te drobne, o których decydowała żona. I teraz pan Edzio tłumaczył się swojej połowicy:

— Od jednej dziewczyny, która przychodziła do naszej restauracji.

— Pewno jakaś lafirynda, która to ukradła?

— Nie ukradła, kochanie. Po prostu dostała w prezencie. Tak jak ty ode mnie.

Pani Marianna groźnie zmarszczyła brwi.

— Jeżeli sama nie ukradła, to namówiła kogoś do kradzieży. Uczciwa dziewczyna nie przyjmuje takich prezentów.

Pan Kaleta wołał nie dyskutować na ten temat.

— Ile zapłaciłeś?

— Bardzo tanio. Cztery tysiące złotych.

— Czyś ty zwariował? Nazywasz, że to tanio cztery tysiące złotych za kradzioną rzecz. Trzeba było dać najwyżej połowę.

— Ależ złotko — bronił się kelner. — Ta bransoletka powinna kosztować dwa razy tyle.

— Zobaczymy — zakończyła spór małżonka, chowając klejnot do szafy pod bieliznę.

W kilka dni później Marianna Kaleta odwiedziła miejscowy sklep „Jubilera”. Ponieważ niezbyt dowierzała talentom handlowym swojego męża, postanowiła osobiście sprawdzić wartość bransoletki. Kiedy położyła złote cacko na kontuarze, sprzedawca jakoś dziwnie spojrzął na klientkę.

— Chciałabym wiedzieć, ile to jest warte?

— Pani chce sprzedać?

— Nie. Przyniosłam do wyceny.

— Doskonale. Na jutro będzie gotowe. Mogę poprosić o nazwisko i adresik?

— Na jutro? Proszę mi to zaraz ocenić.

Sprzedawca szybko wziął leżący na ladzie klejnot. Przeniósł go przezornie na stół znajdujący się poza zasięgiem ręki kobiety.

— To niemożliwe, proszę szanownej pani. Musimy osobno zważyć metal i osobno kamień. Poza tym trzeba zrobić próbę, aby sprawdzić, ilu to karatowe złoto. Już tak najkrócej, godzinkę musi potrwać. Szanowna pani będzie wracała z zakupów, to proszę wstąpić po odbiór bransoleteczki.

— Ile to będzie kosztowało?

— Nic. Wyceniamy bezpłatnie. Na jakie nazwisko wypisać kwit? — sprzedawca sięgnął po blankiet.

— Nie trzeba. Wstąpię za godzinę i zabiorę. Przecież mnie nie okradniecie — kobieta roześmiała się jowialnie.

— Ależ co znowu! Proszę przyjść za godzinę, wszystko będzie

gotowe.

Kiedy po upływie półtorej godziny pani Marianna Kaleta z siatką pełną zakupów weszła ponownie do „Jubilera” i właśnie odbierała swój klejnot, który sprzedawca wycenił na około siedem tysięcy złotych, z drugiego pomieszczenia zakładu wyszło dwóch mężczyzn. Jeden w cywilu, drugi w mundurze milicyjnym.

— Nazwisko obywatelki? — zapytał mundurowy.

— A cóż to, do „Jubilera” wejść nie wolno?

— Wejść wolno, ale dokumenty. Szybciej! — powtórzył sierżant surowym tonem.

Kobieta nieco zdenerwowana podała swój dowód osobisty. Mężczyzna w cywilnym ubraniu przestudiował dokładnie zieloną książeczką, schował ją do kieszeni i rzekł:

— Pójdziecie, obywatelko, z nami.

— Dokąd?

— Niedaleko. Do Komendy Powiatowej MO.

— Po co?

— Dowiedzie się na miejscu. W związku z bransoletką.

— A bałam się, że kradziona!

Wywiadowca roześmiał się sucho.

— To byłoby jeszcze dobrze — powiedział. — Gorzej, bo chodzi o morderstwo.

— Jezus, Maria! Co ten stary dureń narobił! — pani Marianna, bez oporu, w towarzystwie milicjantów prze-defilowała przez miasto do gmachu „powiatówki”.

Oficer dyżurny natychmiast przesłuchał Mariannę Kaletę. Opowiedziała wszystko zgodnie z prawdą: klejnot otrzymała w prezencie od męża; szesnaście osób, gości imienninowych, było świadkami tego wydarzenia. Milicjanci znali pana Edzia. Kelnera sprowadzono z „Fregaty”. Podpora tej zacnej restauracji szczegółowo opowiedział, w jaki sposób nabył bransoletkę. Po sporządzeniu protokołu oboje małżonków zwolniono. Na wszelki wypadek polecono im jednak nie opuszczać Kołobrzegu i codziennie meldować się u dyżurnego w budynku komendy.

Ten budynek komendy pan Edward opuszczał z lekką

pretensją do milicjantów, że go nie zamknęli w areszcie. To byłoby lepiej i bezpieczniej. Doskonale wiedział, co usłyszy od żony, kiedy znajdą się w domowych pieleszach. I rzeczywiście...

Komenda powiatowa z miejsca nadała telefonogram do Warszawy. Rozpoczęto też energiczne poszukiwania dziewczyny o jasnych włosach. Niestety, widocznie już opuściła Kołobrzeg, bo nie udało się jej ani odnaleźć, ani nawet zidentyfikować.

— Jak Bożię kocham, panie majorze, powiedziałem szczerą prawdę. Niech ja skonam. Gdybym zobaczył tę dziewczynę, natychmiast bym ją poznał. Szukałem jej wszędzie. Na plaży, w „Skanpolu”. Rozpytywałem kumpli. Nie ma jej. Na pewno wyjechała.

— Nie mówiła, skąd jest?

— Ja z nią o tyra nie rozmawiałem.

— Warszawianka?

— W każdym razie z centrum Polski. Ja, panie majorze, grywam na klarncie. Mam słuch wyostrzony. Po akcencie poznaję, z jakich stron kraju pochodzi gość. Ona mi tak na Warszawę, Łódź albo Lublin.

— A także Koluszki, Sierpc, Siedlce, Wołomin i kilkadziesiąt podobnych miejscowości. Szukaj wiatru w polu. Nie orientuje się pan chociaż, przy jakiej ulicy tu mieszkała?

— Nie. Wiem, że najpierw kręciła się koło Szwedów. Przesiadywała w holu hotelu. Widywałem ją na plaży koło szwedzkich koszy. Kiedy zrozumiała, że tam fartu nie znajdzie, próbowała z górnikami. Na moje nieszczęście.

— Skąd pan wie, że to górnik?

— Wprawdzie „zaś pierunie” nie mówił, ale kiedy usta otworzył, wiedziałem, że ze Śląska. A ile razy przyszedł do „Fregaty”, pił po kilka butelek piwa.

— Piwo piją i warszawiacy. Ja także — stwierdził Kaczanowski. — To nie jest znak rozpoznawczy.

— Raz widziałem — przypomniał sobie Kaleta — jak ta dziewczyna czekała na niego na przystanku autobusowym. Tej linii z sanatorium górniczego. Może on tam mieszkał?

— Jak wyglądał?

— Średniego wzrostu. Ciemny. Baczki spore. Nos trochę zadarty. Oczy niebieskie. Cesał się z przedziałkiem.

Major Kaczanowski machnął ręką.

— Takich w Kołobrzegu można liczyć na tysiące.

— W sierpniu już go nie widziałem. Nawet pod koniec lipca też nie przychodził.

— A dziewczyna?

— I jej nie było. Dopiero dziewiątego albo dziesiątego sierpnia przyszła do mnie do „Fregaty” i przyniosła tę bransoletkę.

— Nie bał się pan kupować, że kradziona?

— Ani mi to w głowie nie powstało. Przecież przy mnie ta dziewczyna chwaliła się, że dostała od tego Ślązaka. On potwierdził.

— A on nie mógł ukraść?

— Panie majorze, w moim fachu trzeba znać się na ludziach. A ten facet wyglądał bardzo uczciwie. Na pewno nie na złodzieja. Jeszcze teraz drugie cztery tysiące gotów jestem dać, że on nie ukraść tej bransoletki. Mówił przecież, że ją wygrał w karty.

— Nie ukraść — przyznał ironicznie major. — Zgadza się, a zabił kobietę i ściągnął umierającej z ręki. A nie dziwiło pana, że taką drogą rzecz można wygrać w karty?

— Nie do wiary! A zdawał się taki porządny. Przecież górnik. W domu górników miał wczasy. A co do kart, to widziałem w Kołobrzegu niejedną partię, gdzie tysiące krążyły z rąk do rąk.

Parę godzin przesłuchiwał major pechowego kelnera. Rozmawiał również z jego kolegami po fachu. Przypominali sobie zarówno dziewczynę, jak i jej towarzysza, ale żaden nie mógł na ich temat powiedzieć czegoś konkretnego. Wywiady w domach wczasowych zarówno dla górników czy hutników, jak i w zwykłych pensjonatach FWP nie dały rezultatów. Potwierdziły jedynie spostrzeżenia Kalety, że pod koniec lipca wszędzie zmieniały się turnusy, ale o tym major wiedział i bez specjalnego wywiadu.

— Panie majorze — prosił Kaleta, kiedy przesłuchanie dobiegło końca — jak pan będzie rozmawiał z moją żoną, niech pan jej powie, że milicja po znalezieniu przestępcy zwróci mi te

cztery tysiące złotych.

— Pan w to wierzy?

— Naturalnie, że nie. Dawno postawiłem na nich krzyżyk. Trudno, moja wina, moja strata. Ale pan rozumie, żona tym się martwi. Święta kobieta, tylko ciut, ciut nerwowa. Pan major powie...

— Dobrze, powiem — obiecał oficer milicji. Doskonale rozumiał tego kelnera. Przecież także był żonaty.

## **ROZDZIAŁ XII** **W pogoni za Ślązakiem**

Jak znaleźć tajemniczego Ślązaka? Major Kaczanowski naradzał się z oficerami Komendy Powiatowej w Kołobrzegu.

— Tę dziewczynę znajdziemy na przyszły rok. W ubiegłym również ją tutaj widziano. Pewnie ma krewnych w naszym mieście i przyjeżdża do nich na urlop.

— Sprawa o morderstwo. I tak już ciągnie się kawał czasu. A wy mówicie o roku.

— Postaramy wywieźć się, do kogo przyjeżdżali znajomi lub krewni. Może uda się w ten sposób dojść do waszej blondynki?

— Ogłosić całą historię w radio i telewizji — zaproponował jeden z oficerów. — Taki komunikat powtarzany przez kilka dni przed każdym dziennikiem kto wie, ozy by nie pomógł?

— Albo ostrzeże przestępcę, że jesteśmy na jego tropie — komendantowi nie podobał się pomysł podwładnego.

— Dziewczyna nie jest w zмовie z przestępcą. Dostała bransoletkę i tyle. Potem sprzedała ją, bo potrzebowała pieniędzy. Nie ma żadnego interesu w ukrywaniu nazwiska ofiarodawcy. Jeżeli usłyszy komunikat, sama się zgłosi.

Albo jej rodzinka w Kołobrzegu. Na pewno pochwaliła się w domu cennym prezentem.

— Albo i nie. Wygląda na to, że zamierzała go sprzedać, jak tylko górnik wyjedzie.

— Albo górnik powiedział prawdę i rzeczywiście wygrał to

cacko w karty, albo skłamał — wtrącił major. — W tym drugim przypadku górnik jest poszukiwanym przez nas przestępcą.

— Trzeba znaleźć dziewczynę — upierał się porucznik. — Ona na pewno zna nazwisko i adres faceta.

— Zna albo i nie zna — komendant nie był tego pewien. — Wiemy, jak szybko nawiązują się w miejscowościach kuracyjnych takie przelotne związki i jak bez śladu przemijają. Dzisiaj się znają, jutro kochają, a za trzy dni nie pamiętają.

— Komendant nawet wierszem mówi — roześmiał się jeden z oficerów. — Ale dziewczyny trzeba szukać. To jedyna droga, która może zaprowadzić nas dalej.

— Sądzę — zdecydował major — że rada kapitana jest słuszna. Umówmy się tak, że wy będziecie szukali dziewczyny, a ja Ślązaka. Pomysł z komunikatem jest niezły. Trzeba go jednak trochę zmodyfikować. Nie robić szumu na całą Polskę, ale zwrócić się jedynie do wczasowiczów.

— Przecież ten turnus dawno wyjechał. Nawet i następny.

— Wiem o tym. Ale są skierowania i są adresy w książkach meldunkowych. Polecicie, komendancie, kierownikom wszystkich domów wczasowych i sanatoriów, żeby sporządzili wam wykaz nazwisk i adresów tych, którzy wypoczywali w drugiej połowie lipca.

— Ale nas będą kleli! — ucieszył się młody podporucznik.

— To ogromna robota — zauważył kapitan. — W sezonie pracownicy wczasów i tak na nos upadają ze zmęczenia. A my dorzucimy im jeszcze tyle dodatkowego zajęcia.

— Trudno — upierał się major. — Nie zapominajcie, że chodzi o zbrodnię zabójstwa. Zajęcia rzeczywiście sporo, ale można im to zadanie bardzo uprościć. W swoich wykazach niech podadzą jedynie samotnych mężczyzn. Kobiety i małżeństwa nas nie interesują. Dzięki temu odpadnie im większa część roboty. My także będziemy mieli z tymi wykazami sporo zachodu. Do każdego wczasowicza wyślemy list z pytaniem, czy nie wygrał w karty bransoletki w kształcie węża i czy nie podarował jej później pewnej blondynce w Kołobrzegu. Albo czy nie słyszał o takim zdarzeniu. Za udzielenie informacji obiecamy nagrodę.

— Doskonały pomysł. To powinno chwycić — Wszyscy byli



tego samego zdania.

Chwyciło. Pierwszy odezwał się pan Karol Reszka. Zawiadamił on, że w domu wczasowym górników przebywał w lipcu na tym samym turnusie jakiś mieszkaniec Katowic, o którym krążyły pogłoski, że w drodze na wczasy wygrał w pociągu jakąś bransoletkę. Pan Reszka nie znał osobiście szczęśliwego gracza, wiadomo mu jedynie, że ma na imię Zenek. Tak go przynajmniej nazywano.

Potem przyszło jeszcze kilka listów. Potwierdzały to, co napisał Reszka, i podawały nowe szczegóły historii; była ona małą sensacją tego turnusu wczasów. Bo nie dość, że łość miał szczęście w karty, ale jeszcze pokazał gest. Nie każdy tak lekką ręką darowuje przygodnie poznanemu kociakowi złotą bransoletkę.

W dwa dni później nadeszło pismo od samego bohatera tej historii. Zenon Pilamowski w swoim liście przyznawał się do znanych już faktów i zapewniał, że chętnie służy milicji wszelką pomocą i informacjami. Majorowi Kaczanowskiemu nie pozostało nic innego, jak odbyć jeszcze jedną podróż. Tym razem do Katowic. Tam już ustalono personalia Zenona Pilamowskiego. Był on kierowcą autobusów miejskich, mieszkał na Koszutce. Kawaler, lat 29. Po wojsku. Nie karany.

Wezwany na przesłuchanie, zaczął od tłumaczenia, dlaczego tak późno się odezwał. Dostał list, kiedy właśnie szedł do pracy. Wrócił zmęczony. Na drugi dzień raniutko znowu do roboty. Jeździł przez szesnaście godzin, bo „zmiennik” zachorował i nie stawiał się do pracy. Tak zeszło cztery dni. Dopiero w wolny dzień przypomniał sobie o piśmie z Warszawy i zaraz odpisał.

— Czy to ta bransoletka? — major wyjął z teczki małe pudełeczko i pokazał kierowcy owinięty w bibułkę klejnot.

— Ta sama. W piekle bym ją poznał.

— Skąd ją pan ma?

— Wygrałem w karty.

— Kiedy, gdzie, od kogo?

— To była bardzo dziwna historia. Kiedy dostałem te wczasy do Kołobrzegu, to postanowiłem skorzystać z okazji i pojechać do Szczecina. Nigdy nie byłem w tym mieście. W ogóle morza

przedtem nie widziałem. Zawsze jeździłem w góry. Do Wisły, do Szczyrku, czasem do Rabki lub do Zakopanego. Mam w Szczecinie kolesia, jeszcze z wojska. Nieraz zapraszał: „Przyjedź i przyjedź”. To prawie po drodze, a urlop miałem o cztery dni dłuższy od wczasów.

— Wybrał się pan do tego miasta? — major obawiał się, że dzielny kierowca zbyt się rozgada na tematy nie mające nic wspólnego z zasadniczą sprawą.

— Wybrałem. Znalazłem miejsce w przedziale. Było nas czworo. Jeszcze dwóch chłopów i jedna babka. Taka sobie, dobrze po czterdziestce, trochę przy kości. Pan wie, majorze, jak to jest w takiej długiej podróży. Miałem pełną teczkę wałówki, kilka butelek piwa. Jeden z tych, co jechali, także wyciągnął flaszkę, ale czegoś mocniejszego. Ta pani miała kurę pieczoną. Jedna, druga gadka, popija się i przegryza, ktoś zaproponował partyjkę.

— W co?

— W licytowanego tysiąca.

— Tak drogo, że aż biżuterią się płaciło?

— Za tanio nie grali. Zaproponowali po pięćdziesiąt groszy punkt. Nawet nie chciałem brać kart do ręki, bo przy takim zapisie można jak nic kilka setek przegrać. A przecież jechałem na wczasy. Zawsze te parę groszy trzeba mieć. Ale wstyd było mi się wycofać, bo najpierw się wygadałem, że lubię grać i że chętnie rozegram partyjkę.

— Oni znali się ze sobą?

— Jeden z tych panów był z babką po imieniu. Drugi obcy, spotkany w wagonie. To ten drugi miał karty.

— A ta para, mąż i żona?

— Nie. Razem pracowali. Jak wynikało z rozmowy, są zaopatrzeniowcami w jakiejś spółdzielni szczecińskiej i wracali ze Śląska. Szukali tam blachy czy odpadów metalowych. Dokładnie sobie nie przypominam, bo słuchałem piąte przez dziesiąte. Niezbyt się tym interesowałem.

— Grając po pięćdziesiąt groszy, wygrał pan złotą bransoletkę?

— Zaczęło się od pół złotówki. Dla mnie i tak było za dużo.

Grałem bardzo uważnie, licytowałem tylko na pewniaka. Za to ta babka to była prawdziwa lotniczka. Każdego przelicytowała. A i karta jej nie szła. W dokupię nic zwykle dla niej nie było. Grubo przegrała. Ale to ją rozochociło do dalszego hazardu. Nie wypadało odmawiać, zaczęła się więc druga partyjka. Tej nie wygrałem, ale dołożyłem mało. A ona znowu zapłaciła. I dawaj wołać, że trzeba podnieść stawkę, bo musi się odegrać.

— Rozumiem — potaknął major. — Pan wygrał?

— Karta mi waliła jak nigdy. Od kierowych i karowych par nie mogłem się opędzić. Kiedy podliczyliśmy, okazało się, że jestem wygrany ponad pięćset złotych. Sądziłem, że na tym się skończy, ale gdzie tam! Jej kolega na próżno tłumaczył: „Hanka, nie graj, bo dzisiaj karta ci nie idzie”. Jakby mówił do słupa. Co było robić? Najwięcej wygrany nie może odmówić rewanżu. Poszła następna partyjka. Znowu wygrałem. Ta kobieta nie tylko do mnie była przegrana przeszło siedemset złotych, ale jeszcze dwie setki do tego nieznanego, właściciela kart. Dopiero wtedy jej towarzysz poważnie rozżłościł się na nią, że chce całą pensję przegrać. Babka oprzytomniała. Widocznie nie miała przy sobie tyle pieniędzy, wyjęła z torebki bransoletkę i zaproponowała, żebym ja, jako najwięcej wygrany, wziął to świcidelko, ale resztę należności zapłacił temu drugiemu. Chciałem obrócić wszystko w żart, że to zabawa, i nie chciałem brać. Ale kobieta była honorowa, nie ustępowała: „Przegrałam, trzeba płacić — powiada. — Jakbym wygrała, to wy byście bulili”. Podobno bransoletkę kupiła przed paru tygodniami w Warszawie, na Dworcu Głównym, od jakiegoś pijaczka, który widocznie potrzebował na ćwiartkę. Dała za nią, mówiła, tysiąc dwieście złotych.

Nie uwierzyłem w tę bajeczkę, ale ostatecznie, pomyślałem, chyba warta jest dwie setki, które miałem dołożyć temu drugiemu.

— Zapłacił pan?

— Zapłaciłem temu facetowi dwieście siedemnaście złotych. Akurat tyle wygrał. Schowałem bransoletkę do kieszeni. Ta kobieta obiecywała, że w ciągu trzech dni przyśle mi do Kołobrzegu pieniądze, a ja jej wtedy odeślę to cacko. Nie było

mi potrzebne. Nie mam żony ani dziewczyny...

— Przydała się jednak — zauważył oficer milicji.

— Trafiła się ładna, sympatyczna babeczka. Poznałem ją w Kołobrzegu na plaży. Była wtedy fala i bała się wejść do morza. Więc podałem jej rękę.

Kaczanowski uśmiechnął się.

— Byłem na wczasach sam. Trafiłem pomiędzy „umysłowych”. Nie powiem, żeby się na mnie boczyli. Co to, to nie. Ale nie chciałem się pchać do ich towarzystwa. Tam słyszało się w kółko „kolego dyrektorze” albo „pani naczelnik”. Co mi po nich? Kiedy poznałem Bożenkę, postanowiłem dać jej to świecidełko. Taka była szczęśliwa, jak włożyłem jej na rękę tego gada z kamieniem w pysku.

— Pan się orientował, jaką wartość przedstawiała ta biżuteria?

— Ta kobieta twierdziła, że zapłaciła za nią tysiąc dwieście złotych, ale że to na pewno jest droższe. Jej towarzysz zauważył wtedy: „A nie bałaś się, że kradziona?” Ona na to odpowiedziała: „Co mnie to obchodzi? Kupiłam nie na handel, a dla siebie”. Szczerze mówiąc pomyślałem, że mnie buja i że to zwykły tombak. Ale podobała mi się. Dwie setki mogłem na to stracić. Tym bardziej kiedy jechałem na wczasy. Może coś się przytrafi nad tym morzem i takie cacko się przyda?

— No i przydało się.

— Właśnie.

— Pan wie, że ta dziewczyna sprzedała pańską bransoletkę?

— Tak. Napisała do mnie i bardzo mnie przepraszała, ale okradli ją czy też zgubiła pieniądze na plaży i znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Musiała sprzedać.

— A wie pan, za ile?

— Napisała, że za cztery tysiące. Kiedy to przeczytałem, aż się za głowę złapałem. Ani mi się śniło, że można uzyskać za to taką cenę.

— Nawet i dwa razy więcej.

— Co pan powie, panie majorze? A ja byłem przekonany, że ta babka z pociągu w trzecią stronę mnie bierze i chce wtrynić byle błyskotkę zamiast tych pieniędzy, które przegrała.

Dlaczego nie napisała do mnie i nie przysłała gotówki, tak jak się umówiliśmy? Przecież bym jej odesłał bransoletkę. Nie zależało mi na niej.

— Może również nie orientowała się w wartości klejnotu?

— Możliwe. Zapewniała, że kupiła na stacji w Warszawie. Ten człowiek zaczął kolejno różnych podróżnych i każdemu proponował kupno bransoletki. Chciał tysiąc pięćset złotych, oddał jej za tysiąc dwieście. Tak przynajmniej opowiadała. Teraz widzę, że to prawda. Bożenka wiedziała o mojej wygranej, bo opowiedziałem jej historię tej bransoletki i za ile ją wziąłem. Dziewczyna napisała, że chce mi oddać połowę, to znaczy dwa tysiące złotych. Mam tu ten list. A to jej zdjęcie.

Kierowca autobusu wyjął z kieszeni munduru list w wymiętoszonej niebieskiej kopercie i zdjęcie przystojnej dziewczyny w kąpielowym kostiumie na tle pomnika w Kołobrzegu. Na odwrocie fotografii umieszczona była płomienna dedykacja, zaczynająca się od słów „Najdroższemu Zeneczkowi”...

— Proszę zatrzymać sobie zdjęcie i list — powiedział oficer milicji — a podać mi jej adres.

— Bożena Orłowska, mieszka w Warszawie, ulica Zajęcza 54. Pracuje na Bielanach, w tamtejszym szpitalu.

— Pielęgniarka?

— Instrumentariuszka — z dumą wyjaśnił Zenek.

— Widzę, że pan jest dobrze poinformowany — uśmiechnął się Kaczanowski. — Naprawdę odesłała panu te dwa tysiące złotych?

— Nie chciałem. Nie zależało mi na tym. Odpisałem Bożence, żeby zamiast przysłać forszę, sama przyjechała do Katowic, kiedy będę miał wolną niedzielę. Była tu przed trzema dniami. To dobra dziewczyna. Uczciwa. Wszystko opowiedziała mi o sobie. Na wiosnę — dodał pozornie bez związku — dostanę mieszkanie z naszej spółdzielni. M-3.

— No to wiesz. Pobył na wczasach nie został zmarnowany. Nie wiem tylko, czy szafir przyniósł panu szczęście, czy szczęście przyszło wtedy, kiedy pan się go pozbył.

— Chyba to drugie. Kiedy wygrałem tę bransoletkę, jeden z

graczy ostrzegął mnie ze śmiechem, że takie niebieskie kamienie przynoszą śmierć i nieszczęście.

— Nie pamięta pan — major wrócił do zasadniczego wątku przesłuchania — gdzie pracuje ta niewiasta, która dała mu tę bransoletkę?

— Mówili o spółdzielni i o tym, że szukali na Śląsku jakichś odpadków metalowych albo blaszanych. Jedno jeździło do fabryk w Katowicach i w Gliwicach, drugie do Chorzowa i Sosnowca. Wspominali też, że ich spółdzielnia nastawia się teraz na produkcję dla stoczni. Tyle wiem, że zaopatrzeniowcy, bo kilka razy napomknęli, że są w ciągłych rozjazdach po całym kraju. Ta babka z pociągu wyraźnie zaznaczyła, że bransoletkę kupiła przed tygodniem, kiedy była w Warszawie. Za parę dni wybierała się do Elbląga po jakieś motory, które tam podobno można kupić. Żartowała ze mnie, że chociaż jestem kierowcą autobusu, to ona więcej kilometrów zrobi w wagonie niż ja za kółkiem.

To był ślad! Oficer milicji zorientował się, że z sympatycznego chłopaka z Katowic niczego więcej nie wydobydzie, co wiedział, powtórzył. Major nie obiecywał sobie za wiele po rozmowie z dziewczyną, którą początkowo, po relacji kołobrzeskiego kelnera, może zbyt nisko ocenił. Przesłucha się tę dziewczynę, ale jedynie dla potwierdzenia zeznań Zenona Pilamowskiego. Wiadomości, jakich udzielił, prawdopodobnie wystarczą dla zidentyfikowania amatorki hazardu ze Szczecina. Major westchnął. Trzeba będzie z kolei pojechać nad Odrę.

Czy ten łańcuszek doprowadzi aż do mordercy Cieślikowskiej? Tego doświadczony oficer milicji nie mógł przewidzieć. A nawet, szczerze mówiąc, wątpił w to. Znalezienie bransoletki zamiast uprościć, dopiero skomplikowało sprawę. Wszystko stało się jakieś bardzo dziwne. Ten klejnot zerwano z ręki umierającej Krystyny z jakąś premedytacją. Oceniano go znacznie wyżej niż poważną kwotę pieniędzy znajdującą się w otwartej torebce. W otwartej! To był ważny moment śledztwa. Zbrodniarz miał tę torebkę w ręku i grzebał w niej. A mimo to zostawił gotówkę, zabierając biżuterię. Wśród osób podej-

rzanych o zabójstwo znajdowały się co najmniej dwie, które mogłyby tak postąpić; były dyrektor, a pierwszy kochanek Cieślukowskiej, ofiarodawca klejnotu, później usiłujący go odzyskać. Może nawet za cenę zbrodni? Drugim potencjalnym mordercą mógł być mąż Krystyny. W jego pojęciach bransoletka była symbolem wszystkiego zła. Uważał, że od niej zaczęła się zdrada małżeńska i rozleciało się jego szczęście. Taki człowiek, jeżeli w swojej zemście posunął się aż do zabójstwa, wziął złotego węża po to, aby go potem zniszczyć. Ale przecież ani Alojzy Cieślukowski, ani Robert Malinowski nie sprzedawaliby tego klejnotu pod Dworcem Głównym w Warszawie nieznanym ludziom. Nie zrobiłby tego żaden z reszty podejrzanych.

Tak więc z trudem budowane dochodzenie rozwalilo się w jednym momencie jak przysłowiowy domek z kart.

Zenon Pilamowski także nie był zabójcą. Major nie omieszkiał sprawdzić jego alibi. W dniu 12 stycznia kierowca prowadził swój autobus po ulicach Katowic. Można mu wierzyć, że nie opowiada bajeczek, ale naprawdę wygrał złote świecidełko od przygodnie poznanej w wagonie kobiety. A jeżeli okaże się, że ta pracownica spółdzielni podała prawdziwą wersję zdobycia klejnotu, major będzie mógł powtórzyć za Sokratesem jego słynne „wiem, że nic nie wiem”.

Pograżony w niewesołych myślach Kaczanowski wracał do Warszawy. Tu jednak z wrodzoną sobie energią rzucił się znowu, niby pies gończy w ślad za nowym tropem Do Szczecina poszły długie listy i polecenia. Pracownicy komendy miejskiej MO przez kilka dni biegali po mieście szukając takich spółdzielni, które by miały dwóch zaopatrzeniowców, w tym jedną kobietę, a w lipcu wysyłały tę parę do województwa katowickiego.

Sprawa nie była zbyt skomplikowana. Nie takie sukcesy mieli już funkcjonariusze milicji w mieście nad Odrą Toteż w cztery dni później podano Warszawie nazwę spółdzielni, imię i nazwisko kobiety-zaopatrzeniowca oraz wszystkie jej dane personalne: mężatka, lat czterdzieści trzy. Nie karana. Troje dzieci. Mąż jest urzędnikiem prezydium Wojewódzkiej Rady

Narodowej.

— Major niedługo stanie się prawdziwym globtrotterem — śmiał się kapitan Peszke. — Niewątpliwie po objęździe miast polskich przyjdą ciekawsze podróże do Budapesztu, Paryża, Rzymu. A później Nowy Jork, Rio de Janeiro i Dżibuti.

— Dlaczego, u diabła, Dżibuti?

— Bo tam jest kopalnia szafirów i tam żyją takie węże, jak na tej bransoletce. Major tę sprawę przestudiuje gruntownie, usiłując ustalić, czy ten kamień pochodzi z kopalni we francuskim Somali.

— Zamiast sobie ze mnie kpić, najlepiej przejmij tę sprawę. Tanię sprzedam.

— Za dopłatą nie wezmę — przyznał się kapitan.

Co było robić? Janusz Kaczanowski pojechał nocnym pociągami do Szczecina.

Wezwana na godzinę ósmą rano pani Anna Niedzielska już na niego czekała w Komendzie Miejskiej. Major ją spostrzegł, kiedy wchodził do gmachu Komendy. Kobieta siedziała na krzeselku w korytarzu i spokojnie czytała jakiś tygodnik. Taki zaopatrzeniowiec, jeżdżący ciągle po całym kraju, niejedno widzi, a i sam w niejednym bierze udział. Nie przejmuje się więc wezwaniem do milicji. Nawet jeżeli się zupełnie nie domyśla, z jakich powodów.

Po załatwieniu wstępnych formalności protokołu, oficer milicji zapytał:

— Czy pani zna Zenona Pilamowskiego?

— Nie, nie znam.

— Może jednak? Niech pani sobie przypomni. Pewna podróż z Katowic do Szczecina.

— Tak! Już wiem! — wykrzyknęła uradowana. — To taki Ślęzak, który ograł mnie w karty. A co on zbroił?

— Ile pani przegrała?

— Dużo za dużo. Musiałam dać mu bransoletkę zamiast pieniędzy.

— Jak wyglądała ta bransoletka?

— Żółta w kształcie węża, z niebieskim oczkiem.

— Skąd ją pani miała?



— Kupiłam w Warszawie.

— Od kogo?

Anna Niedzielska zaczęła się domyślać, że w przesłuchiowaniu jej przez majora ta bransoletka gra główną rolę. Trochę się zaniepokoiła. Początkowo przypuszczała, że po prostu zakwestionowano jakieś rachunki, które u zaopatrzeniowców znaczą najczęściej co innego, niż oficjalne stwierdzenia na tych dokumentach; w ten sposób zdobywa się przecież „fundusze reprezentacyjne”, tak ułatwiające zakup surowców niezbędnych do produkcji.

— Nie wiem, od kogo. Po prostu na stacji w Warszawie zaczął mnie jakiś człowiek i zaproponował kupno tej bransoletki. Mówił, że ma chorą żonę i dzieci.

— A pani w to uwierzyła?

— Może i nie uwierzyłam. Ale bransoletka bardzo mi się podobała. Cóż to, nie wolno mi kupić, jeżeli ktoś proponuje?

— Kradzionych rzeczy nie wolno kupować.

— Skąd mogłam wiedzieć, że to kradzione?

— Przede wszystkim po cenie.

— O, przepraszam, panie majorze. Zapłaciłam bardzo drogo. Aż tysiąc dwieście złotych. Ta błyskotka z czeskiej biżuterii na pewno nie była tyle warta. Dałam tyle, bo oryginalne wykonanie.

— Pani oglądała tę bransoletkę?

— Naturalnie! Przecież nosiłam ją chyba ze dwa tygodnie. Ale nie była zbyt wygodna. Oczko stałe się o coś zaczepiało. Parę razy rozdarłam sobie nim pończochę. Poza tym była trochę ciasna.

— A nie przyszło pani do głowy, że to złoto?

— Skądże znowu! Przecież nie było tam żadnej próby.

— Dobrze — major uznał, że są to szczegóły bez znaczenia. — Proszę dokładnie opowiedzieć, jak to było z tym kupnem.

— Wracałam do Szczecina. To było chyba w początku lipca albo pod koniec czerwca. Dokładnie nie pamiętam, ale datę można sprawdzić u nas w buchalterii na podstawie mojej delegacji służbowej. Pamiętam tyle, że dzień był wyjątkowo chłodny i padał deszcz. Przed wejściem na stację zaczął mnie

jakiś mężczyzna. Pokazał bransoletkę i zaczął prosić, abym ją kupiła. Opowiadał o chorej żonie, o tym, że nie ma pieniędzy. Jak to zwykle w takich wypadkach.

— Jak wyglądał ten mężczyzna?

— Był młody. Dość wysoki. Dobrze zbudowany. W brązowym ortalionie.

— A nos? Oczy?

— Nos nie za duży. Oczy? Może niebieskie... Nie jemu się przyglądałam, a tej bransoletce. A poza tym padał deszcz.

— Może pani przypomina sobie coś charakterystycznego w jego postaci? Jakiś znak szczególny?

— Nic nie zauważyłam. Chciał za bransoletkę tysiąc pięćset złotych. Zaproponowałam tysiąc dwieście. Zgodził się od razu. Wzięłam bransoletkę, schowałam do kieszeni kostiumu, który miałam pod płaszczem, a potem weszliśmy do hali dworcowej. Stanęliśmy nieco z boku. Tam, gdzie jest taki kiosk z jedzeniem i papierosami. Wyjęłam z torebki dwie pięćsetki i dwie setki. Bałam się, że wyrwie mi torebkę. Miałam tam kilka tysięcy nie swoich pieniędzy. On złapał forszę jak diabeł duszę i już go nie było.

— Pod dachem nie padało i było widno. Tam pani mogła się przyjrzeć temu człowiekowi.

— Nie patrzyłam. Uważałam na swoją torebkę i na pieniądze w niej. Nawet gdyby pan postawił tego człowieka przede mną, i tak bym go nie poznała.

— Dlaczego pani dała tę bransoletkę Ślázakowi?

— Bo nie miałam gotówki. Przecież i tak już z pensji wydałam tysiąc dwieście złotych. A do tego jeszcze przeszło dziewięćset złotych przegrana w karty.

— Ma pani nauczkę, żeby nie grać z nieznanymi i nie kupować biżuterii na ulicy. Dobrze, że na tym się skończyło.

— Ten pan Zenek grał bardzo uczciwie. To w ogóle porządny chłopak. Nie chciał wziąć bransoletki, twierdził, że to tylko zabawa. Dał mi także swój adres, abym przesłała mu przegraną, a on odeśle mi węża.

— Ale pani tego nie zrobiła?

— Nie.

— Dlaczego?

— Przede wszystkim ciężko mi było posłać te pieniądze. Poza tym trochę żałowałam już, że kupiłam to cacko.

Nastraszyli mnie, że taki kamień przynosi śmierć. W końcu doszłam do wniosku, że za dużo zapłaciłam za tę bransoletkę.

— Muszę pani powiedzieć, niech to będzie przestrogą przed dalszymi podobnymi transakcjami, że bransoletka przedstawia znacznie większą wartość. To jest prawdziwe złoto i prawdziwy szafir. Jubilerzy wyceniają ten przedmiot na ponad siedem tysięcy złotych. Pani kupiła ją od człowieka, który zamordował poprzednią właścicielkę tego klejnotu i zdarł go z ręki swojej ofiary. Ze względu na szczerłość, z jaką pani opowiedziała mi swoją przygodę, nie wyciągniemy konsekwencji z jej nielegalnej transakcji.

Anna Niedzielska omal nie zemdląła, słysząc słowa oficera milicji. Zapewniała go, że w przyszłości nawet kawałka chleba nie kupi na ulicy! Kaczanowski zadał jeszcze kobiecie wiele pytań, usiłując dowiedzieć się czegoś więcej o tajemniczym sprzedawcy klejnotu. Pani Anna przypomniała sobie, że od tego mężczyzny zalatywało alkoholem, trudno jednak było uważać go za pijanego. Mówił poprawnie. Polszczyzna bez żadnego regionalnego akcentu, takiego, jakim na przykład posługiwał się kierowca autobusu z Katowic.

Nowe informacje, jakie w Szczecinie zdobył major Kaczanowski, nie wystarczały dla identyfikacji sprzedawcy bransoletki. Czy człowiek sprzed Dworca Głównego był mordercą Cieślikowskiej? Oficer milicji sądził, że tak, ale nie miał na to żadnych dowodów. Musiał zadowolić się przypuszczeniami.

Po tylu miesiącach, dochodzenia i po wielu wysiłkach setek funkcjonariuszy milicji, z takim trudem zbierających dowody, sprawa dalej tkwiła na martwym punkcie.

## ROZDZIAŁ XIII

### Wielki dzień podporucznika Tomaszewskiego

Pułkownik Adam Niemirosch uważnie wysłuchał sprawozdania majora Janusza Kaczanowskiego o ostatnich wydarzeniach. Nie ukrywał swojego przygnębienia:

— Bardzo niedobrze — stwierdził. — W tej sytuacji nie pozostaje nam nic innego, jak umorzyć sprawę. Nie wykryte zabójstwo. Paskudna wyspa. Paskudna — powtórzył.

— Robiliśmy, co było w naszej mocy.

— Nie czynię wam wyrzutów, chociaż nie mogę oprzeć się wrażeniu, że gdzieś tkwi błąd, ale gdzie?

— Dochodzenie zdobyło za mało faktów.

— Przecież odzyskano nawet bransoletkę. Uniknął sztuki jubilerskiej.

— Doszliśmy do niej, ponieważ prowadziliśmy dochodzenie najzupełniej prawidłowo. Okoliczności zbrodni wyraźnie wskazują, że jej przyczyną nie był rabunek, a zemsta lub jakies inne porachunki osobiste. Dlaczego morderca zabrał przy tym bransoletkę? Nie wiem. Dzisiaj jestem skłonny przypuszczać, że chodziło mu o to, żeby zagmatwać śledztwo.

— Dależ się na to złapać. Całą energię skoncentrowaliście na poszukiwaniu złotego węża.

— Dopiero wtedy, pułkowniku, kiedy inne ślady zawiodły — bronił się major. — Nie sugerowałem się bransoletką, przyznaję, nie pasowała mi ona do tych ludzi, których podejrzewaliśmy o popełnienie zbrodni. Ale przeciwko żadnemu nie zgromadziliśmy dostatecznej ilości tak poważnych zarzutów, aby można było uzyskać sankeję prokuratora na areszt, a tym bardziej dla aktu oskarżenia. Kiedy zawiodły inne środki, zacząłem szukać bransoletki, wiedząc, że prędzej czy później ten klejnot musi wyjść z ukrycia.

— Cóż nam z tego? Mamy bransoletkę, a nie mamy mordercy.

— To racja — smętnie przyznał major.

— Zgadza się z tobą, że pomysł z bransoletką był zręcznym

pociągnięciem przestępcy. W połączeniu z pozostawieniem w torebce dużej sumy pieniędzy, ten klejnot nabrał cech demonicznych. O to zabójcy chodziło. Później prawdopodobnie cisnął złoto gdzieś w śnieg. Może nawet w pobliżu miejsca zbrodni lub gdziekolwiek indziej, w Podleśnej Górze albo w Warszawie. Kiedy śniegi stopniały, jakiś facet znalazł bransoletkę. Albo nie poznał się na jej prawdziwej wartości, albo obawiał się, że cenna zguba zarejestrowana została w komisach i sklepach jubilerskich. Z tego, co zeznała Niedzielska, wynika, że był to młody człowiek nie stroniący od alkoholu. Może jeden z tych „urodzonych w niedzielę”, których pełno w podwarszawskich miejscowościach. Nie brakuje ich zarówno w Podleśnej Górze, jak i w Rzęsowie. Sprzedawał bransoletkę na Dworcu Głównym, a nie na Kruczej czy na Targowej. To znowu wyraźnie wskazuje na osobę, która dojeżdża do stolicy i niezbyt dobrze orientuje się w zwyczajach panujących w nielegalnym handlu walutami i złotem. To na pewno nie żaden cinkciarz.

— Cinkciarz poznałby się na wartości klejnotu i nie sprzedawał go za tysiąc dwieście złotych.

— Przypuszczam — stwierdził pułkownik — że nasze rozważania są słuszne, ale nie posuną nas ani na krok w stronę celu. Trzeba ponownie rozejrzeć się w życiu Krystyny Cieślukowskiej. Czy tylko tych czterech mężczyzn i ten piąty, mały kombinator, Bogdan Wietrzyk, odegrało rolę w karierze pięknej kobiety? Mogli być tam jeszcze inni. Zarówno ci zakochani, jak i tacy, z którymi kierowniczkę komisju łączyły jakieś podejrzan sprawy. Nie wiem jakie. Może szantaż? Ona dużo wiedziała w swojej żądzy zdobycia pieniędzy i stanowiska społecznego mogła posunąć się i do szantażu. A wiadomo, śmierć każdemu najlepiej zamyka usta.

— Nie jestem w stanie dowiedzieć się czegoś więcej. Życie Krystyny Cieślukowskiej nie ma dla mnie żadnych większych tajemnic.

— Tylko jej śmierć — ironicznie zauważył pułkownik.

— Tak. Tylko ta tragedia w lesie.

— A może ten Anglik, jak mu tam?...

— John Bobesson.

— Może Bobesson wynajął kogoś, aby sprzątnął Krystynę?

— Rozważaliśmy i tę możliwość. Pomijam już małe prawdopodobieństwo wynajęcia w naszym kraju płatnego mordercy. Wprawdzie przy pieniądzech tego pana teoretycznie byłoby to do zrealizowania, ale ryzyko, na jakie naraziłyby się Bobesson, nieproporcjonalne do zysku. Znał przecież swoją kochankę. Oboje byli ludźmi tego samego pokroju. Wierzyli we wszechmoc pieniądza. Anglik doskonale rozumiał, że w grze, prowadzonej przez Krystynę, chodzi jej o odpowiednią stawkę. W każdej fazie sprawy mógł jej zatkać usta tymi pieniędzmi. To było pewniejsze i myślę, że nawet i tańsze niż wynajmowanie człowieka do mokrej roboty. Ten dopiero miałby sposobność do odpowiedniego szantażowania Bobessona! Przemysłowiec dobrze o tym wiedział. Gdyby było tak, jak pułkownik sugeruje, Anglik zapewniłby sobie niczym nie podważone alibi. Na przykład, w tym samym czasie siedziałby w jakimś warszawskim lokalu w towarzystwie wyższych urzędników handlu zagranicznego. Zwabiłby Cieślukowską do Podleśnej Góry, a sam przebywałby zupełnie gdzie indziej. Nie. On tego nie zrobił i nie wiedział o zamiarze jej wyjazdu do Anglii. Był przekonany, że tymi dwudziestoma tysiącami likwiduje sprawę ostatecznie. A poza tym ten płatny morderca na pewno uzupełniłby swoje honorarium pieniędzmi znajdującymi się w torebce swojej ofiary. Trudno przypuszczać, aby „etyka zawodowa” mordercy zabraniała mu zaokrąglić w ten sposób swoje dochody.

— A więc znowu wracamy do zasadniczej kwestii: dlaczego przestępca zabrał bransoletkę, a zostawił dwadzieścia nowiutkich banknotów po tysiąc złotych każdy?

— Muszę stale do tego wracać. Kiedy to rozwiążę, podam zbrodniarza jak kotlet na patelni. Ale jeśli pułkownik uważa, że zawałem sprawę, trudno, przekażę ją komu innemu.

— No, no, stary. Bez dąsów. W razie czego obaj razem będziemy pili to gorzkie piwo. Chociaż, przyznaję, wolałbym kotlet na patelni.

— Będiesz go miał — major zapewnił pułkownika bez

wewnętrzne przekonania.

Ta rozmowa zdopinguwała jednak majora Kaczanowskiego. Może rzeczywiście w którejś tam fazie dochodzenia popełnił błąd? Może nie zwrócił uwagi na jakiś szczegół zeznań zarówno tych, których uważał za potencjalnych kandydatów na zabójcę, jak i innych świadków, mających rzucić światło na sylwetkę urodziwej kierowniczkę komisju?

Dlatego oficer milicji nie tylko sam zabrał się do ponownego studiowania materiałów dochodzenia, a urosły one już do kilku pękatych teczek, lecz zagonił do tej roboty swojego najbliższego pomocnika, czyli podporucznika Józefa Tomaszewskiego.

Ale im dalej major Kaczanowski wglębiał się w protokoły zeznań świadków, tym bardziej dochodził do wniosku, że nie popełnił żadnego błędu. Nie przegapił żadnego najmniejszego nawet słówka, jakie mogło się wymknąć z ust wszystkich przesłuchiwanym. W czasie dochodzenia poznał dokładnie mechanizmy działania sklepów komisowych. Jak widz oglądający w kinie film z życia pięknej kobiety, tak i oficer milicji przyglądał się wzlotom i upadkowi tej, która zaczynając swoją wielką grę, miała tylko dwa atuty: urodę i chęć wybicia się za wszelką cenę ponad swoje środowisko. Jak blisko celu była ta kobieta? Major poznał wszystkie jej wady, wszystkie popełnione podłości. Czasami nawet żałował tej postaci leżącej w kosztownym futrze na śniegu z wyciągniętą w górę ręką, jak gdyby w ostatnim przekleństwie rzuconym albo na głowę mordercy, albo na tych mężczyzn, którzy służyli jej jako szczebel w karierze, a jednocześnie przecież doprowadzili do tego, czym w końcu została.

— Panie majorze — zauważył podporucznik. — Mam tu spis rzeczy znalezionych przy zamordowanej. Pozwoli pan, że go przeczytam?

— Proszę — bez entuzjazmu odparł major.

— Torba skórzana, czarna — czytał młody oficer — otwarta. W torbie chusteczka do nosa ze śladami pomadki do ust". Lusterko, puderniczka, dwie kredki do ust, komplecik do robienia oczu, agrafka, przyrząd ze sztucznej masy z igłami i niciami, kalendarzyk z zapiskami i telefonami. W bocznej

przegródce torebki dwadzieścia banknotów po tysiąc złotych każdy. Na dnie torby luzem metalowy długopis marki Parker, dwie monety po pięć złotych, jedna dziesięciozłotówka z kolumną Zygmunta, trzy dwuzłotówki, jedna złotówka, cztery pięćdziesięciogroszówki, dwie dwudziestogroszówki, jedna pięciogroszówka. To już wszystko.

— Cóż w tym dziwnego? Jak w każdej damskiej torebce odpowiedni bałagan.

— Chodzi mi o to, że przecież Cieślikowska była elegancką kobietą.

— Niewątpliwie. Cóż z tego?

— Zwykle do kompletu takich drogich torebek należy również i portmonetka na bilon.

— Rzeczywiście — w głosie majora podporucznik usłyszał jakiś szczególny ton.

— Poza tym jeszcze jedno jest dla mnie niezrozumiałe.

— Słucham. Mówcie, poruczniku.

— Wiemy, że Krystyna Cieślikowska dostała dwadzieścia tysięcy złotych od Bobessona. Ale dostała je dopiero w Podlesnej Górze. Czyżby więc, jadąc w odwiedziny do byłego kochanka, wybrała się w drogę tylko z dwudziestoma dziewięcioma złotymi? Jeżeli policzymy bilon znaleziony w torebce, to suma wynosi właśnie dwadzieścia dziewięć złotych i czterdzieści pięć groszy.

Major nie odezwał się, ale miał minę człowieka, którego obudzono z długiego, nieprzyjemnego snu i nagle z ulgą stwierdza, że senny koszmar już minął.

— Sądzę — ciągnął dalej podporucznik — że trzeba wyjaśnić, czy rzeczywiście Cieślikowska miała zwyczaj noszenia przy sobie tylko trochę bilonu i czy rozmowa w willi Anglika miała tak spokojny przebieg, jak to nam usiłował przedstawić Bobesson. Może doszło tam do kłótni i do szamotaniny? Cieślikowskiej mogła się przy tym otworzyć torebka. Krystyna wybiegła z mieszkania nie zauważywszy, że zgubiła portmonetkę. Uciekała w stronę Rzęsowa, Anglik ją dogonił i zamordował. W czasie ucieczki mogła zgubić bransoletkę.

— Nie, nie — zaprzeczył major.



— Cała nasza uwaga skoncentrowana była ciągle na poszukiwaniu bransoletki. A może dowodem zbrodni byłaby portmonetka stanowiąca wyposażenie torebki? Może zresztą był to mały portfelik z przedziałką na banknoty i schowankiem na drobne. Moja Halinka ma właśnie taki.

— A moja żona — zauważył major — nosi zawsze w torebce portmonetkę na bilon i portfelik na papierki. To jest znacznie praktyczniejsze, pieniądze mniej się niszczą i łatwiej je wyjmować.

— Przypuszczam, że gdybyśmy przesłuchali te dwie pracownice komisju przy Wspólnej, na pewno powiedziałyby nam, czy i jakiej portmonetki używała Cieślukowska. Wypadałoby wtedy drugi raz przeszukać mieszkanie Anglika. Minęło wprawdzie przeszło pół roku, ale mógł nie wyrzucić takiego drobiazgu, bo czuje się zupełnie bezpieczny.

Kaczanowski zamiast odpowiedzieć na propozycję swojego współpracownika, poprosił go:

— Podajcie mi, poruczniku, pierwszy tom akt. Tam, gdzie znajdują się dokumenty wstępnych czynności dochodzenia, robionych przez posterunek milicji w Podleśnej Górze i przez ekipę techniczną Komendy Powiatowej.

Tomaszewski wyszukał odpowiednią teczkę i położył ją na biurku swojego zwierzchnika. Młodego oficera zaintrygowało zachowanie się „starego”. Major rzucił się na podane mu dokumenty tak, jak gdyby je po raz pierwszy miał przed oczyma. A przecież podporucznik wiedział, że Kaczanowski dzisiaj wertował tę teczkę.

Tymczasem major uważnie czytał zapiski dochodzenia i coś notował w swoim notesie. Po godzinie zamknął teczkę, z taką miną, jaką musiał mieć Archimedes, kiedy wyskoczył z wanny ze swoim słynnym „Eureka!”

— Poruczniku — powiedział — przepowiadam wam, zajdziecie wysoko!

Tomaszewski spojrział na majora pytająco. Czy zwierzchnik nie stroi sobie z niego żartów?

— Mówię wam, zajdziecie wysoko. Być może przyjdzie dzień, że w tym gmachu będziecie najważniejszą osobą. Umiecie

patrzeć i dostrzegać fakty, których inni nie zauważyli. Musicie jednak nauczyć się wysnuwania odpowiednich wniosków z tych spostrzeżeń. Ale i to przyjdzie z biegiem lat praktyki. Przypomnicie sobie moje słowa.

— To co, majorze — podporucznik zadowolony z pochwały chciał się jeszcze bardziej zasłużyć swojemu szefowi. — Może bym podskoczył teraz na Wspólną do komisju i porozmawiał z tą kasjerką, Chałamarską? Ona tam ciągle pracuje. Przed paru dniami, kiedy przechodziłem tamtędy, widziałem ją za kasą. Zdaje mi się, że i Wróblewska także nie zmieniła miejsca pracy, a odszedł jedynie Wietrzyk...

— Nie trzeba, poruczniku. Sprawa jest już całkowicie wyjaśniona. Na wszelki wypadek, przed zaaresztowaniem mordercy, pojedę do Pruszkowa. Będę musiał również pogadać z milicjantami z posterunku w Podleśnej Górze, chociaż jestem zupełnie pewien tego, co od nich usłyszę.

— Pan major już wie, kto jest zabójcą?

— Nie już, dopiero teraz. Swoją drogą, nigdy sobie nie daruję, że mogłem popełnić tak zasadniczy błąd. Co prawda nie ja jeden. Te akta mieli w swoim ręku i pułkownik Niemiroch, i wielu jeszcze oficerów. Nawet kapitan Peszke, który tak lubi mnie krytykować. A nikt nie zauważył oczywistego faktu. Wszyscy go przegapili.

— Jakiego faktu?

— Poruczniku! Pan sam wskazał mi go przed godziną. W torebce zamordowanej nie było ani portmonetki, ani portfela z pieniędzmi. Przyznaję, kiedy dochodzenie utknęło na martwym punkcie, instynktem starego oficera śledczego czułem, że w naszym dochodzeniu jest jakiś błąd. Nie zaniedbaliśmy żadnej okoliczności, a pomimo to czegoś mi tu brakowało. Dlatego ostatnio tak pilnie czytałem te akta. Ale nie znalazłem. Przegapiłem rzecz tak oczywistą. Tym większa wasza chwała. Jeszcze dzisiaj morderca znajdzie się w areszcie. Dzięki wam.

Z tego przemówienia młody oficer niewiele zrozumiał. Nie rozumiał, dlaczego brak portmonetki w torebce zabitej pozwala majorowi zidentyfikować przestępcę. A nie chciał pytać. Nikt bowiem nie lubi przyznawać się, że nie pojmuje tego, co ktoś

inny uważa za całkowicie jasne. Tomaszewski nieśmiało więc tylko poprosił:

— Czy mógłbym jechać z panem majorem?

— Naturalnie. Słusznie wam się należy. Powinniście być obecni przy naszym ostatecznym tryumfie. Tak, tak, portmonetka! Ona wyjaśnia sprawę.

## **ROZDZIAŁ XIV** **„To było takie proste”**

Na odprawie u pułkownika Adama Niemirocha wszyscy obecni składali gratulacje majorowi Kaczanowskiemu. Niektórzy może nawet z pewną odrobiną zawiści. Ludzie są tylko ludźmi, bez względu na to, czy noszą cywilne garnitury, czy też mundury. Zdawało się, że ten stary, doświadczony oficer milicji tym razem będzie musiał skapitulować. Bo nawet odnalezienie dowodu rzeczowego, jakim była złota bransoletka w kształcie węża z błękitnym szafirem w pyszczku, nie ruszyło śledztwa ani na krok. Aż tu nagle Janusz Kaczanowski zażądał do swojej dyspozycji służbowego radiowozu, razem ze swoim pomocnikiem podporucznikiem Tomaszewskim wyjechał na kilka godzin nie wiadomo dokąd, a wrócili przywożąc przestępcę.

— Cieszę się bardzo — powiedział pułkownik — że wyjaśniono sprawę zabójstwa Krystyny Cieślikowskiej. Major Kaczanowski był tajemniczy aż do końca. Sądzę jednak, że kiedy morderca znalazł się pod kluczem, usłyszymy całą historię ze szczegółami.

— To przede wszystkim zasługa podporucznika Tomaszewskiego — stwierdził Kaczanowski.

Spojrzenia skierowały się na młodego oficera, który zaczerwienił się z emocji wobec publicznie otrzymanej pochwały.

— Skądże znowu — bronił się skromnie Tomaszewski. — Ja nic. To pan major...

— Przestańcie kłócić się o zasługi i opowiedzcie nam od

początku.

— Od początku było źle — zaczął Kaczanowski. — Dla wszystkich, którzy zetknęli się z aktami sprawy, jeden fakt był zupełnie zagadkowy.

— Bransoletka — podpowiedział siedzący w pobliżu kapitan Peszke.

— Tak. Bransoletka — przytaknął major. — Zmarłej zrabowano wprawdzie złotą, ale niezbyt kosztowną bransoletkę, pozostawiając jednocześnie w torebce Cieślikowskiej poważną kwotę, dwadzieścia tysięcy złotych. Dochodzenie wysnuło z tego wniosek, że morderstwo nie ma charakteru rabunkowego, a zabrano bransoletkę, ponieważ w tej całej tragedii odgrywała ona jakąś specjalną, tajemniczą rolę. Przypuszczaliśmy także, że zabranie tego klejnotu mogło być manewrem przestępcy, aby utrudnić śledztwo.

— To byłoby nawet zręczne pociągnięcie mordercy — zauważył jeden z oficerów.

— Ten fakt spowodował — kontynuował major — że przestępcy szukaliśmy w gronie bliskich i znajomych Cieślikowskiej. Z jednej strony była to kobieta prowadząca mniej lub bardziej podejrzane interesy, z drugiej — chciała za wszelką cenę zostać, jak to sama mówiła, „wielką panią”. W tym dążeniu miała jej pomóc niezaprzeczalnie wielka uroda i mężczyźni, których traktowała jako kolejne stopnie swojej kariery. Podejrzewaliśmy, że jeden z odtrąconych wielbicieli pięknej pani w swoim pragnieniu zemsty posunął się aż do zbrodni. Ustaliliśmy, że pięciu ludzi, a każdy z nich mógł być potencjalnym zabójcą, nie ma alibi. Przeciwno każdemu przemawiały też najrozmaitsze, poważne poszlaki. Gdyby je zgromadzić tylko przeciwko jednej osobie, wystarczyłoby aż nadto na uzyskanie wyroku skazującego. Na szczęście nie popełniliśmy tego błędu, bo nasze zarzuty rozkładały się mniej więcej proporcjonalnie na całą piątkę.

Kaczanowski na chwilę przerwał, aby zapalić papierosa. Zaciągnął się raz dymem i podjął swoją opowieść.

— Nawet odnalezienie bransoletki, która przechodziła ciekawe koleje i wędrowała z rąk do rąk, nie ruszyło sprawy z

miejsca. Ślad bowiem urwał się na jakimś pijaku. Na ulicy przed Dworcem Głównym w Warszawie sprzedał on ten klejnot pewnej mieszkance Szczecina. Dochodzenie zagwoździło się niczym te armaty z obrony Częstochowy w „Potopie”. Musiało do tego dojść, bo popełniliśmy poważne błędy i z tych błędów automatycznie wysnuiliśmy fałszywe wnioski.

— Błędy? — zdziwił się kapitan Peszke. — Miałem te akta w swoim ręku. Znam je dobrze, a jednak nie dostrzegłem żadnego błędu.

— Zrobił to dopiero podporucznik Tomaszewski — wyjaśnił major.

Znowu wszystkie spojrzenia skierowały się na młodego oficera.

— Podporucznik zwrócił uwagę na to, że wśród spisu przedmiotów znalezionych przy zabitej nie było ani portmonetki, ani portfela.

— Cóż z tego?

— Tylko jeden logiczny wniosek. Zbrodniarz zamordował swoją ofiarę, aby ją obrabować. Z ręki zerwał jej złotą bransoletkę, z torebki zabrał portmonetkę i portfel. Dwudziestu tysięcy w bocznej przegródce w ogóle nie zauważył i dlatego one tam zostały. Dzisiaj, kiedy już przestępca przyznał się do zbrodni, wiemy, że w obu tych schowkach było razem ponad tysiąc pięćset złotych. Nie dostrzeżliśmy braku portmonetki i portfela i to właśnie spowodowało przyjęcie tezy o zabójstwie nie w celu rabunku. Nasze następne błędy wynikały z tego pierwszego, który miał podstawowe znaczenie. Prawda była znacznie prostsza i mniej skomplikowana. Przestępca zauważył kobietę w kosztownym futrze, z piękną, złotą bransoletką na ręku. Nie znał się na biżuterii, nie wiedział, że może istnieć dęte złoto. Wyobrażał sobie, że jest to klejnot wielkiej wartości. Tak by zresztą było naprawdę, gdyby bransoletkę zrobiono z kutego złota. Ważyłaby wtedy ponad sto pięćdziesiąt gramów i jej cena przekraczałaby pięćdziesiąt tysięcy złotych.

— Przykra omyłka dla faceta, który zabił.

— Niewątpliwie. Przestępca widział, że kobieta ze złotą

bransoletką kieruje się w stronę ulicy Wiśniowej, leżącej na peryferiach Podleśnej Góry. Ale jeszcze wtedy było widno, więc nie zrealizował zamiarów rabunku. Kiedy zobaczył, że Cieślikowska wchodzi do willi zamieszkałej przez Anglika, postanowił zaczekać. Jako mieszkaniec Podleśnej Góry znał tu wszystkich choćby z widzenia i orientował się, że dziewczyna w futrze nie jest stałą mieszkanką tej miejscowości, a przyjezdną. Zaczaił się...

— Oplącało się — mruknął któryś z poruczników.

— To dopiero będzie pewne po wyroku — odparował major.

— A więc przestępca czekał, dopóki kobieta nie opuści willi. Zauważył, że nie skierowała się w stronę kolejki, lecz skrótem przez las do Rzęsowa, do stacji kolejowej. Poszedł za nią. Padał śnieg. Głuszył kroki i ograniczał widoczność. To pozwoliło mordercy podejść niepostrzeżenie do jego ofiary. Ten człowiek miał przy sobie siekierę. Z całej siły uderzył obuchem. Teraz tłumaczy się, że nie chciał zabijać, a jedynie ogłuszyć, i źle obliczył siły. Tę sprawę rozstrzygnie sąd. Kiedy kobieta upadła na ziemię, przestępca odciągnął ją dwadzieścia kilka metrów w bok od ścieżki, w krzaki. Tam zerwał z ręki bransoletkę, a z torebki zabrał portfel i portmonetkę. W pośpiechu nie zauważył, że torebka ma jeszcze oddzielną przegródkę, w której tkwi dwadzieścia banknotów tysiąc- złotych.

— Co za przypadek!

— Przypadek? Było ciemno. Śnieg padał. Morderca był podniecony. Nie codziennie zabija się człowieka dla zdobycia złotej biżuterii. Trzeba mieć rzeczywiście żelazne nerwy. A on się śpieszył, aby ująć z tego miejsca niezauważony, i mała przegródka uszła jego uwagi. Nie mógł w to uwierzyć, kiedy teraz, w czasie pierwszego przesłuchania pokazałem mu tę torebkę i miejsce, gdzie znajdowały się pieniądze.

Major znowu zaciągnął się papierosem.

— Jak więc widzicie, panowie, w gruncie rzeczy sprawa była zupełnie prosta. Zwykły bandzior i zwykłe morderstwo rabunkowe. A myśmy szukali Bóg wie czego.

— Z tego wynika, że szafiry przynoszą nieszczęście. Nie darmo lud nazywa je kamieniami śmierci. I nie bądź tu,

człowieku, przesądny — uśmiechnął się kapitan.

— Jestem przekonany, że gdyby w bransoletce nie znajdował się szafir, a relikwie świętego Krzysztofa, patrona podróżników, to i tak wyjazd Cieślikowskiej do Podleśnej Góry zakończyłyby się równie tragicznie.

— Spostrzeżliście, podporucznik czy wy, majorze, wasz błąd. Ale od znalezienia omyłki do ujęcia przestępcy jeszcze daleka droga. W jaki sposób odnaleźliście człowieka, który sprzedawał bransoletkę przed Dworcem Głównym? — spytał pułkownik. — Bo domyślam się, że ten, który sprzedawał, to zamordował.

— Wcale go nie szukałem. Przyznaję się, że dotychczas nie wyświetliłem tego incydentu, nie mającego specjalnego znaczenia dla sprawy. Naturalnie zajmę się i tym, żeby dochodzenie zapięte było na ostatni guzik.

— Więc w jaki sposób doszłicie do przestępcy?

— To nie było takie skomplikowane, kiedy już zrozumiałem, na czym polegał mój błąd. A skoro odnalazłem swój, zauważyłem i błędy popełnione przez moich poprzedników. Tych, którzy prowadzili na miejscu wstępne dochodzenie, posterunku milicji w Podleśnej Górze i Komendy Powiatowej.

— Na razie niewiele rozumiem. Wyjaśnijcie to bliżej — poprosił pułkownik.

— Rozpoczynając nasze śledztwo — wyjaśnił major — oparliśmy się na dokumentach dochodzenia wstępnego. Na czynnościach dokonanych na miejscu zbrodni. Pierwszym z tych dokumentów jest raport posterunku milicji w Podleśnej Górze do Komendy Powiatowej. Tak zwane „doniesienie o popełnieniu przestępstwa”. Doniesienie to stwierdza, że w dniu 12 stycznia „trzej obywatele: Piotr Boduchowicz, Władysław Zawierciak, Stanisław Merłowski zgłosili się na posterunek MO i zameldowali, że w lesie pomiędzy Podleśną Górą i Rzęsowem leży zabita kobieta. Ja, Zygmunt Kolodko, starszy sierżant, komendant posterunku, zawiadomiłem o powyższym Komendę Powiatową i udałem się natychmiast na miejsce zbrodni”...

— Tak — zauważył kapitan Peszke. — Znam to doniesienie.

— Faktycznie było zupełnie inaczej, niż to napisano. Pomijam już, że Piotr Boduchowicz nie zgłosił się do milicji, lecz pozostał

w lesie, pilnując ciała zabitej. Ten szczegół nie jest ważny. Są inne, mające zasadnicze znaczenie. Oto drugi protokół spisany również na posterunku w Podleśnej Górze. Pozwolicie, że zacytuję przynajmniej jego początek.

To mówiąc oficer milicji wyjął z teczki kartkę papieru i zaczął czytać.

„Protokół przesłuchania świadka.

Obywatel Władysław Zawierciak, lat dziewiętnaście, z zawodu elektromonter, zatrudniony w Elektrowni Pruszkowskiej, zamieszkały w Podleśnej Górze, ulica Różana osiemnaście, przesłuchiwany i pouczony o obowiązku mówienia prawdy, zeznał co następuje: W dniu dwunastym stycznia wracałem z pracy do domu, szedłem ze stacji kolejowej w Rzęsowie do Podleśnej Góry. Było po szóstej wieczorem, raczej bliżej siódmej. Na zegarek nie patrzyłem. Szedłem ścieżką przez las, a przede mną jakichś dwóch mężczyzn. Byli oddaleni ode mnie około dwudziestu metrów. W pewnym momencie zauważyłem coś ciemnego leżącego na śniegu po prawej stronie ścieżki. Wydało mi się, że leży tam człowiek. Przestraszyłem się i zacząłem wołać ludzi idących przede mną, żeby się zatrzymali. Kiedy stanęli, zaproponowałem im, abyśmy razem sprawdzili, co to za ciemny przedmiot leży na śniegu. Zgodzili się. Podeszliśmy bliżej i zobaczyliśmy zwłoki kobiety...”

Major przerwał czytanie i po starannym złożeniu protokołu schował go do teczki.

— Gdyby posterunek milicji lub Komenda Powiatowa przed przesłaniem dokumentów do nas zadała sobie trochę trudu sprawdzenia prawdomówności zeznającego, całej sprawy by nie było. Dochodzenie skończyłoby się w dniu jego otwarcia.

— Dlaczego?

— Bo wówczas przekonano by się, że co słowo tego protokołu, to kłamstwo.

— Kłamstwo? — zdziwił się jeden z poruczników. — Przecież protokoły dwóch pozostałych mężczyzn potwierdziły fakt znalezienia przez nich zwłok Krystyny Cieślukowskiej.

— Potwierdziły zgodził się major. — A jednak w tym zeznaniu



jest wiele bardzo prymitywnych i bardzo łatwych do sprawdzenia łgarstw.

Janusz Kaczanowski zgniótł w popielniczce papierosa.

— Po pierwsze Władysław Zawierciak już od kilku miesięcy nie pracował w Elektrowni Pruszkowskiej. Wyrzucono go za pijaństwo przy pracy i za chuligaństwo. Nie mógł więc, jak zeznaje, 12 stycznia wracać z pracy do domu, bo nigdzie nie pracował. Nie sprawdzono tego wszystkiego, co jest tym dziwniejsze, że osoba Władysława Zawierciaka nie była obca milicji w Podleśnej Górze ani Komendzie Powiatowej. Znany chuligan, wielokrotnie zatrzymywany i nawet już parę razy karany.

— Rozumiem — mruknął któryś z uczestników odprawy.

— Gdyby milicja zainteresowała się Zawierciakiem, szybko by ustalono, że młody człowiek, kiedy już w żaden inny sposób nie mógł zdobyć paru złotych na wódkę czy wino patykiem pisane, brał siekierę i wynajmował się do rąbania drzewa u bogatszych właścicieli willi w Podleśnej Górze. A skojarzenie tego faktu z drugim, że Krystynę Cieślikowską, jak to ustaliła obdukcja zwłok, zamordowano najprawdopodobniej tym narzędziem, nie byłoby chyba trudne.

— Karygodne zaniedbania. Jak oni mogli... — zaczął kapitan.

— Kto bez winy, niech rzuci kamieniem. Ja ręki nie podniosę, bo sam popełniłem nie mniejszy błąd. A wracając do sprawy, pominięto jeszcze jedną ważną okoliczność, że w tym dniu i o tej porze padał śnieg...

— A to ma jakie znaczenie? — zapytał pułkownik.

— Zawierciak rzekomo zobaczył leżącą, na wpeł przysypaną śniegiem Cieślikowską, pomimo że od tego miejsca do ścieżki było dwadzieścia trzy metry. Przypominam: godzina po szóstej wieczorem, a Zawierciak zeznał, że nawet „bliżej siódmej”. Wprawdzie było biało i śnieg odbijał blask, ale, moi panowie, cudów nie ma. Na taką odległość nawet sokole oczy nie przebiją ściany utworzonej przez spadające płatki śniegu. Zawierciak nie zobaczył leżącej Cieślikowskiej, on wiedział, że ta kobieta tam się znajduje, bo sam złożył jej ciało między młodymi choinkami.

— Tak, to jasne — przyznał jeden z oficerów.

— Teraz dla nas jest już wszystko jasne. Niemniej tak długo nie umieliśmy prawidłowo odczytać dokumentów, znajdujących się w naszych rękach. Przyznaję zresztą, że to zagranie przestępcy było bez porównania sprytniejsze, niż to, co opowiadał w czasie przesłuchania. Zawierciak nie chciał dopuścić do tego, aby ciało zamordowanej znalazł ktoś inny. Obawiał się, że pierwsze podejrzenia o popełnienie tej zbrodni padną na miejscowy element przestępczy i chuligański, a więc przede wszystkim na niego. Mógł zresztą przypuszczać, że ktoś go widział, jak śledził kobietę w kosztownym futrze. Wykombinował więc, że najbezpieczniej będzie, jeżeli to on sam odnajdzie zwłoki. Ale to też nie dawało mu stuprocentowej pewności spokoju. A nuż milicjanci zaczną zadawać mu wiele nieprzyjemnych pytań i mógłby się w czymś poplątać? Dlatego po odciążeniu zwłok na bok i po schowaniu zdobyczy i narzędzia mordu, siekiery, czekał w pobliżu na sprzyjającą okazję. Przepuścił przed sobą dwóch wracających do domu mężczyzn, właśnie Piotra Boduchowicza i Stanisława Merłowskiego, i zaczął na nich wołać, że w krzakach ktoś leży. W ten sposób zdobył współników, ludzi o nieposzlakowanej opinii. Miejscowa milicja dała się na to złapać. Gdyby Zawierciak sam do nich przybiegł, ściągnąłby na siebie ich uwagę. Ale kiedy cała trójka zeznała, że znalazła zwłoki zamordowanej, uwierzono bez zastrzeżeń. Boduchowiczowi i Merłowskiemu przez myśl nie przeszło, że było inaczej. Oni to swoimi zeznaniami sprawili, że i ten trzeci stanął poza podejrzeniami. Nawet nie sprawdzono jego zeznań, chociaż to było najślabsze ogniwo całego sprytnego planu mordercy.

— Przyznał się?

— Musiał. Był już tak pewien bezkarności, że używał portmonetki znalezionej w torebce Cieślikowskiej; sprawdziliśmy, ta portmonetka wraz z lusterkiem stanowiła komplet torebki. Znaleźliśmy także w jego mieszkaniu damski portfelik, w którym pracowniczkę komisju, Wróblewska i Chałamska, rozpoznały niewątpliwą własność dawnej swojej kierowniczkę. Porozumiałem się z prokuratorem i w ciągu tygodnia

przekażemy mu cały materiał dowodowy. Sprawa prawdopodobnie pójdzie w trybie doraźnym.

## **ROZDZIAŁ XV**

### **Czy wnuczka doczeka się?**

Minęło kilkanaście miesięcy. Przy jakiejś okazji major Janusz Kaczanowski zajrzał na dolną półkę metalowej szafy na akta, stojącej w jego pokoju. Zobaczył kilka pękatek teczek związanych sznurkiem. Wyciągnął je stamtąd i zauważył na obwolucie kryptonim „Błękitny szafir”.

— Poruczniku — zwrócił się oficer milicji do swojego współpracownika — te „podręczne akta” sprawy Cieśliskowskiej tylko mi miejsce w szafie zajmują. Uporządkujcie je. Co niepotrzebne, wyrzucić, resztę przekazać do archiwum. Przecież sprawa dawno skończona. Że też o każdym głupstwie wam, młodym, trzeba przypominać.

— Bo... Bo... Panie majorze — zająknął się Józef Tomaszewski. — Ponieważ w tej sprawie odegrałem pewną, niezbyt zresztą wielką rolę, chciałem je sobie tu zatrzymać na pamiątkę.

Major uśmiechnął się. Ci młodzi oficerowie nieraz podobni są do dzieci. Ładna pamiątka! Akta sprawy o zabójstwo. Facet niedługo przekona się, że musiałby poświęcić w swoim mieszkaniu przynajmniej jeden, i to największy pokój, gdyby chciał zbierać takie „pamiątki”.

— Rozumiem was, poruczniku. Zróbcie sobie wyciąg z ciekawszych dokumentów, ale resztę odeślijcie do archiwum. Kiedy już jako sławny, wysłużony pułkownik, a może nawet generał milicji przystąpicie do pisania swoich wspomnień, przyda się wam takie streszczenie sprawy.

— Pan major zawsze ze mnie żartuje.

— Przeciwnie. Dostrzegam wasze zasługi. Postawiłem nawet odpowiedni wniosek, żeby komendant przyznał wam specjalną nagrodę za „Błękitny szafir”.

— Bardzo dziękuję, panie majorze — młody człowiek był

ogromnie zadowolony, bo jak każdemu młodemu, tak i jemu pensja starczała tylko na dwadzieścia dni. — Ale to przede wszystkim pan major rozszyfrował całą sprawę. Ja jedynie spostrzegłem jeden drobiazg. Udało mi się...

— Dobrze, dobrze. Nie udawajcie, poruczniku, zbyt skromnego. A nagroda wam się należy. Mam nadzieję, że teraz, po wyroku na Zawierciaka, nie ominie was.

— Ja, panie majorze, ośmieliłem się zrobić notatkę służbową i dołączyć ją do akt.

— Jaką notatkę?

— Dalszych losów ludzi zamieszanych w tę sprawę.

— Ciekawe! No i co?

— Alojzy Cieślikowski ożenił się z tą znajomą dziewczyną z Olsztyńskiego. Mają już dziecko. Córeczkę. Spawacz nie przyjął połowy należnego mu spadku po Krystynie. Wszystko przypadło bratu Cieślikowskiej.

— To facet porządnie się obłowił. Razem chyba z pół miliona.

— Coś koło tego albo i więcej. Stefan Lanota, ten badylarz, usiłował wy dostać od spadkobiercy swoje trzysta tysięcy. Groził nawet procesem, ale nic nie wskórał. Przecież by nie wygrał.

— Wcale go nie żałuję. Czasem spotykam tego badylarza. Z jeszcze młodszym kotem niż ten poprzedni. Spodziewam się, że trafi jeszcze na taką drugą, która bardziej go oskubie niż Krystyna. A nasz miły Bogdan Wietrzyk?

— Podobno znowu miał jakieś nieprzyjemności.

— Ciągle chce zbyt wiele i zbyt szybko zarobić — uśmiechnął się major. — A co z angielskim przemysłowcem?

— Często bywa w Warszawie. Stale załatwia jakieś wielkie interesy. Widuje się go w różnych lokalach w towarzystwie pięknych kobiet.

— Ciągle udaje to futro, o którym opowiadał nam anegdotkę. A co z bransoletką?

— „Błękitny szafir” także ma swoją dalszą historię. Po rozprawie ten dowód rzeczowy został przekazany do masy spadkowej po Krystynie Cieślikowskiej. Otóż Alojzy Cieślikowski zrzekł się swojej części spadku pod tym warunkiem, że brat zmarłej zwróci klejnot Robertowi

Malinowskiemu oraz pokryje wszelkie straty, jakie ponieśli w dobrej wierze nabywcy złotego węża.

— O tej ich dobrej wierze można by było długo mówić!

— Niemniej spadkobierca zwrócił kelnerowi Edwardowi Kalecie te cztery tysiące złotych, zaś Annie Niedzielskiej ze Szczecina tysiąc dwieście złotych; to znaczy tyle, ile oni wydali na zakup bransoletki, nie znając jej pochodzenia. Robert Malinowski był zdziwiony i ucieszony odzyskaniem rodzinnego klejnotu. Uroczyście przyrzekł, że ofiaruje go swojej najstarszej wnuczce w dniu jej ślubu.

— Już składał takie przyrzeczenia... Początkowo miał to być ślubny prezent dla córki. Obawiam się, że i tym razem już nie druga, ale trzecia młodość byłego dyrektora może mu przeszkodzić w urzeczywistnieniu tych dobrych chęci. Coś za często spotykam go z pewną młodą maszynistką z jego biura. Może to i lepiej? Może naprawdę szafiry przynoszą nieszczęście?

— Jednakże tym młodym, kierowcy autobusu z Katowic i jego dziewczynie, przyniósł szczęście. Pobrali się, mają nowe mieszkanie. To nieprawda o tych szafirach — podporucznik znowu nie zorientował się, że major z niego podkpiwa.

— Czasami są wyjątki — przyznał Kaczanowski. — A swoją drogą, żał mi tej Krystyny. Była piękna i młoda. Żeby nie chęć zdobycia pieniędzy za wszelką cenę, żyłaby do dzisiejszego dnia i może byłaby szczęśliwa...

Takie było ostatnie epitafium po zmarłej.

1969 r.

CENA ZŁ 18 -

## **CZYTELNIK**

**W takim samym wydaniu  
ukazały się:**

**Zygmunt Zeydler-Zborowski  
ZBRODZIA NA CYRHLI TOPOROWEJ**

**Isaac Asimov  
POWIEW ŚMIERCI**



lesiojot